JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

POWIEŚCI HISTORYCZNE

WYDAWNICTWO
M. ARCTA
W WARSZAWIE

J-I-KRASZEWSKI

STRZEMIEŃCZYK

WYDAWNICTWO-M-ARCTA w WARSZAWIE

BIBLJOTEKA WIELKICH PISARZÓW
SERJA I: J. I. KRASZEWSKIEGO POWIEŚCI HISTORYCZNE
40 TOMÓW KWARTALNIE

STRZEMIEŃCZYK

M. ARCT, ZAKŁADY WYDAWNICZE, SP. AKC. W WARSZAWIE

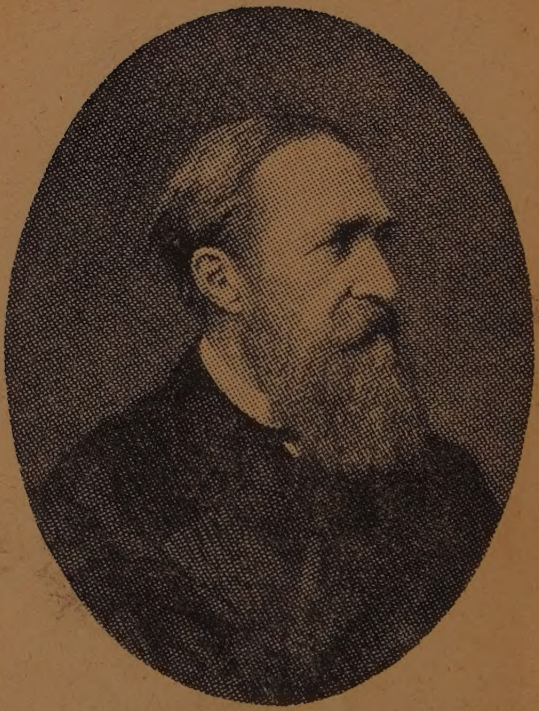

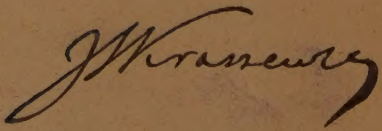

ur. 1812 r. † 1887 r.

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom XXXIII

J. I. KRASZEWSKI

STRZEMIEŃCZYK

CZASY WŁADYSŁAWA WARNEŃCZYKA

CZĘŚĆ I

1929

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

PRINTED IN POLAND

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE,
CZERNIAKOWSKA 225

I.

Ktoby był jednego wiosennego wieczora 1412 r. spotkał się z panem Cedrem Strzemieńczykiem i zajrzał mu we krwią nabiegłe oczy, przypatrzył się pofałdowanemu jego czołu, zaciętym ustom i rękom silnym, w kułaki jakby do boju zaciśniętym, uwierzyłby łacno temu staremu podaniu, które głosiło, że ludzie tego rodu, Strzemieńczycy, byli głównymi i najokrutniejszymi pomocnikami popędliwego króla przy zabójstwie św. Stanisława.

Temu przypisywano, że ród Strzemieńczyków, od owego dnia krwawej pamięci, upadł, zubożał i do pierwszej świetności podźwignąć się już nie mógł.

Cedro Strzemieńczyk, choć z dobrego szlacheckiego wiódł się gniazda, choć pradziad jego jeszcze dzierżył znaczne majętności w Krakowskiem, zubożał był zupełnie, nie miał nic nad mizerny chłapeć ziemi pod Sanokiem, z którego wyżyć jemu z dwojgiem dzieci byłoby trudno, gdyby go łaska królewska nie posiłkowała.

Pamiętni dawnych związków z tym domem, Różyce i Szreniawici polecili go królowi Jagielle, przy którego dworze się wysługiwał, pełniąc różne obowiązki.

Ale teraz, choć się zawsze na regestrze dworu pańskiego liczył i pobierał jurgielt jakiś, do niczego już zdolnym nie był. Wiek, zgryzoty, przecierpiane niewczasy, choroba i sam charakter zgryźliwy, który ciągle mu krew burzył, do ostatka niegdyś olbrzymią siłę wyczerpały.

Nie miał Cedro nad lat sześćdziesiąt, co naówczas człowieka starym nie czyniło, bo ludzie zahartowani od młodu trzymali się długo krzepkimi, lecz patrząc nań, można mu było dać dziesiątkiem więcej, tak podupadł, szczególniej na nogi.

Ogromny wzrost i tuszę dźwigać mu już było ciężko, i one go słabszym czyniły. Na nogach ledwie się trzymał, dyszał ciężko, gdy się trochę przeszedł, lub rozgrzał rozmową, w piersi mu chrzęszczało, a lada drobnostka wprawiała go w chorobliwy gniew i zapamiętanie. Nieraz latem brzęczenie muchy do wściekłości go niecierpliwiło.

Był Cedro Strzemieńczyk wdowcem od lat dziesiątka, a po żonie, świątobliwej niewieście, zostało mu dwóch synaczków. Przy ubóstwie wielkiem i siłach ubywających, troska o nich dniem i nocą spokoju mu nie dawała; a choć dziećmi się gryźć nie miał powodu zbytecznie, stękał, że ani im ma co zostawić, ani ich komu powierzyć, ani się spodziewać może sam wychować i w świat puścić.

Czuł on, że sam coraz mniej mógł nawet na chleb powszedni zarobić, nadzieję więc całą widział w chłopcach. Mąż rycerskiego rzemiosła, niegdyś łowczy i stanowniczy króla, nie rozumiał dla dzieci innej przyszłości, tylko służbę na koniu, z kordem u pasa.

Młodszy syn, ulubieniec ojca, którego Zbilutem wołano, okazywał powołanie do stanu rycerskiego, jak sobie ojciec życzył; lecz był też jak przyszły wojak, niepomiernie zuchwały, drapieżny, a co gorzej — przebiegły, płaszczący się, kłamca zręczny i pochlebnik. Ojciec mu wiele przebaczał i, widząc w nim wszystko najlepsze, po nim sobie najwięcej rokował.

Starszego Grzesia cierpieć nie mógł, bo mu się krnąbrnym i upartym wydawał. Ten się ojcu nie wykłamywał nigdy, karę znosił cierpliwie, ale się do myśli jego nałamać nie dawał.

Właśnie dnia tego Cedro go zbił na kwaśne jabłko, a chłopak, choć się krwią oblał, nie pisnął nawet i po-

prawy nie przyobiecał. Ojciec krzyczał, że z nim na gałąź potrzeba, bo innej rady niema.

Trudno się było domyśleć, o co mu chodziło. Oto Grześ ów, starszy, mimo zakazu, całe dnie, gdy się tylko wymknąć zdołał, trawił w szkole z klechami, taką miał do nauki ochotę. Cedro zaś dla rycerskiego człowieka bakałarstwo znajdował niepotrzebnem. Śpiewał też Grześ ślicznym głosem w kościele, co, jako babską rzecz, ojciec potępiał.

— Klechy w rodzinie mieć nie chcę i nie potrzebuję — powtarzał ciągle stary.

Grześ teraz dwunastoletni i Zbilut o dwa lata młodszy mieli przykazanem od rana dzirytem rzucać, z łuku strzelać, w szable się ścinać i na koniach starych, które umyślnie Cedro trzymał na to, toczyć i wprawiać się do silnego siedzenia. Zresztą wolno im było, jakie chcieli, harce wyprawiać, byle nie ślęczeć nad abecadłem i tablicą.

Jakby na przekorę rodzicowi, starszy, poznawszy się przy farze z bakałarzem, który go polubił, ciągle biegał do niego, potajemnie i chciwie się uczył pisma, śpiewu i co tylko szkoła dać mogła, przesiadywał w niej, a choć ojciec go za to srodze ciemiężył, nauki tej, do której się palił, z głowy mu wybić nie było można.

Cedra to czasem we wściekłe gniewy wprawiało, naprzód, że nieposłuszeństwa w dziecku ścierpieć nie mógł, powtóre, że nauką, jako rycerzowi niepotrzebną, się brzydził, a klechów, nią się parających, nie znosił. Było to może we krwi. Pobożnym po swojemu był, ale duchowieństwa więcej się lękał, niż je szanował.

Dwaj bracia, dosyć do siebie z twarzy podobni, piękni bardzo, jak malowani, bo to wzięli po matce, charakterami się od siebie różnili wielce. Nie kochali się też bardzo, choć Grześ młodszemu krzywdy nie czynił.

Ulubieniec ojca rozpieszczony, młodszy starszemu wszystkiego zazdrościł, podglądał go, szpiegował, ojcu donosił, gdy co pochwycił, lizał mu się i przypochlebiał nikczemnie. Zbroił-li co i na karę zasłużył,

umiał się zręcznie wykłamać i wyprzysiąc, na brata winę złożyć, a rodzicowi do nóg paść i płacz a skruchę udawać, choć się potem wyśmiewał z łatwowierności jego.

W młodym wieku wniwecz już był popsuty. Uchwycić coś potajemnie, złasować, psotę krwawą wyrządzić, słabego zgnieść, zwierzę męczyć było dlań najmilszem. Gdy swawolić nie mógł, gotów był całe dnie do góry brzuchem leżeć, objadłszy się, i próżnować.

Ojcu się przypochlebiając, ztyłu mu język pokazywał i szydził sobie z jego niedołężności. Tak samo postępował z bratem i ze wszystkimi.

Na zuchwalstwie mu nie zbywało a męstwa prawdziwego nie miał i stanąć do walki z mocniejszymi się nie ważył. Gdy go rówieśnicy na rękę wyzywali, uciekał. Słowem, wszystko w nim rokowało niepoprawnego łotra i rozpustnika.

Grześ miał też samą krew gorącą, ale charakter szlachetny, moc duszy nad wiek swój, wytrwałość i statek nadzwyczajny. Zdolności też, na których bratu zupełnie zbywało, okazywał zdumiewające.

Bakałarz od fary, który w szkole tamtejszej uczył, mawiał często, że zdawało się, jakby Grześ przypominał sobie tylko to, czego go nauczano, tak mu wszystko łacno przychodziło. Dziwniejsza rzecz, byle najmniejszą wskazówkę miał, sam już szedł dalej tą drogą, jaką mu ukazano, nauczyciela w zdumienie wprawiając.

Piękny, zręczny, silny, dobrze zbudowany, z dużemi oczyma ciemnemi, w których już nie dziecięcy rozum gorzał, Grześ rwał się tak do nauki, jak Zbilut się nią brzydził.

Grześ, gdy się nie mógł przekraść ku farze, pisał po ścianach i piasku. Zbilut ojcu o tem donosił. Cedro bił, a chłopak wracał do swego i, poprawy nawet nie przyrzekając, milczał.

Ciągle więc była walka pomiędzy krnąbrnym Grzesiem a gniewliwym rodzicem.

Dnia tego właśnie stary Cedro miał znowu taką z synem przeprawę. Oskarżył go Zbilut zdrajca, że na strych wlazłszy, potajemnie tam coś pisał, dostawszy nie wiedzieć skąd kawał papieru, czy skóry. Pochwycono go na gorącym uczynku, z kartą jeszcze mokrą, ojciec obił go znowu, a teraz wzburzony cały przechadzał się po izbie w dworku swoim, z gniewu jeszcze nie mogąc ochłonąć. Nie mając się przed kim skarżyć, mruczał i klął pocichu.

Sponiewierany chłopak z potarganą czupryną, napytawszy sińców oprócz rózeg, siedział za węgłem dworku, podparty na ręku, i dumał.

Tymczasem mrok nadchodził i gospodyni wniosła do izby wieczerzę, wołając na nią chłopców. Grześ wyprosił sobie u niej suchy chleba kawałek i pozostał za węgłem.

Ojciec, obejrzawszy się, że go niema przy stole, nawet się nie upomniał o niego. Poczekawszy dopiero, gdy Cedro, jedząc, ochłonął, Zbilut się odezwał pocichu:

— Grześ za węgłem siedzi, kułaki gryzie ze złości; żeby choć zapłakał!

— Milcz — przerwał stary krótko i ostro.

Nie lubił on Grzesia; widok jego obudzał w nim gniew niepohamowany, chęć złamania uporu tej duszy krnąbrnej, ale dziwił się charakterowi żelaznemu syna i litował nad nim.

Przy wieczerzy stary jadł mało, mruczał, pięścią o stół bił, na pochlebcę nawet nie spojrzał. Cały był w sobie, myśląc nad środkami, jakiemiby nieposłuszne dziecko mógł poskromić.

Nieprędko też legł spać Cedro, chociaż się czuł zmęczonym i zbolałym.

Zbilut, w rękę go pocałowawszy, ścisnąwszy za kolano, nie zaglądając do brata, wysunął się do izby, w której oba sypiali, i do snu pośpieszył. Później, na palcach, pocichu, wśliznął się do komory Grześ i, nie rozbierając się, rzucił na posłanie.

Nazajutrz rano, gdy Zbilut, słysząc szmer we dwor-

ku, oczy przetarł już o białym dniu, obok na posłaniu Grzesia nie było.

Ojciec nie pytał o niego.

Zbilutowi zaraz na myśl przyszło, że brat pewnie chyłkiem zbiegł do fary, na skargę do bakałarza, który był jego opiekunem i powiernikiem.

Nie mylił się chłopak domyślny i byłby może korzystał z tego, puszczając się za bratem i śledząc kroki jego, aby o nich donieść ojcu, ale pilniejszego miał coś do czynienia, bo żarłocznym był i łasym, a naprzód musiał gospodyni coś ukraść, aby głód zaspokoić. Wiedział też, kędy kury się niosły i podbierał jaja, które ze smakiem wypijał.

Stary Cedro wkrótce się wywlókł na miasto.

Od dworku Strzemieńczyków do fary spory kawał drogi iść było potrzeba krętemi uliczkami, ale Grześ miał sobie tylko znaną bliższą drożynę, między sadami i płotami, którą się był zwykł przekradać.

Za kostnicą, między murowanym domem proboszcza a wikarją, stała drewniana szkoła, tak opuszczona biedna, że nielepiej od chlewu wyglądała. Jedna w niej pusta izba była dla młodzieży przeznaczona, reszta służyła za skład łomu i rupieci kościelnych, a komora przylegająca — za schronienie kantora i bakałarza. Niezawsze nawet szkoła ta niezajęta bywała, bo w lecie gospodyni proboszcza rozkładała się w niej nieraz z zielem i warzywem, jesienią z owocami i nasionami, a szanować musiano, co pieczy bakałarza powierzyła.

Dziwnemi też zapachami woniała nieprzewietrzana szkoła, bo w niej jadło, konopie, zielenina, stęchlizna, dym przywrzały do ścian i z resztkami kościelnego kadzidła razem się mieszały.

Światło wpadało skąpo, a oprócz ław na wbitych w tok nogach i stołu, porzniętego przez dzieci, paru półek u ścian i popękanego pieca, innego sprzętu nie było.

Klepisko czasem dzieci przez miłosierdzie zamiotły.

Bakałarz, posiwiały już w spełnianiu swych obowiązków, człowiek milczący, posępny, blady, surowy na oko, łagodny z natury, zwał się Jackiem Rybą. Miał on wprawdzie za piecem rózgi w ceberku moknące, ale częściej je pokazywał dla postrachu, niż używał.

Niepozorny, zbiedzony, niepowodzeniem całego życia złamany, dobił się już był do tego skraju, na którym stojąc, patrzy się ze spokojem i rezygnacją na wyżyny oddalone, choć się ich doścignąć nie mogło.

Dusza to była wypogodzona, w której miłości ludzi i Boga nie zabiła zła dola i długich lat męczarnie. Jacek Ryba nie zgorzkniał, Bogu i przeznaczeniu wyrzutów za swe losy nie czyniąc.

Największą dla niego rozkoszą było młode umysły do życia budzić, wpajać w nich to, co sam zdobył, a gdy czasu stało i ksiąg poważnych mógł się chwycić, — czytać je i dumać nad niemi.

Rękopism nowy dostawszy, o co naówczas bakałarzowi nie było łatwo, siadał go przepisywać, dnie i noce czasem spędzając nad Boecjuszem lub jakim rzymskim poetą.

Przywozili naówczas te skarby do Polski mnodzy duchowni, którzy do Rzymu i Włoch w sprawie kościoła lub dla nauk wysyłani byli.

Jacek Ryba pierwszym był Grzesia Strzemieńczyka nauczycielem i wychowańcem tym czuł się dumny. Miał on go za dziecię cudowne, od Boga ubłogosławione, wielką przyszłość zapowiadające.

Bakałarz, ledwie umywszy się i pacierz odmówiwszy, przygotował się iść na jutrznię do kościoła, gdy z podziwem ujrzał wpadającego do komory ulubieńca swego, z zarumienionemi policzkami, zdyszanego, przelękłego. Nic nie mówiąc, chłopak pochwycił go za rękę i całować ją zaczął wzruszony.

— Cóżeś ty tak rannym ptakiem? — zapytał niespokojny Ryba.

Spojrzał bacznie; Grzesiowi w oczach wymowne łzy stały. Bakałarz wiedział, co chłopiec cierpiał od ojca; ścisnęło mu się serce, pogłaskał go po głowie.

— No, mów! — rzekł głosem cichym.

— A! ojczulku! — odezwał się Strzemieńczyk, nawykły go tak nazywać — nie wiem, co mam począć! Dłużej już tak nie wybędę. Dziej się wola Boża. Ojciec... ojciec...

Bakałarz potrząsnął głową znacząco, jakgdyby powiedzieć chciał:

— Wiem ci ja! Ale rodziców szanować potrzeba!

Chłopak westchnął.

— Dlatego, że ojca szanuję i gniewać go nie chcę, muszę precz stąd, muszę!

Żachnął się Ryba, wtył się cofając.

— Co tobie, na Boga miłego! Dokąd?

— Dokąd? albo ja wiem! — szepnął Grześ. — W świat. Do Krakowa. Ojciec z nas obu chce koniecznie żołnierzy zrobić, a mnie sam Pan Bóg do czego innego przeznaczył. Samiście mi nieraz mówili, że głosu Bożego słuchać potrzeba, a ja czuję go w sobie! Bez nauki żyć, wolałbym umierać; dla niej w świat iść muszę.

Łzy prędko otarłszy, chłopiec czarnemi oczyma bystro spojrzał na bakałarza, który stał smutny i zamyślony.

— Słyszałem od was, że w Krakowie dla ubogich, jak ja, pacholąt są ludzie litościwi, którzy ich karmią, aby na chwałę Bożą uczyć się mogli.

— Dziecko! dziecko! — pochwycił bakałarz. — Bóg ci litościwy jest nad opuszczonymi i ludzie są dobrzy na świecie, ale pójść w świat z sakwą na plecach, z drewnianą miską u pasa, prosić jałmużny chleba i jałmużny światła — nie wiesz, co przecierpieć trzeba.

Chłopak strząsnął się dumnie.

— Alboż to ja cierpieć nie potrafię? — zawołał.— Albo mi to w domu był raj? Ja już od dziecka nawykłem do głodu i chłodu.

Tu, pocałowawszy znowu w rękę bakałarza, jakby go tą pokorą chciał zmiękczyć i przekupić dla siebie, dodał:

— Nauczyliście mnie trochę śpiewać, po ulicach

pieśni nabożne z drugimi nucić mogę. Za to ludzie dają kołacze i grosze. Umiem też, z łaski waszej, pisać niczego.

Ryba się uśmiechnął, klepiąc go po ramieniu.

— A! ty! ty! — rzekł weselej — niczego! Ty malujesz, nie piszesz i kaligraf z ciebie, choć smarkaty, że się i ze starymi nie powstydzisz iść na wyścigi. O tem niema co mówić, co prawda, to prawda.

Grześ przerwał żywo.

— No, więc czego się mam obawiać? Bylebym się dowlókł do Krakowa, albo to bieda wielka. Na każdej plebanji nocleg mi dadzą, w każdym klasztorze pokarmią. Chleba dużo nie potrzebuję, łyżką strawy będę syty.

Gdy to mówił, oczy mu się świeciły.

— A ojciec — cicho zagadnął Ryba. — Co powie ojciec, gdy cię nie stanie?

Grześ oczy spuścił.

— Ojcu się Zbilut zostanie — odparł cicho. — On go lepiej, niż mnie, kocha. Zbędzie się, zapomni, lżej mu będzie. Słuchać go nie mogę, więc obrazy Bożej uniknę, a po mnie — dokończył smutnie — płakać nie będzie.

Zadumał się Ryba. Zdawało się, że i on to postanowienie pochwalał, a myślał tylko o środkach, jakby tego dokonać.

— Gotów stary jeszcze cię tu szukać — odezwał się po chwili — musisz się więc ukryć, dopóki nie opatrzę cię na drogę. Chodź za mną!

Ryba, mówiąc to, wziął Grzesia za rękę, obejrzał się po cmentarzu i prześlizgnął z nim szybko do szkoły, ale nie wprowadził go do swej izby.

W lewo był zamknięty skład rzeczy kościelnych, które się przy farze pomieścić nie mogły. Stały tu rusztowania od przybieranego na wielki tydzień grobu, wisiały opony odpustowe, połamane chorągwie, wschody od wielkiego katafalku, rzadko kiedy używane, ogromne lichtarze drewniane i całe kupy lampek glinianych, któremi czasem farę oświecano.

Każdy, choćby najmężniejszy dzieciak tego wieku, co Grześ, byłby się uląkł tej ciemnej izby, smutnej i pełnej grozy grobowej. Ryba spojrzał nań pytająco, czy do wieczora się tu skryć zechce? Grześ odpowiedział, wesoło głową potakując i, pożegnawszy się, wsunął śmiało, gdy mu drzwi otworzono.

Przez jedno zakratowane gęsto okienko trochę światła wpadało do ciemnej izby, w której kątach widać było trupie głowy, złowrogo na czarnych deskach wytrzeszczające zęby.

Grześ siadł u okna, aby w dziedziniec kościelny mógł patrzeć i dostrzec, gdyby ojciec, lub brat go tu szukał. Miał najmocniejsze postanowienie nie powracać już do domu, choć mu za nim tęskno było.

Milczące przyzwolenie bakałarza dodawało mu odwagi. Siedział cierpliwie, czekając, co z nim Ryba postanowi. O południu otwarły się ostrożnie drzwi, stary przyniósł chleba kawałek i w garnku polewkę, od ust sobie odebraną, aby go nakarmić; kazał Grzesiowi jeść, sam przysiadłszy na wschodzie od katafalku.

— Iść! iść! — począł mruczeć niespokojnie — dobrze to mówić, a znasz-że drogę? Do Krakowa kawał, gościniec ci jest, ale dróg siła, a jak się zbłąkasz?

— Ludzie mówią, — droga wszelka na końcu języka — odparł Grześ.

Popatrzał bakałarz.

— A nuż stary w pogoń pojedzie, lub pośle? — zapytał.

— Sam pojechać nie może — odezwał się chłopak — posłać nie ma kogo. Pomyśli, żem już dziś zbiegł i dognać mnie nie będzie mógł, a w ostatku pewnie się niebardzo o mnie zatroszczy.

Ryba, podparty na ręku, dumał.

— Żywczak jutro dodnia do Dukli i Starego Sącza jedzie za kupią, a bodaj i na Węgry. Możnaby go uprosić, aby cię na wóz wsadził i dowiózł choćby tam, dokąd sam jedzie.

Żywczak zwykł był przywozić różną kupię z Węgier; człowiek był śmiały, czeladź miał zbrojną, bo

w owe czasy bezbronnemu na gościńcach, zwłaszcza w obcym kraju, nie można się było pokazać. Znał go Ryba i postanowił rozmówić się z nim; więc Grzesia znowu w izbie zamknąwszy, poszedł na miasto.

Zamożny woźnica miał własny swój dom w Sanoku, a choć, ciągle się po gościńcach tłukąc, mało w nim przebywał, liczył się do znaczniejszych mieszczan. Bakałarz chudzina niewiele dlań znaczył, ale zawsze suknię na nim kleszą szanowano.

Gdy Ryba, Chrystusa chwaląc, do izby wszedł, zastał Żywczaka, z dwoma współmieszczanami żegnającego się przy miodzie.

— Ja mam prośbę do was, panie gospodarzu — odezwał się bakałarz, gdy zostali sami, — ale osobliwego ona rodzaju jest, i sam nie wiem, jak począć.

— Żywczak stanął przed nim.

— Mówcież no — rzekł krótko.

— Rozumiecie to, boście bywali i mądrzy, panie gospodarzu — począł bakałarz, przypochlebiając się Żywczakowi, — iż kogo Bóg do siebie powoła, ten głosu Jego słuchać musi.

Żywczak głową dał znak, iż i on tak sądził, choć zgoła nie rozumiał, co to miało znaczyć.

— Mamy chłopca w szkole, którego Pan Bóg widomie do służby Swojej przeznaczył — ciągnął dalej Ryba — a tu ojczysko uparte uczyć mu się nie daje. Niema innego sposobu, tylko chłopcu, który uczyć się chce, drogę wymościć i do szkoły go lepszej, niż nasza, posłać. Do Krakowa mu trzeba, do Panny Marji.

— A cóż ja wam na to poradzić mogę? — spytał zdziwiony Żywczak.

— Jedziecie pono do Dukli, a może i do Starego Sącza — rzekł Ryba.

— Pewnie! — potwierdził Żywczak.

— Tożbyście dla miłości Bożej mogli podwieźć biedactwo — dokończył bakałarz, rękę zniżając do kolan Żywczaka.

Mieszczanin stał jakoś obojętny; głową potrząsał.

— Powiedzcież mi, czyj to chłopiec? — zapytał.

— Nie zdradzicie mnie przecie? — przebąknął bakałarz.

— Albom ja taki, co za język ciągnie, aby człeka sprzedał? — ofuknął obrażony mieszczanin. — Po mnie się to nie okaże!

— Wstał z ławy bakałarz i w ramię go pocałował.

— Miejcie litość — rzekł.

Potem obejrzał się dookoła i szepnął mu do ucha:

— Strzemieńczyka starszy.

Żywczakowi się oczy zaśmiały... wróżba była dobra. Znał on starego Cedrę i nie jeden się raz z nim waśnił, ale nie mógł znieść dumy jego szlacheckiej, która przed mieszczańskim dostatkiem głowy ugiąć nie chciała.

— Strzemieńczyka chłopiec! — zawołał. — Nie dziwota, że od niego ucieka, bo z tym katem nikt nie wytrwa. Zbój jest, tylko szczęście, że siły już nie ma, boby się z nim codzień przyszło borykać.

— A! — westchnął Ryba — chłopiecby srogość ojcowską zniósł, bo cierpliwy jest i poczciwy, ale uczyć się chce, a rodzic mu broni.

— Tak, aby z niego takiego niezdarę uczynić, jak sam jest — krzyknął Żywczak. — Nie ujmuję ja czci szlachcie i panoszom, boć oni się biją i bronią nas, a na świecie potrzebni są — ale i drudzy też ludzie są, choć ziemię orzą i kupię wożą.

— Lub Boga chwalą — przerwał bakałarz.

Żywczak skłonił głowę.

— Chłopca więc weźmiecie? — spytał Ryba uradowany.

— Co nie mam go wziąć! — rzekł Żywczak. — Powiadacie, że to ma być Bogu na chwałę... a no i od kata wyzwolić też zasługa. Ino mi go, jak dzień, przyślijcie, bo ja na niego, ani na nikogo czekać nie myślę. Komu w drogę, temu czas. Dnie poczynają być gorące, chłodem trzeba do popasu.

— Sam go wam przyprowadzę — dodał, dziękując, odchodzący bakałarz.

Śpieszył potem do szkoły, aby przynieść zamknię-

temu dobrą wieść i wyzwolić go z izby. Nie było się już co obawiać napaści starego Cedry, więc Grześ przeszedł do komory.

Gdy się to działo w szkole, Strzemieńczyk ciągle na powrót syna oczekiwał. W głowie mu się to pomieścić nie mogło, aby dziecko śmiało od niego uciekać. To ukrywanie się po wczorajszem obiciu wydawało mu się godnem najsroższej kary. Bić go znowu wstręt miał i własnej popędliwości się obawiał, bo milcząca cierpliwość dziecka wściekłość w nim rodziła. Postanowił więc, skoro się zjawi, w ciemnym loszku zasadzić go na chleb i wodę.

Po południu już, zamiast zamknięcia do lochu, zaprzysięgał się obić go wprzódy i trzymać dopóty, pókiby nie obiecał poprawy.

Nad wieczór niepokój się wzmógł; Grzesia nie było. Zbilut nawet do ojca nie śmiał się zbliżyć.

Nadzieja powrotu dziecka słabła coraz, stary Cedro to się unosił gniewem, to czynił sobie wyrzuty. Łzy mimowolnie zbierały mu się pod powiekami.

Zbilut parę razy próbował zdaleka coś szepnąć do niego i nie otrzymał odpowiedzi. Z twarzą, zwróconą w stronę fary, stał długo Cedro, mrucząc coś niewyraźnego. Noc nadeszła, Grzesia nie było!

Idąc do snu i całując ojca w rękę, Zbilut coś chciał powiedzieć o bracie. Cedro nogą uderzył w podłogę.

— Słyszysz! żebyś mi więcej imienia jego nie ważył się wspomnieć!

Zyskał na tem młodszy, że ojciec, mając go jednego, z oka już go na chwilę nie spuszczał.

II.

We dworku Strzemieńczyków z pozostałych mieszkańców mało kto zasnął tej nocy. Najmniejszy szelest rozbudzał, bo się ciągle jeszcze krnąbrnego dziecka spodziewano. Ojciec wstawał kilka razy, szedł do okna, w mrokach dziedzińca upatrywał Grzesia, który już nie miał się tu pokazać.

W starej szkole pod farą nikt też oka nie zmrużył.

Grześ miał odwagę dziecka, które się niczego nie lęka, bo nie zna niebezpieczeństwa. Nic go to nie obchodziło, że wybierając się na długą wędrówkę, miał na nogach stare, podarte chodaczki tylko, sznurkami na onuczkach poprzywiązywane, na grzbiecie koszulinę jedną zgrzebną, kubraczek szary połatany, a dla pokrycia głowy czapeczkę lichą, pomiętą i poszarpaną.

Bakałarz, doświadczeńszy, myślał, czy się godzi puścić go tak? Wprawdzie wiosna już była i dnie gorące, ale biedactwo odarte wyglądało prędzej na żebraka, niż na dziecko szlacheckie, gdyby twarzyczka rozumna i piękna nie płaciła za wszystko.

Odzieży Ryba sam miał tak mało, że nie było się czem podzielić, a z niego na Grzesia nicby też nie pasowało. Krajać i obszywać nie było czasu. O lepszem więc na podróż przybraniu nie było co i myśleć, a chłopak odzież sobie lekceważył, byle grzbiet miał pokryty. Wiedział, że żebrać będzie musiał i strój mu się zdawał właściwy, bo mógł mówić za niego.

Żywczak miał go na wozie ukrytego podwieźć do Dukli, ale o przekarmieniu mowy nie było; należało więc zapewnić mu jaki taki posiłek na pierwsze dni.

Trochę soli, zawiązanej w szmatkę, kromka czerstwego chleba, odkrajana z bułki bakałarza, którą on sobie odjął od gęby, gomółka zawiędłego sera, w który go opatrzono, zdawały się Grzesiowi aż nadto wystarczające i za te dziękował, uradowany niespodziewanym zapasem.

Ryba miał jeszcze z dawnych czasów zachowaną, jako pamiątkę, miseczkę drewnianą, którą sam niegdyś u pasa nosił, chodząc w Krakowie do szkoły. Spoczywała ona na półce nietknięta i pyłem przysnuta. Zdjął ją, smutnie się przyglądając, oczyścił i, milcząc, podał Grzesiowi, któremu przyszłego jej użytku tłumaczyć nie było potrzeba.

Była to może największa ofiara ze strony bakałarza, któremu z dni młodości nic nad nią nie pozostało.

Z miską taką stawał chłopak pode drzwiami mieszczan, a litościwe gospodynie nakładały w nią kaszy, lub klusek.

Ryba i kantor gaduła, oczekując dnia, starali się przestrogami i naukami różnemi przygotować Grzesia do tego, co go w przyszłości czekało.

Zaledwie na wschodzie szarzeć poczynało, gdy raz jeszcze podszedłszy z nim pode drzwi kościelne i pokląknąwszy na modlitwę, Ryba pustemi uliczkami poprowadził go do dworku mieszczanina. Było jeszcze tak rano, że nawet gospodynie do kądzieli nie powstawały; spało wszystko, ale u Żywczaka zastali już wozy powyciągane z szop, a przez okno widać było światło w domu. Parobcy przy łuczywach smarowali i przygotowywali uprząż.

Bakałarz z chłopcem, nie chcąc być uprzykrzonym, stanęli pokornie w ganku i czekali. Wtem sam Żywczak wyszedł za czemś z izby, już odziany i podpasany, jak do podróży, a zobaczywszy klechę i chłopca, któremu o zmroku porannym nie mógł się dobrze przypatrzeć, do izby ich wprowadził. Tu na kominie się paliło, a jejmość w jubce i chustce na głowie grzała dla męża polewkę.

Mieszczanin spojrzał bystro na szlacheckie dziecko, nędznie odziane, ale tak pięknością rysów i szlachetnością a śmiałą postawą uderzające, że co miał szydzić z niego, sposępniał. Z twarzy bił rozum i męstwo zadziwiające w wyrostku.

Żywczak odezwał się do niego, pytając, czy nie lęka się tak w świat puszczać sam jeden.

— Bóg jest wszędzie — odparł Grześ śmiało. — Gdybym złego co myślał, bałbym się kary, ale na chwałę Bożą chcąc pracować, nie boję się niczego; a co mnie spotka, przyjmę z pokorą.

Wymowna odpowiedź zamknęła usta mieszczaninowi, który popatrzył na dzieciaka, ramionami poruszył, głową pokręcił, a babie swej szepnął, aby mu kubek grzanego piwa dała.

Dniało coraz jaśniej, wozy co żywiej zaprzęgano, w domu ruch się robił większy, nadchodziła chwila odjazdu.

Na pokrytym skórami połubie siadł z przodu Żywczak uzbrojony, a z tyłu za sobą ukazał miejsce Grzesiowi, który tak był zasłoniony, że gdyby nawet starego Strzemieńczyka spotkali, domyślećby go się tam nie mógł.

Grześ zapłakał, żegnając bakałarza, wsunął się w kąt — i wozy ruszyły z przed dworku.

Co się tam działo w tej młodej głowie i sercu, gdy chłopak znalazł się sam na gościńcu, z ludźmi obcymi, na łasce ich, odurzony tem, co go od dwóch dni spotykało — Bóg jeden wie. Myśli mu się plątały, radby był wyskoczył, wrócił, ojcu padł do nóg; to znowu nadzieja dziwna pchała w świat, otwierający przed nim złote wrota. Dziej się wola Boża!

Noc, spędzona bezsennie, znużenie, kołysanie się wozu, do którego nie był przywykły, wprędce twardy sen sprowadziły. Zasnął, jak młodość tylko spać umie, i nie wiedział ani gdzie jest, ani co się z nim dzieje, gdy około południa zbudził go Żywczak, pamiętający o nim, wołając do swej miski.

Nie rozpoczynał z nim rozmowy, bo miał do czynienia dużo, a sam doglądał wszystkiego, ba i ręki przykładał, ale głodem mu mrzeć nie dawał, tak, że Grześ chleb swój i ser na dalszą podróż ze Starego Sącza mógł oszczędzić. O niej też myślał ciągle, usiłując przewidzieć wszystko, co go spotkać mogło i przygotować się na to, jak miał sobie radzić w potrzebie.

W Dukli mało się Żywczak zatrzymał, tak, że chłopak ciekawy ledwie miał czas, z pod skór się wydobywszy, rzucić okiem na górę Cergowę i po pięknej okolicy.

W miasteczku u rynku, gdzie stanęli, ruch był wielki, bo gościniec tędy wiódł na Węgry, z któremi handel naówczas szedł żywo. Grześ po raz pierwszy zobaczył tu nowych ludzi, których języka nie mógł zrozumieć, stroje i zbroje nieznane, a krzątanina ich wydawała mu

się po spokojnym Sanoku dziwną i niemal straszną. Cóż to miało być dalej na świecie?

Żywczak, jak wszyscy woźnice z kupią jeżdżący, rozpytywać się musiał o gościńce, o bezpieczeństwo, o mosty na rzekach i brody, które czasem w górskim kraju bywały nie do przebycia, a chłopak odpowiedziom się przysłuchiwał ciekawie.

Nie uszło też ucha jego, jak kupcy z Węgier powracający rozpowiadali, że król Władysław Jagiełło właśnie tych dni miał jechać z Węgier do Krakowa, bodaj na Sącz Nowy, gdzie chciał widzieć klasztor świeżo osadzonych norbertanów.

W Starym Sączu z Żywczakiem się trzeba było rozstać. Grześ się już do tego gotował i gdy zamczysko na górze w widłach Popradu i Dunajca się ukazało, jedną już nogą tylko był na wozie.

Dotąd miał opiekuna i żywiciela, teraz poczynała się dopiero wędrówka o łasce Bożej i własnym rozumie. Serce mu jednak rosło.

Gdy wóz stanął przed gospodą, opodal od klasztoru panien, do którego chłopak chciał się zrazu wprosić dla spoczynku, skoczył żywo Grześ i pośpieszył, odkrywszy głowę, opiekunowi swemu dziękować, jak zwykle ubodzy, Bogu polecając zapłatę za siebie.

Żywczak, który mu się zdala z wielką przypatrywał ciekawością, w ciągu podróży upodobał go sobie, poklepał po ramieniu kłaniającego się pokornie.

— Kiedy taka wola Boża i przeznaczenie twoje — rzekł, — idźże zdrów... A masz choć parę groszy w saku na złą godzinę?

— Ani denara! — roześmiał się Grześ. — Mnie pieniądze niepotrzebne.. Kawałka chleba ludzie nie odmówią, a dobiwszy się do Krakowa, jużem tam bezpieczny.

Żywczak głową potrząsł, dobył z sakwy dwa groszaki i wcisnął mu je w rękę.

— Niech Bóg prowadzi!

Tak się z sobą rozstali. Grześ kij sobie nad drogą wyłamawszy i przystrugawszy go, rozmyślił się, że do

wieczora czasu jeszcze dosyć było i wskazaną drogą zamiast do klasztoru na odpoczynek, ruszył zaraz pieszo do Nowego Sącza.

Stał mu na myśli ów przyjazd króla, na który po dziecinnemu rachował wiele. Myślał, że przy królu bywało zawsze kilku księży i pisarzów, do których się chciał dostać. Ale nadzieja ta omylić go miała.

W Starym Sączu wiedziano tylko, że się króla spodziewano, ale nie było pewności żadnej, kiedy miał przybyć i czy stanowniczowie już na zamek podążyli, bo ci zawsze pana poprzedzali.

W podróży na wozie Żywczaka wygodnie było chłopcu, na niczem mu nie zbywało, gospodarz karmił, a o drogę nie potrzebował pytać; teraz jednak, gdy się sam znalazł na gościńcu swobodnym, weselej mu się zrobiło i raźniej. Mógł czynić co chciał, odpoczywać, pośpieszać, rozmyślać i rozpatrywać się po okolicy.

Zaśpiewał po raz pierwszy od wyjazdu z Sanoka, bo przy Żywczaku głosu nie śmiał dobyć.

Piękne wzgórza, zielenią wiosenną okryte lasy i pola, śpiewające ptactwo, przechodzący ludzie, którzy przypatrywali mu się ciekawie i zagadywali go, wszystko zajmowało chłopca gorąco. Stawał, sam do siebie się uśmiechając i czując wolnym. Słuchał, rozpatrywał się, a świat napodziw wydał mu się pięknym.

Dotąd wszystko mu się wiodło nadzwyczaj pomyślnie: ucieczka z domu, droga do Sącza, opieka Żywczaka, dwa groszaki jego, które mu się ogromnym skarbem wydawały, nadzieja spotkania z królewskim dworem dodawały odwagi i ochoty.

Jeśli się wiodło dotąd, dlaczego nie miałoby się powodzić dalej?

Nadomiar szczęśliwych trafów spotkał zaraz na gościńcu włościanina z wozem próżnym, który, wyrostka pieszego zobaczywszy, sam mu się podwieźć ofiarował.

Był to kmieć, świątnik, ze wsi norbertanom nadanej, który zkolei do posług przy klasztorze przeznaczony, na służbę jechał, a znał nietylko okolice, ale w Wie-

liczce i w Krakowie nieraz bywał, od niego więc języka dostać było można.

Gadatliwy wieśniak wybadał zaraz chłopca, który się z niczem taić nie potrzebował. Zapewnił go, że pewnie nocleg w klasztorze otrzyma, bo księża ubogich od furty nie odpędzali i żywili każdego dla miłości Chrystusa, sami z łaski króla będąc dobrze wyposażeni.

Gwarząc tak ze świątnikiem, dojechali do miesteczka; nieopodal widać było nowe budynki klasztorne.

Zbliżając się, dostrzegli około zamku na górze, jako też na gościńcu siłę ludu, kupami stojącego; nie było wątpliwości, że obiecany król albo już przybył, albo też był spodziewanym co chwila. Sprawdziło się to, gdy podjechali do klasztoru, z którego właśnie duchowieństwo wychodziło na spotkanie Jagiełły.

Ale to, co się Grzesiowi wydawało pomyślnem, na złe mu wyszło. Księża norbertanie i co tu żyło, tak było królem i przyjmowaniem go zajęte, tłum ciekawych ze wsi pobliskich tak wielki, iż na biedne chłopię nikt nie spojrzał.

Zepchnięty z drogi, gdy z wozu zlazł, Grześ musiał z wiejską gawiedzią w tłumie stać i woźnicę swego, który mógłby mu być pomocą, zgubił.

Wynagrodziło mu się to tem tylko, że widział przeciągający orszak królewski i samego pana na pięknym koniu, ale w szarym kubraku dziwnie wyglądającego wśród okazałego dworu i lśniących od zbroi rycerzy, tak że się wierzyć nie chciało, aby mógł być królem.

Tuż za nim ciągnęły poczty wielkie, jazda różna, wspaniale poprzyodziewana, wozy wielkie ładowne i chłopskie, pełne zwierza po drodze nabitego, koni pod kapami moc, a około nich mnóstwo ciurów z obuchami i halabardami.

Gdy Jagiełło na zamek pociągnął, a lud się powoli rozpływać począł, pomyślał Grześ o sobie, ale za orszakiem się wlec nie było sposobu, bo cisnących się pachołkowie odpędzali.

W natłoku tym o pomieszczenie łatwo nie było, ale

od chaty do chaty chodząc, trafił wreszcie na litościwą duszę. Starowina mieszczanin pozwolił mu się przespać w pustym chlewku. Trochę słomy znalazłszy w kącie, Grześ przeżegnał się, legł i zasnął tak, że go zbudziło dopiero rżenie koni o białym dniu.

Wyszedłszy z szopy, zastał już wszystkich na nogach. Pobiegł co prędzej umyć się do studni, podziękował staremu za gościnę i dowiedziawszy się od pierwszego spotkanego na ulicy człowieka, że król ciągnął w dalszą drogę do Krakowa na Wieliczkę, nie tracąc czasu, ruszył też w tę stronę.

Za miasteczkiem dopiero, kawał drogi uszedłszy, siadł, głód, który się dał czuć, zaspokoił chlebem i serem bakałarza. Pierwszego, który suchym był, gdy mu go dano, byłby nie ukąsił, nie odwilżywszy wodą, ale się ta szczęściem nad drogą znalazła i suchar z solą i serem dobrze smakował. Trzeba go było jednak oszczędzać, bo nie przewidywał, gdzie i jak się pożywi, a groszy, które mu dał Żywczak, ruszać nie chciał. Tymczasem słońce przypiekać zaczęło i Grześ, podjadłszy trochę, w dalszą puścił się drogę.

Wiodło się tak podążającemu co sił starczyło Grzesiowi szczęściem różnem, a co pierwszego dnia znużenie czuł wielkie, później nabrawszy sił i szczędząc je, chłodne ranki wybierając do podróży, a odpoczywając w południe, nie czuł już prawie zmęczenia. Księża nie odmawiali nigdzie noclegu i jakiegokolwiek pokarmu, choć niektórzy ramionami ruszali i uśmiechali się z tej jego podróży do Krakowa, nie wierząc, aby wyrostek mógł wybrnąć o swej sile, wśród wielkiego miasta, w którem łatwiej było zepsuć się, niż czegoś nauczyć. Niektórzy radzili mu rzemiosło, nie wiedząc, że szlachcicem był, inni strofowali za nieposłuszeństwo przeciw rodzica woli.

Dowlókł się wreszcie tak, słoty i burzy, błota i kurzu zakosztowawszy, boso, bo chodaki nie wytrzymały podróży i resztki ich na miasto trzeba było zaoszczędzić, — do Wieliczki.

Wiedział, że już stąd do Krakowa było niedaleko. Murami obwiedzione miasto, około którego ruch był większy daleko, niż w Dukli, bo nieustannie stąd na wszystkie strony wywożono sól i fury przybywały dla zabierania jej, zamożność mieszkańców, różność języków, bo Niemców i Żydów wałęsało się dużo, z początku onieśmieliły Grzesia. Nie było do kogo się udać, mało kto chciał odpowiadać, każdy tu myślał o sobie, a mieścina wyglądała na jedną wielką targowicę. Do gospód, których tu siła było, nie śmiał zachodzić, boby go tam nie przyjęto, a wszystkie też napchane mu się zdały; pod kościół więc podążył, gdzie natrafił na młodego wikarjusza, który się nim ochoczo zaopiekował.

Miał Grześ twarz taką szczęśliwą, że na niej wypisane były uczciwość i pojętność, a choć mu na męstwie nie zbywało, przez surowego ojca wychowany, umiał być pokornym i starszych szanował. Ujmowało każdego sieroctwo dobrowolne i ta miłość nauki, która go z pod strzechy domowej wygnała.

Wikarjusz, rozpytawszy się chłopca, wziął go z sobą do izby. Sam syn ubogiego sołtysa, o własnej sile doszedłszy do święceń i kapłaństwa, znając Kraków i młodzież tę, która się do szkół jego cisnęła, lepszego się losu spodziewając, ani nie zdziwił się Grzesiowi, ani mu męstwa nie odbierał. Począł tylko potrosze wybadywać, co umiał i jak miał w głowie, a znalazłszy go przysposobionym nadspodziewanie, rokował najlepiej.

— Biedy juściż przecierpieć przyjdzie — rzekł, — ale komu Bóg dał cierpliwość a wytrwanie, wybrnie szczęśliwie.

— Z Wieliczki do Krakowa wozów codzień idzie tyle z solą na skład, że drogi pytać nie potrzeba. Pójdziecie za pierwszym lepszym woźnicą, a traficie łatwo. Przybywszy, trzeba się zgłosić do bakałarza i mistrza u Panny Marji; nikogo tam nie odpychają... Pan Bóg miłosierny. Gdyby u Panny Marji was nie przyjęto, jest ci prócz tej szkół dosyć, u św. Florjana i przy szpitalu św. Ducha.

Machnął ręką.

— Jest prawda i ubogich chłopiąt, jak ty, dosyć, ale jeden więcej nie ogłodzi krakowian.

Wikarjusz tak był dla Grzesia dobrym, że mu u siebie w izbie dał przenocować i nakarmił go, jak żaden jeszcze.

W Wieliczce wszędzie widać było dostatek wielki; mieszczanie, robotnicy, gmin wyglądali zażywno i wesoło. Prawda, że hałaśliwie też było po gospodach i browarach, a w ulicach do późnej nocy rozlegały się krzyki i śpiewanie. Ani się dziwić temu było potrzeba, bo się tu ściągało tyle ludzi, woźniców, gawiedzi, siłaczów do dźwigania ciężarów, handlarzy, przekupniów, iż spokojnie być nie mogło.

Nazajutrz rano po mszy świętej wikary, mając miłosierdzie nad Grzesiem, naraił mu wóz, który kupca z Krakowa tu przywiózł i niemal próżny powracał. Pozwolono mu się przysiąść ztyłu tak, że tegoż dnia nareszcie już się do Krakowa dobić spodziewał.

Z bijącem sercem wyglądał tylko, rychło się gród ten okaże, o którego wielkości tyle się po drodze nasłuchał, iż równie pragnął dostać się do niego, jak lękał w nim znaleźć.

Tu dopiero losy jego przyszłe rozstrzygnąć się miały.

Podróż na wozie nie tak jednak była pośpieszną, jak się Grześ spodziewał. Kupiecki woźnica żadnego szynku nie pomijał, stawał przed każdą gospodą, gdy konie głodne, z głowami spuszczonemi, razem z chłopcem godzinami czekać musiały. Prawda, że napiły potem smagał je i ruszał z kopyta, ale byle wiecha się pokazała nad drogą i konie znarowione i on się zatrzymywał.

Grześ wkońcu postrzegł, że jużby rychlej pieszo podążył, a miarkował, że do stolicy nie musiało być daleko. Gdy więc woźnica w lasku raz jeszcze stanąwszy, na piwo szedł, skarżąc się, iż upał był nieznośny, chłopak pożegnał go i na piechotę ruszył, bo dłużej wytrwać nie mógł.

Dzień był piękny i pogodny, a słońce już się miało ku zachodowi, gdy Grześ, z wozu zlazłszy, wielkim gościńcem puścił się ku miastu, którego bliskość czuć było.

Coraz gęstsi przechodnie, jezdni, wozy, żebractwo, wojskowi ludzie, pachołkowie, coraz też więcej budowli i szałasów nad drogą, sam gościniec kołami porznięty, rozjeżdżony szeroko, oznajmywały gród ludny.

Było na co patrzeć, czego słuchać, ale i strzec się też czego, bo napiłych a zuchwałych wałęsało się mnóstwo i bójki wśród drogi pomijać musiał.

Brzegiem więc, ścieżyną, powoli szedł Grześ, dumając, gdzie dziś noc przepędzi. Okolica przedmiejska źle rokowała, kiedy w niej tak było gęsto i ludno, cóż dopiero w mieście samem?

Myśląc tak i niebardzo pośpieszając, krok za krokiem szedł chłopak, oglądając się, czy do kogo nie będzie mógł się przypytać, gdy naprzeciw niego ukazało się dwóch wyrostków, prawie tego, co on wieku. Jeden z nich niósł na plecach wielki pęk różnego zielska, którego użytku nie umiał sobie Grześ wytłumaczyć. Nie było to ani siano, jakiem bydło i konie karmią, ani też ziele, jakie gospodynie do chlewni pod płotami wyrzynają. Więcej było widać kwiatów, niż liści.

Drugi, przy nim idący, starszy trochę, także miał w ręku pęk ziela i nakopanych korzeni.

Strój obu był tak niemal ubogi, jak Grzesia; kubraki wyszarzane, czapki wypłowiałe, tylko że oba na nogach mieli chodaki, a nie obcy tu musieli się czuć, bo wesoło i śmiejąc się gwarzyli, z przejeżdżających i przechodzących żarty sobie stroiąc.

Byłby ich może Grześ pominął, gdyby w tej chwili nie zaciężyło im owe zielsko, i rzuciwszy je na ziemię, oba około niego pod krzakiem przypadli odpoczywać.

Chłopak, zbliżający się powoli, wpadł im w oko. Swój swego najłatwiej wszędzie dopatrzy. Drewniana miseczka bakałarza, wisząca u pasa Grzesiowi, była jakby znakiem jego powołania.

Mając siedzących minąć, Grześ ich pozdrowił.

Starszy, któremu z oczów patrzała swawola, wesołość i śmiałość, podniósł rękę i powołał go do siebie.

— Ani chybi — odezwał się, — idziesz pewnie do szkoły?

— A dokądżeby, jeśli nie do niej — odparł Grześ. — A juści!...

— Skąd?

— E! zdaleka bardzo!

— A no, nie z Tatarszczyzny pewnie? — zaśmiał się starszy.

— Z Sanoka!

Chłopcy popatrzyli na się. Niewiele myśląc, Grześ, pot z czoła otarłszy, przysiadł się do nich. Obaj studenci oglądali go od stóp do głów, aż młodszy bąknął:

— Bosy!

— A tyś to w żółtych butach tu przyszedł? — przerwał starszy i zwrócił się do Grzesia.

— Umieszże choć abecadło? — zapytał.

— Nie bójcie się, jużem i Donata kosztował i z partesów śpiewam i z piórem się obchodzę, jak należy — rzekł Grześ z pewną dumą.

— Daj go katu! — roześmiał się starszy. — A czegóż się tu myślisz uczyć?

— Juści znajdzie się jeszcze wiele, nim bakałarzem, albo i mistrzem zostanę — śmiało odparł Grześ.

— Ho! ho! wysoko patrzy bosonogi — rzekł drugi.

Śmiali się wszyscy, a Grześ z nimi.

— To mi sam Pan Bóg w dobrą was zesłał godzinę — odezwał się po małej chwili. — Nie odmówicie mi, głuptaskowi, co ani miasta, ani ludzi nie zna, pomocy i rady.

Starszy w oczy mu począł patrzeć.

— Pójdziesz z nami — rzekł, — nie na wiele my ci się zdamy, ale dobra psu mucha.

— Przydacie mi się, byleście chcieli, na bardzo wiele — odparł Grześ, — a Bóg wam zapłaci.

Z początku poduczeni już studenci niewiele sobie przybysza tego ważyli, zwłaszcza, że z takiego zapadłego kąta, jak Sanok, przybywał, ale gdy go bliżej po-

znali, starszy go oszacować potrafił. Zgadało się o pisaniu, więc Grześ, nie mając się z czem chwalić, przyznał się, że na niem wielką pokładał nadzieję.

Obaj studenci, którym pismo nie smakowało, bo nad niem dobrze przysiadywać było potrzeba, mówili, że mu nie zazdrościli tej umiejętności.

— Z tem się nie wydawaj, że piszesz dobrze, jeżeli to prawda, że sanockie dobre pisanie w Krakowie też nie gorszem będzie — rzekł starszy. — Mistrze i bakałarze, gdy się tylko dowiedzą, że ci pióro raźno w ręku chodzi, pokoju nie dadzą, żebyś im Donatów i Aleksandrów, albo i Prisciana przepisywał. Zamęczą cię u pulpitu i uczyć się nie dadzą.

Grześ na to nie odpowiedział. Nie siedzieli już długo, bo wieczór nadchodził, więc ziele zabrawszy, dalej do miasta ciągnęli.

Nie sam więc, lecz pod opieką rówieśników, miał się do niego dostać Grześ, co mu śmiałości dodało.

— Cóż wy ze mną zrobicie? — zapytał ich Grześ. — Jak myślicie, gdzieby mi o nocleg prosić i gospody szukać?

— Na tę noc — rzekł Dryszek — chyba gdzie zakonnicy przyjmą, ale i u nich zawsze pełno. Ja mam u mieszczanina kąt, ale tam na drugiego miejsca niema, a gdyby było, mój stary niełatwoby nieznajomego wpuścił.

— Ja — wtrącił Samek, — w komórce u księdza Wacława nocuję, za co mu służyć muszę. Ten także lada kogo nie przyjmuje, a pod noc rozmówić się z nim niełatwo. Wielu ze studentów nie ma gdzie głowy położyć i sypia pod murami i po pustych szopkach. Noc wiosenna niedługa, choćbyście też ją na ziemi gdzie przebyli!

— A gdzież was jutro napytam, ja, co miasta nie znam? — odezwał się Grześ.

Samek podumał.

— Idź ze mną — rzekł, — przy ulicy św. Anny wiem plac, kędy dom murują. Stoją tam tarcice, o par-

kan oparte, pod któremi na trawie, jak w pałacu spać będziesz, a jutro ja was tam znajdę, albo wy mnie koło szkoły św. Anny.

Gwarząc tak, minęli bramę i Grześ znalazł się w ulicach, wśród których i znającemu lepiej miasto o mroku niełatwo było się pokierować. Byłby się obłąkał, gdyby Samek nie wziął go z sobą, ale musiał za to od Dryszka przejąć ziele i korzenie i nieść za nim, bo starszy około Panny Marji u mieszczanina miał przytułek.

Gdy tak szli ulicami coraz dalej w głąb miasta, Grześ nie mógł się napatrzeć tego, co mu się nastręczało i nieustannie pytał Samka, który, śmiejąc się, tłumaczył mu każdą rzecz, napół po prawdzie, pół drwiąco.

Bacznemu chłopcu nic nie uszło i straconem nie zostało. Odgadywał też wiele i był pewien, że kilka dni starczy dlań, aby się tu nie czuł obcym.

Po drodze do mieszkania ks. Wacława, kanonika krakowskiego, Samek pokazał towarzyszowi ów parkan i tarcice, pod które się miał na noc schronić. Ale stało się inaczej.

Samek nie mógł ziela i wszystkich korzonków nakopanych zanieść do komory kanonika, Grześ je dźwigał za nim.

Mieszkanie ks. Wacława było na pięterku. Weszli już na ciemne schody niewygodne, których nie znając, Grześ macać musiał ostrożnie i dobrze się trzymać poręczy, gdy niespokojny księżyna, usłyszawszy szelest, wyszedł z kagankiem.

Miał już zapewne połajać spóźnionego, gdy razem w oko wpadły mu i zioła, których zapach aromatyczny do niego dochodził i twarz piękna, z ciekawemi czarnemi oczyma nieznajomego chłopaka.

Podstąpił naprzód niecierpliwie ku kwiatom, które z widoczną radością chwycił w palce, zaczął rozpowiadać, gdzie i jak złożone być miały, potem zwrócił się do Grzesia.

— A tyś skąd?

Nim chłopiec zebrał się na odpowiedź, Samek już

z gadatliwością dziecinną paplał o spotkaniu na gościńcu, a ksiądz, kaganek zbliżywszy ku twarzy Grzesia, ciekawie mu się przyglądał.

— No, i cóż ty myślisz! gdzie będziesz nocował? — odezwał się kanonik.

— Pod tarcicami! — odparł śmiało przybyły.

Kanonik ramionami ruszył i zwrócił się do Samka.

— Weź go na ten raz do siebie — rzekł, — miejsca niema, ciasno, ale go tak precz wyrzucić się nie godzi; tylko żeby mi żadnej swawoli nie było!

Pogroził palcem. Grześ, nie rzucając swego ciężaru, zbliżył się, aby go w rękę pocałować.

Otwarto drzwi komórki, w której rośliny schnąć miały. Kanonik wszedł do niej także, aby dopilnować rozłożenia ich i rad był, że Grześ roztropnie dopomógł do tego. Uderzyła go widać fizjonomja przybłędy, bo nie dosyć, że mu nocować pozwolił u siebie, ale go do izby swej powołał dla indagacji.

Poznać było można po niej uczonego owych czasów, w których chciwi umiejętności ludzie chwytali wszystko, co ich na drogę nowych odkryć, lub dla przeświadczenia się o podaniach, zawartych w pisarzach starożytnych, mogło prowadzić. Komora zarzuconą była księgami, naczyniem różnem, kośćmi, szczątkami zwierząt i nieznanemi narzędziami, które w Grzesiu ciekawość i poszanowanie wzbudzały. Stanął zdala, pokornie — u progu, wielkie wytrzeszczając oczy.

Kanonik z zajęciem słuchał jego opowiadania, chociaż pochwalić nie mógł oporu rodzicielskiej władzy. Naganiał to chłopcu więcej z obowiązku, niż z przekonania.

— Nauka, moje dziecko — rzekł wkońcu, — piękna rzecz, ale więcej jest do uczenia się, niż życia starczy i nie każdemu dano dobić się do świątyni mądrości, a każdy może i powinien być poczciwym człowiekiem. Tak, nauka dobrą jest rzeczą, ale i złą być może, gdy upaja i w dumę wbija. Idź spać i spocznij, a jutro pomyślimy o tobie.

III.

Dobrą godzinę stał ciekawy Samek pode drzwiami kanonika, ucha nastawiając, aby rozmowę jego z Grzesiem usłyszeć, ale czy drzwi były grube, czy głosy za ciche, nie pochwycił wiele. Tem się tylko niepokoił, że badanie trwało zbyt długo.

Znając Grzesia i jego talenta, łatwo się było domyśleć przyczyny. Pochwalił się nieborak z pismem; księdzu w ten tak przedwczesny dar łatwego kaligrafowania wierzyć się nie chciało. Zasadził chłopca na próbę, a Grześ się z niej świetnie wywiązał.

Na wzór liter, w rękopiśmie sobie ukazanych, narysował ich kilka bardzo zręcznie. Ksiądz Wacław się zdumiał mocno, lecz nie chciał chłopcu okazać, jak go odkrycie to ucieszyło, ani wbijać w dumę; pochwalił chłodno. Obiecywał sobie z tego szczególnego uzdolnienia skorzystać.

Kilka odpowiedzi na zadanie z Donata i gramatyki dowiodły jeśli nie wielkiej nauki, to roztropności chłopca, która wiele obiecywała. Wszystko to nęciło kanonika, aby wziąć Grzesia do swych usług, ale dwu trzymać nie mógł, a Samka odpędzić tak dla własnej wygody nie chciał.

Ogólnemi więc słowy poleciwszy chłopcu, aby się w potrzebie zgłaszał do niego, odprawił go z tem, żeby się szkoły świętej Anny trzymał i gdzie indziej nie szukał pomieszczenia.

— A teraz pierwsza rzecz — dodał, — kiedy z jałmużny żyć musisz, abyś się do ojca żebrzących udał i pod jego poddał władzę.

To mówiąc, kanonik otworzył drzwi i Samka chciał zawołać, a stało się to tak niespodzianie, że chłopak ledwie zdołał odskoczyć, aby nie być złapanym na gorącym uczynku.

Samek przestraszony nadbiegł.

— Idź mi z nim do Patra mendikantów *(Pater mendicantium)* — rzekł kanonik, — powiedz mu, że ja go posyłam i że do szkoły przy św. Annie ma chodzić.

Niech go sobie zapisze i wyznaczy, kędy ma jałmużnę pobierać.

Odebrawszy ten rozkaz, dodany przewodnik razem z Grzesiem zbiegł ze wschodów z kwaśną miną. Obawiał się współzawodnika.

Ledwie zeszli na dół, gdy Samek, nie wytrzymawszy, zawołał, srożąc się, do wczorajszego przyjaciela:

— Ty! lizusie jakiś! Jużeś się kanonikowi przypochlebił! No, patrzajże, jak on mnie dla ciebie przepędzi, niemasz tu co popasać! Zbijemy tak, że żyw nie będziesz.

Grześ pobladł trochę.

— Czego ty chcesz ode mnie? — odparł. — Anim się myślał lizać twemu kanonikowi, ani miejsca twego nie zajmuję. W szkole dla wszystkich dosyć jest...

To mówiąc, Grześ chciał go porzucić i iść już sam, gdy chłopak się pomiarkował i wziął go za rękaw.

— Chodź ze mną — dodał, — kanonik kazał, zaprowadzić cię muszę do Patra, ale pamiętaj!

Pogroził mu.

Owego ojca żebrzącej młodzieży zwano Żurawkiem, mieszkał on na tyłach domku przy Kanonnej ulicy, a był chłop już dorosły, wąsaty i nietylko studenci, ale i mieszczaństwo się go obawiało.

W dwunastu ówczesnych szkołach kościelnych znajdowało się co najmniej kilkuset chłopców ubogich, pod zwierzchnością Patra zostających. Wszyscy oni gotowi byli na jego skinienie, a nikt porządku między tą swawolną gawiedzią utrzymać nie mógł, oprócz niego. On jeden miał prawo ćwiczyć, do kuny, czyli karceresu sadzić, i niepoprawnych z miasta wyświecać.

Żurawek miał pewnie lat trzydzieści, szkołę elementarną dawno skończył i zapomniał, czego się w niej uczył, sam nie wiedział, jak przyszedł czasu jakiejś zawieruchy przy pogrzebie żydowskim do zwierzchnictwa nad pauprami, a że energiczny był i surowy, zostawiono przy nim władzę przywłaszczoną.

Chodził Żurawek obyczajem wieku w sukni klechy, niby duchownej, ale nie myślał wcale o powołaniu tem,

ani o przyszłości, bo mu z tem ojcostwem ubogich wcale dobrze się działo.

Żydzi mu się opłacali dla spokoju, aby pauprom nie dozwalał znęcać się nad nimi, mieszczanie go częstowali też, aby porządku między chłopakami pilnował, bo starsi się nieraz dopuszczali bójki z czeladzią rzemieślniczą i jeden Żurawek mógł ich w ryzie i garści, jak powiadał, trzymać.

Z podwładną młodzieżą nie obchodził się łagodnie, utrzymując, że te wszy (tak się nieprzyzwoicie wyrażał) zjadłyby go, gdyby ich nie karcił. Dobrego słowa nie dał nigdy nikomu, a rzadko która czupryna i uszy ostały się przed nim całe. Miał to za zasadę, że potrzeba było przy pierwszem spotkaniu postrach obudzić, bo inaczej posłuszeństwa utrzymać nie można. Nie folgował nikomu i wiedziano, że z nim nie przelewki.

Samek nie ostrzegł Grzesia o tem, co go u Żurawka czekało; zły już na niego był i życzył mu, co go ominąć nie mogło, aby Pater zażył go z mańki.

Wchodzili na Kanonną, gdy Samek postrzegł wychylającego się z kamienicy swej Żurawka z obuchem w ręku i twarzą zarumienioną. Pośpieszył więc biegiem naprzód, aby sprawić poselstwo od kanonika i Grzesiowi wskazawszy Patra, sam drapnął.

Żurawek stał namarszczony, oczekując zapowiedzianego paupra. Począł go ostro pytać. Grześ, choć się strwożył, nie czuł się winnym, odpowiadał śmiało; Pater jeszcze mocniej się nasrożył, słuchając.

— Kto nie słucha ojca, matki, musi słuchać byczej skóry! — zawołał Żurawek wkońcu. — Rozumiesz to ty? Hę? Zbiegłeś z pod kańczuka ojcowskiego, ale ja też mam dyscyplinę i nie żałuję jej.

Chłopak milczał, oczy spuściwszy.

Nastąpiły pytania i odpowiedzi, przyjmowane szydersko, a po nich powtarzane groźby. Wkońcu, nałajawszy Grzesia bez winy, Żurawek poprowadził go z sobą, aby ukazać te domy i ulice, w których wolno było prosić o jałmużnę.

— A jak mi cię gdzie indziej złapią moje stare pau-

pry — dodał, — takie dostaniesz cięgi, że do sądnego dnia popamiętasz.

Obejście się było tak szorstkie, że Grześ zaniemiał strwożony. Walczyć z głodem i niedostatkiem gotów był zawsze, — ale ze złą wolą nie miał siły.

Spostrzegł Żurawek, nie mogąc z niego słowa dobyć, że dostatecznie chłopca zastraszył, zamruczał coś jeszcze, pogroził i odprawił go z fukiem.

Stał jeszcze Grześ w miejscu, w którem go Pater porzucił, gdy mu się szczęśliwym trafem nastręczył wczorajszy Dryszek, który nic o losach jego nie wiedział.

— Cóż się z tobą dzieje? — spytał.

Grześ opowiadać mu zaczął. Nie taił się z tem, że dużo stracił z wczorajszej odwagi, a choć kanonik pobłażliwie go przyjął, Pater za to za Boże stworzenie go nie miał.

Rozśmiał się Dryszek, ramionami ruszając.

— Nie bój się — rzekł; — więcej on burczy, niż kąsa, a byleś ze studentami się poznał i z nimi trzymał, nie zrobi nic. Że czasem za czuprynę pochwyci, lub za ucho pokręci, to u nas chleb powszedni, od tego ludzie nie umierają.

Dryszek się ofiarował zaraz pomóc zrobić znajomość ze studentami starszymi od świętej Anny.

Obyczaje, i u pauprów już naówczas naśladujące tradycje szkół wyższych, choć potajemnie i ukradkowo, każdego nowego przybysza zmuszały do wykupienia się od męczarni, które pod pozorem okrzesywania nieuków, zadawano nowicjuszom.

Mieli nawet pauprowie gospodę taką, w której kozłom ofiarnym, przybywającym, rogi odpiłowywano i brusy niezgrabne obcinano, aby ogłady nabrały.

W Grzesiu zapowiedź tych obrzędów wstręt i strach obudzała. Począł się Dryszkowi wypraszać i gotów był mu cały grosz oddać na poczęstowanie, byle się od piłowania i ociosywania uwolnić.

Ośmielił go, grosz wziąwszy, chłopak, iż mu krzywdy uczynić nie da i wszystko się obejdzie lekko.

Skończyło się na kilku poszturchańcach, na pytaniach podstępnych, na nauce potem, jak trzeba było kupy się trzymać i choćby cię pieczono i smażono w smole, nikomu nie powiadaj, co się działo w szkole. Piwo i pocałunki braterskie dokończyły obrzędu, po którym Grześ odetchnął wolniej.

Samek, który się stawił na otrząsiny, dodał przestrogę od siebie, że gdyby, broń Boże, kanonikowi się przylizał, a jego z komórki wysadził, niech lepiej potem z miasta się wynosi.

Grześ jakoś się poczuł śmielszy.

— Słuchajno — rzekł, — jam do księdza kanonika sam się nie wpraszał. Zaprowadziłeś mnie do niego. Nie będę się z tem taił, że mi kazał pokazać sobie, jak piszę, a pisanie mu się podobało. Jeżeli mi potem, za opiekę nade mną, każe sobie przepisywać, czym winien?

— A ja ci to tylko powiadam, słysz — przerwał Samek, — że jak mnie odpędzi, ja na twoich plecach szukać będę mojej straty!

Grześ zamilkł.

— Nie pójdę do niego, chyba mnie sam zawoła — rzekł po chwili.

Starsi zagadali o czem innem, a Samek, mrucząc, w kąt poszedł.

O noclegu Grześ dotąd nie myślał: wleźć pod tarcice, lub gdzie się pod kruchtą wcisnąć, zdawało mu się łatwem.

Tymczasem godzina wieczornej żebraniny nadeszła, głód dokuczał i trzeba było po raz pierwszy iść ode drzwi do drzwi z miseczką. Domy sobie miał wskazane, pamiętał je dobrze, ale kto tam mieszkał i jakie tam nieznajomego czekało przyjęcie, Bóg wiedział tylko!

Z bijącem sercem, miseczkę swą odjąwszy od pasa, zastukał do drzwi pierwszego dworu... ale tak nieśmia-

ło, że nikt go nie posłyszał; czekał długo, po raz wtóry uderzyć nie śmiał i odszedł z próżną miską.

W progu drugiego domostwa stała, patrząc na to, średnich lat niewiasta, trzymając kilkoletnią dzieweczkę za rękę.

Mieszczka była przystojna, pięknej tuszy, biała, w czółku na głowie błyszczącem, w rańtuchu świeżym, twarzy wypogodzonej i wesołej. Dzieweczka może ośmioletnia, podobna do niej, śmiejąca się, tupiąca nóżkami, także przystrojona jaskrawo, razem z matką przypatrywała się Grzesiowi zdaleka, i gdy zkolei zbliżył się do nich, zdejmując czapczynę, a pokazując próżną miseczkę, jejmość pochyliła się ku niemu, bo na wysokim wschodku stała, i chcąc lepiej mu się przyglądnąć, pod brodę go wzięła.

Piękna twarzyczka chłopaka z czarnemi oczyma uderzyła ją i litość wzbudziła. Nim się odezwał, poczęła mówić żywo łamanym językiem, po czem Grześ poznał, że rodem była Niemką.

— A ty skąd? Jeszcze cię tu nigdy nie było.

Małe dziewczę, pieszczoszka ruchwała, śmiejąc się, przybliżyła się także do Grzesia i, naśladując matkę, pulchniutką łapką chwyciła go za podbródek. Chłopak, zobaczywszy tę białą rączynę dziecka tuż przy ustach swoich, pocałował ją, co w dziewczęciu wzbudziło śmiech głośny.

Matce oczy się zaświeciły.

— Cóżeś ty za jeden? Mów!

Nim się Grześ zdobył na odpowiedź, mieszczka po namyśle skinęła na niego i wprowadziła za sobą do dworku.

Dziwnie pięknie i czysto wydało się tu Grzesiowi. W izbie, do której weszli z sieni, świeciło drzewo i mosiądz, cyna i szkło, jakby tylko co z rąk kunstmistrza wyszło. Woń jakaś zdrowa i miła napełniała mieszkanie.

W krótkich słowach, począwszy od pokłonu, chłopak rozpowiadać począł o sobie. Nie uważał tego, że na ławie w kącie, nad sporym kuflem, podparty na

łokciach obu, siedzący w milczeniu mężczyzna przysłuchiwał się też opowiadaniu.

Grześ nie pamiętał własnej matki, niewiast widywał mało i to tylko takie, które dzieci nie lubiły i ostro się z niemi obchodziły; łagodny głos i wyraz twarzy matki i dziecka serce mu otworzył, dobył z niego uczucia i słowa wcale różne od tych, któremi tłumaczył się przed innymi ludźmi. Poskarżył się na swoją dolę.

Był sam, nad nim jeden Bóg na niebie, na noc nie miał dachu nad głową, chleb musiał u litościwych wypraszać ludzi.

Mieszczka słuchała, dzieweczka nawet zdawała się go rozumieć i litować nad nim. Co więcej, siedzący nad kuflem ospały mężczyzna zamruczał dziwnie i zaszwargotał coś niezrozumiałego.

Grześ stał jeszcze ze swoją miseczką, gdy zawołano sługi. Ruszyła się dziewczyna od matki i, biegnąc, a śpiesząc się, przyniosła garnuszek, z którego, kazawszy mu usiąść na ławie, dano chłopcu jeść kluski z mlekiem, które mu bardzo smakowały. Matka, dziecię i opasły mężczyzna, siedzący w czapce za stołem, z pociechą jakąś przypatrywali się pożywającemu.

Mieszczka pytała go ciągle, a Grześ, ośmielony, wesoło rozpowiadał o sobie. Dzieweczka — niespełna po polsku rozumiała, kiedy niekiedy pytała matkę o tłumaczenie tego, co mówił o sobie chłopiec.

Wszyscy widocznie litowali się nad biednym. Gdy przyszło do zapytania o nocleg, a Grześ o swojem schronieniu pod tarcicami mówić zaczął, mieszczka załamała ręce białe, a gruby, milczący człek z za stołu po niemiecku coś zamruczał i z kobietą się naradzać zdawał.

Zjadł wkońcu Grześ i pokłoniwszy się pięknie, jejmość chciał w rękę pocałować, gdy ta go zatrzymała.

— Nie może być, abyś tak na podwórzu spał — rzekła. — Pan Bóg cię zesłał, trzeba ci dopomóc. Jest u nas komórka próżna, gdzie się przespać możesz, póki sobie lepszego nie znajdziesz miejsca.

Nie wiedział chłopiec, jak dziękować. Zajęto się nim zaraz pilno. Dzieweczka tak samo, a może więcej od matki.

Zaprowadzono go do owej komórki na tyłach, w której stało kilka próżnych fas, a knecht, Niemiec, przysadzisty, karłowaty, posłał mu w kątku słomy.

Izdebka była, prawda, przyciemna, z jednem małem okienkiem za gęstą kratą, bez zamknięcia, ale powietrze wiało łagodne i na sypialnię chłopak nie mógł pożądać lepszego kąta. Bogu więc dziękował.

Sen przyszedł rychło, a choć z nim dziwne marzenia, w których studenci mu dokuczali, przyleciały także, Grześ się przespał do rana, i jak tylko w podwórku ruszać się zaczęto, był na nogach.

Stara służąca, zobaczywszy go wychodzącego, z polecenia swej pani dała mu kawałek chleba z serem i przypomniała, żeby śmiało na noc przychodził.

W kościele św. Anny Grześ nie zastał jeszcze nikogo, oprócz dziadów, którzy zamiatali i robili porządek; czekał więc cierpliwie w progu. Zadzwoniono na mszę i dziatwa ściągać się powoli zaczęła.

Choć Grześ wczoraj już został przyjęty do gromadki, nie obeszło się bez potrącań i psot, bez pytań i śmiechów.

Krakowskim pauprom ten przybłęda z Sanoka wydawał się biedotą i nieukiem. Szydzili więc sobie z niego, co on cierpliwie znosił. Stanął już do mszy świętej w szeregu z innymi, ale na końcu, jako najpóźniej przybyły, z niedorostkami, którzy nie byli litościwsi od starszyzny.

Ze mszy wprost potoczyło się, co żyło, do szkoły, która podzielona była na kilka części, a Grzesia ledwie do najostatniejszej przyjęto.

Wszedł o kiju preceptor pauprów, starowina zawiędły, z gębą zaciśniętą, bezzębną i policzkami wpadłemi. Katederka sosnowa z pulpitem, w której zasiadł, tak ustawiona była, że po obu jej stronach mieściły się ławeczki, a w nich studenci. Grześ ledwie się do ostatniej docisnął.

Nauka poczęła się od modlitwy, po której, rzuciwszy okiem na uczniów, stary Blasjusz, senjor, dojrzał nieznajomego Grzesia. Powołano go na środek. Towarzysze gotowali się wyśmiać nieuka, lecz sanoczanin wyszedł śmiało.

Blasjusz tedy, rozkazawszy mu przystąpić bliżej, wziął się do indagacji. Okazało się naprzód, że chłopak umiał czytać i pisać lepiej, niż się tu ktokolwiek spodziewał. Przyszło potem do Donata i Prisciana, a że Grześ przepisywał ich parę razy, umiał expedite obu i z gramatyki wyszedł zwycięsko.

Zdumienie wielkie wyraziło się milczeniem ponurem. Senjor usta jeszcze mocniej zakąsił. Dystychy Katona, z któremi chłopak ofiarował się popisać, do reszty towarzyszów jego przybiły.

Nie można było powiedzieć inaczej, tylko że Strzemieńczyk ubogi, na wiek swój cudownem był dziecięciem. Zazdrość obudziła się w chłopiętach, które gotowały się wyśmiewać z niego.

Preceptor tylko nie dał poznać po sobie zdziwienia; wyegzaminowawszy chłopca, siąść mu kazał i spozierając na niego zdala ciekawie, wziął się do innych.

Grześ miał tyle powściągliwości, że wcale zwycięstwem nie okazywał się dumnym, a przy wykładzie senjora pilno uszu nastawiał. Tem go sobie pozyskał.

Godzina nauki przeszła ze zwykłemi epizodami kar, strofowania i powtarzanych lekcyj, a gdy dzieci rozchodzić się miały, Blasjusz dał znak Grzesiowi, aby się zatrzymał. Pogładził go po głowie, pochwalił i z tem odprawił, że nazajutrz obmyśli, gdzie go posadzi i czego mu się uczyć każe.

Pozostała w dziedzińcu gawiedź, gdy Grześ wyszedł, już go inaczej powitała. Nie szydzono sobie z niego, ale widocznie mu zazdroszczono. Samek koso nań patrzał.

Miał polecenie od kanonika Wacława, aby go z sobą do niego przyprowadził. Nie groził mu już teraz, kwaśno tylko i powzdychując, żalił się na swój los,

w ciągłej będąc obawie, aby go przybysz z komórki kanonika nie wysadził.

Uspokajał go chłopak, jak mógł i umiał. zaręczając, że z niczyjej krzywdy nie chciałby korzystać i samby się za nim wstawił. Gospody też nie potrzebował już, bo mu ją Opatrzność cudownie naraiła.

Z wielką dobrocią przyjął go ks. Wacław, rozpytując o szkołę i jak mu się powiodło. Grześ miał do dobrego, starego księżyny śmiałość wielką i wszystko mu opowiadał, co mu się przygodziło, a kanonik ciągle tylko powtarzał:

— Panu Bogu dziękuj, Panu Bogu dziękuj, a w pychę się nie wbijaj!

Ponieważ wczorajsza próba pisania tak wypadła dziwnie, iż kanonikowi w nadzwyczajną kaligrafję dziecka wierzyć się nie chciało, tym razem miał już przygotowany papier, inkaust, pióra, pulpit, wzór i stanąwszy za Grzesiem, kazał mu w oczach swych modlitwę, przywiezioną przez pewnego pątnika z Jerozolimy, przepisywać.

Nie była ona długa, ale ten, co ją kaligrafował wprawną ręką, nie żałując rubrum i popisując się z rozmaitemi wykrętasami, zrobił ją, jakby popisowym obrazkiem.

Grześ takich elegancyj nie widział, jako żywo; długo się naprzód przypatrywał, ale o sobie nie zwątpił. Wziął się naprzód do rubrykowania, które pisanie ułatwiało, potem zlekka pooznaczał miejsca, wreszcie, przeżegnawszy się, zasiadł do roboty.

Rękopism był dosyć stary, więc tem wyraźniejszy, bo w XV wieku już coraz mniej pięknie i nie tak dokładnie pisywano, a skrócenią się mnożyły, Grzesiowi więc łatwo przyszło wiernie powtórzyć, co miał przed sobą. Było tego razem około dziesiątka wierszy niedługich.

Około Amen piszący naplątał linje, naśladujące niby gałązki z liśćmi, co mogło się najtrudniejszem wydawać, ale Grześ i z tego wyszedł zwycięsko, rubrum

potem wziąwszy, czerwone litery podopisywał bardzo zręcznie.

Kanonik, patrząc, za boki się trzymał, oczy przymrużał i mruczał:

— Chwat! gracko! Daj go katu!

Nie śmiał go zaraz do roboty zaprząc, ale za modlitwę dał mu kilka pieniążków i kazał się dowiadywać do siebie.

— Ucz się łaciny — dodał — wyjdziesz na człowieka!

Izba u kś. Wacława była pełna rękopismów, wziął się więc pokazywać Grzesiowi jedne po drugich, coraz piękniejsze, zachęcając go, aby i on do takiej doskonałości dążył.

Tak dzień ten przeszedł w części u kanonika, potem ze studentami, u Samka, a gdy się wieczór zbliżał, Grześ, choć z pewną trwogą, pociągnął do domu Niemca.

Wiedział już, że go zwano Balcerem, że miany był za bogatego i ludzie o nim mówili dobrze. Handlował on towarami łokciowemi, miał sklep w Sukiennicach i był wybrany ławnikiem.

Choć Niemiec, Balcer, dawno tu zamieszkawszy, do kraju się przywiązał, a żona i córka, jedynaczka, nauczyły się trochę po polsku.

Dbał on o to, aby języka nabyć i sam mówił polszczyzną, choć łamaną.

Jeszcze Grześ był od dworka Balcera daleko, gdy dostrzegł, że dzieweczka ze drzwi w ulicę wyglądała, jakby się go spodziewała. Jakoż, poznawszy go, pobiegła do matki i gdy się zjawił w progu, sama już dźwigała garnuszek, chlebem przykryty, uśmiechając się do niego.

Balcera, który wczoraj za stołem siedział, dnia tego nie było; jejmość tylko i słudzy. W czasie, gdy się pauper posilał, mała Lena stanęła przy nim, oparła się na ławce i zaczepiała go, dopóki nie począł z nią rozmowy.

Dziecko było tak rozumne, jak piękne, wesołe

i śmiałe a gadatliwe. Szczebiotało niegorzej od matki po polsku i z tym językiem się przed Grzesiem popisywało. Musiał przez wzgląd dla matki zabawiać ją chłopak, aż póki się nie zrobiło ciemno, Balcer nie powrócił, a jemu do komórki odejść nie dozwolono.

Takie były początki studenckiego życia Strzemieńczyka.

Nadzwyczajne zdolności bardzo prędko dozwoliły mu się odznaczyć i zająć w szkole miejsce między najstarszymi, a nawet być pomocą nauczycielom. Rokowano mu wielką przyszłość, tem bardziej, że pokornym był i w dumę się nie wbijał.

Czuł to bardzo dobrze, iż mu całe morze do wypicia w nauce zostawało, że stał u brzegu dopiero. Sięgał myślą tych wyżyn, których się chciał dobić.

Chłopcy, co mu zazdrościli w początku, prześmiewali i radzi byli szkodzić, uciekali się teraz do niego o pomoc, której im nie odmawiał. Mało jednak z nich który umiał być wdzięcznym; był im solą w oku, bo senjorowie na niego drugim ukazywali i chwalili.

Choć Balcerom nie chciał być ciężarem, tak się jakoś złożyło, że mu już odejść nie dano. Staremu zapisywał rachunki, a Lenka wyprosiła sobie, żeby ją uczył po polsku, czego sobie i matka, i ojciec życzyli. Komórkę opróżniono z fasek, dano okiennicę w niej i zrobiła się z niej izdebka niczego, w której znalazł się stół i ławka.

Ks. kanonik Wacław, posługując się także Grzesiem, którego bardzo polubił, dał mu starą koszulę i suknię przenoszoną, którą krawiec przerobił na tak piękną, iż mu jej paupry zazdrościli.

Balcerowa i Lenka różne mu gałganki wtykały, opatrując go i coraz się do niego więcej przyzwyczajając.

Grześ uczył wciąż po polsku przy matce córkę, a stało się tak, że i sam z tego niespodziewanie skorzystał, bo mimo wiedzy i woli prawie począł po niemiecku szwargotać. Miał pamięć doskonałą i łatwość

uczenia się wielką, tak, że rok nie upłynął, a już się mógł po niemiecku rozmówić.

Z łaciną też szło raźno i dystychy Katona przeszedłszy, dalej poczynał już Grześ kosztować retoryki, szybkie w niej czyniąc postępy. Śpiewem, do którego miał głos i ucho osobliwe, celował pomiędzy uczniami i stawał przy kantorze, młodszych musztrując.

I tu go podziwiano, a lubowano się dyszkantem, gdy przy cytrze pieśni zawodził.

Rok przeleciał, jak błyskawica... Nie zmieniło się nic, oprócz tego, że Grześ był coraz pewniejszym siebie, a to, czego się uczył chciwie, nie starczyło mu. Radby był prędzej przebył tę przestrzeń, którą drudzy mozolnie przechodzili, lecz nauczyciele sami wstrzymywali go i hamowali tę porywczość młodzieńczą.

Rósł też chłopak jak na drożdżach, a co drugim lata często dziecinną piękność odejmują i z wyrostków przystojnych czynią pospolitych ludzi, jemu wiek i do rozwinięcia się dziwnie wdzięcznego dopomagał.

Nie szkodziło to wcale, bo marna ta piękność cielesna, choć trwa tyle, co kwiatek i niewiele ważyć się zdaje, przecie serce i oczy porywa, uprzejmość zyskuje, uprzedza dobrze i w życiu pomaga.

Grześ stawał się coraz piękniejszym, a twarz, której oczy ciemne patrzały rozumem, miała wdzięk jakiś, którego sile nikt się oprzeć nie mógł. Pieszczono go u Balcerów, lubiono wszędzie, zapraszano z cytrą na uczty, aby śpiewał, obdarzano chętnie. Nie zbywało mu na niczem.

Osobliwie mieszczanin, żona jego i Lenka przywiązali się do paupra, tak, że stał się ich domownikiem i jakby do rodziny należał. Miseczkę drewnianą Ryby mógł na półce postawić, bo jej wcale nie potrzebował. Nieznacznie jakoś przyszło do tego, że mu u stołu zrobiono miejsce, a gdy się spóźnił, zostawiano jedzenie.

U ks. Wacława spędzał zawsze jakąś godzinę za pulpitem, coś mu przepisując, więc się do coraz nowych charakterów przyzwyczajał, nabył wprawy jeszcze większej i nietylko kopjował, co mu dano, ale

począł charaktery wszystkie naśladować tak, iż pisma jego od oryginału rozpoznać nie było podobna.

Drugiego roku chłopak znowu podrósł znacznie, zmężniał, a że ciągle z ks. Wacławem obcował i przysłuchiwał się ciekawie każdemu jego słowu, pochwytał od niego wiele wiadomości, które naówczas mało komu były znane. Uczył się własności ziół, kamieni, osobliwych tworów natury i świata zwierzęcego, których był bardzo ciekawym.

Grześ o przyszłości jakoś wogóle wcale nie myślał i gdy drudzy uczyli się dlatego, aby ją sobie zapewnić, on uczył się dla nauki. W ubogim chłopcu było to tem dziwniejszem.

W początkach po przybyciu do Krakowa niejeden raz myśl Strzemieńczyka zwracała się ku dworkowi w Sanoku, do ojca i brata. Choć się tam z nim nieludzko obchodzono, trochę serca przywrzało do kolebki. Powoli jednak zacierały się wspomnienia, przywiązywał się do tego miasta, w którem naukę było czerpać łatwo.

Ale i dalszy świat go nęcił.

W domu Balcerów nasłuchał się dużo o Niemczech, o miastach, w których i bogactwa wielkie i skarby nauki były nagromadzone. Przybywali tu ludzie zdaleka, powieści przelatywały z całego świata. Tu zasłyszał o Włoszech, do których jeżdżono po naukę z Polski, o krajach na Zachodzie, z których do Polski przywożono wyroby tak piękne i misterne, jakich tu nikt robić nie umiał.

Powziął więc wielkie wyobrażenie o tych nieznanych krajach i gorącą chęć poznania ich. Na męstwie do rzucenia się w podróż mu nie zbywało. Taił się z tą myślą przed wszystkimi, boby go zakrzyczano pewnie, iż rwał się bezrozumnie za góry, gdy w domu, w Krakowie były otwarte Kolegja, w których nauki wszelkie wykładano, i gdzie bakałarzem, mistrzem, a nawet doktorem było można zostać, tak, że i na obcych nie zbywało, co z tych źródeł czerpali.

Wiedział o tem Grześ, a przecież myśl wędrówki go nęciła.

Trzy już lata upływało od przybycia Strzemieńczyka do Krakowa i Grześ, skończywszy dawno szkołę trywjalną, uczył się już dochwytkowo tu i owdzie, zaglądając wszędzie, gdzie mógł i zapas sobie przysposabiając na drogę.

W piętnastym roku wąs mu się zaczął wysypywać przedwcześnie, wyrósł, wypiękniał, siły nabrał, a nic o przyszłości nie postanowił dotąd, oprócz, że nauki musi kędyś dalej szukać, aby ją przyniósł do domu.

Uciec jednak, nie opowiedziawszy się nikomu, nie godziło się. Współuczniom, którzy zawsze zawistnem nań spoglądali okiem, spowiadać się nie potrzebował z tego, co chciał począć, ale Balcerów tak opuścić, kanonika porzucić — serce wdzięczne nie pozwalało.

Do swej gospodyni, która nań była bardzo łaskawą i niemal jak dziecko własne kochała, przywiązał się, równie jak do starego Balcera, a najbardziej do dwunastoletniego wyrostka Leny.

Dziecko to w oczach jego rozkwitło i rozwinęło się cudownie, a rodzice utrzymywali, że Grześ przyczynił się do ułatwienia jej tej nauki, jaka kobiecie była do jej życia potrzebną. Od niego nabyła wprawy w mówieniu po polsku, on ją poduczył grać na cytrze i śpiewać, jemu winną była, że ojcu pomagać mogła w rachunkach, a nawet coś zapisać za niego. Dziewczę było nadzwyczaj pojętne, nauczyciel pilny i serdeczny, Lenka też nie potrzebowała wiele, bo kobiety naówczas małem się ograniczały; naturalny rozum, dowcip, domyślność z tego ziarnka, które im dano, snuły resztę.

Grzesiowi opuścić ten dom i swą uczennicę, która do niego była przywiązaną, było boleśnie... ale taż sama żądza, co go wygnała z Sanoka, poszła dalej w świat, obiecując złote góry.

Trzy lata tu przebywszy, skorzystawszy wiele, postanowił puścić się na wędrówkę.

Pierwszemu kanonikowi Wacławowi zwierzył się

z tą myślą; ten przyjął zdumionem milczeniem niespodzianą wiadomość.

Gdyby był mógł, wstrzymałby go był pewnie, ale sumienie czyniłoby mu wyrzuty; mówił sobie w duszy, że przeznaczeniem chłopaka było szukać mądrości, że w nim głos wewnętrzny był oznaką powołania. Mimowolnie zwilżyły mu się powieki, nie rzekł słowa, zbliżył się do Grzesia, wziął go za głowę i pocałował w czoło. Chłopak przypadł mu do kolan.

— Jeżeli czujesz w tem wolę Bożą, idź — rzekł. — Szkoda mi ciebie, ale któż wie? może podróż ta będzie pomyślną, a ty z niej wrócisz, abyś był chlubą i ozdobą naszą.

Trudniej przyszło Grzesiowi przyznać się do zamysłu swego Balcerom. Cicho naprzód powiedział o tem samej jejmości.

Balcerowa lubiła go bardzo, ale dziecię swe kochała więcej jeszcze, a obawiała się może coraz wyraźniej objawiającego się przywiązania swej jedynaczki do ubogiego chłopca. Niebardzo się więc sprzeciwiała. Dobroć jej tylko okazała się w macierzyńskiem staraniu o wybór do tej podróży, na którą chciała wyprawić Grzesia zaopatrzonego we wszystko, co ją mogło ułatwić.

Przed Leną tajono długo, że ją młody nauczyciel i towarzysz miał porzucić. Jednego wieczora stali oboje we drzwiach od ulicy, rozmawiając i śmiejąc się, gdy Grześ, spojrzawszy na wesołe dziewczę, nagle posmutniał.

Z napastliwością pieszczonego dziecięcia, które wie, że mu nic odmówionem być nie może, Lena zaczęła badać o przyczynę zachmurzenia.

— A! — odezwał się chłopak — jakże nie mam się smucić, gdy lada dzień będę musiał iść stąd precz.

Lena poskoczyła, w ręce uderzając.

— Dlaczego? dokąd? — krzyknęła. — To być nie może.

— Być musi! — rzekł smutnie Grześ. — Całym

majątkiem moim jest to, co umiem i czego się nauczę; muszę więc iść w świat szukać mądrości.

Lenie łzy stanęły w oczach, nie mówiła nic, rękami tylko strzepując. Grześ, jako starszy, począł tłumaczyć konieczność i mówić o przyszłości, o powrocie.

Dziewczę, nie wiedząc, jak go przekonać i od tego zamiaru odwodzić, pobiegło na skargę do matki, ale znalazło ją już przygotowaną.

Trzeba się więc było poddać konieczności, której Lena wcale nie rozumiała. Uległa jej ze srogim żalem do Grzesia, na którego się gniewać chciała a nie mogła. Płakała w swej izdebce, a matka, nie mogąc inaczej, pocieszała ją tem, że dobry przyjaciel powróci.

W komórce chłopaka leżały już gotowe węzełki, bielizna, trochę odzieży, żywność i koletka z groszakami uzbieranemi.

Grzesiowi ściskało się serce. Obawiał się pożegnania i własnej słabości, i jednego dnia wiosennego, podobnego do ranka, w którym opuścił Sanok, wyszedł z tłumoczkiem na plecach, z kijem w ręku, przestępując próg gościnnego domu, gdy wszyscy spali jeszcze. Pocichu otworzył i zamknął drzwi za sobą. Spojrzał na ciche domostwo, pobłogosławił dobrym ludziom i, budząc w sobie męstwo, puścił się pustemi ulicami miasta ku Florjańskiej bramie.

Godzina była tak wczesna, że nikogo prawie nie spotkawszy, dostał się na przedmieścia. Zwrócił się raz jeszcze ku grodowi temu z niemem pożegnaniem i nagle, jakby sam się lękał siebie, począł szybko iść gościńcem, nie oglądając się już, a w duchu powtarzając tylko:

— Powrócę! powrócę!

Gdy przez cały dzień Grzesia nie widziano w mieście, rozeszła się zaraz wieść, że zbroiwszy coś, uszedł, obawiając się kary.

Bronić go nie było komu.

IV.

W pięć lat po owej mniemanej ucieczce Grzesia w gospodzie pod Krakowem, która się zwała Podrębą, na przyźbie odpoczywał młody podróżnik, którego suknie, pyłem okryte, uznojona twarz, buty zbłocone i zbielałe od kurzu mówiły o długiej wędrówce.

Właśnie był spory tłumoczek zdjął z ramion i złożył go przy sobie na ziemi, rozglądając się po okolicy. Z sukni i stroju miarkując, przybysz się wydawał cudzoziemcem. Ubrany był tak, jak w Niemczech naówczas chadzano, nie wykwintnie, ale czysto. Samo to, że pieszo odbył podróż, dowodziło, iż niezamożnym być musiał. Suknie z grubej tkaniny i niepokaźne potwierdzały to przypuszczenie.

Do pewnego stopnia wszakże twarz i postawa wędrowca kłam zadawały temu; oblicze miał piękne, rysy szlachetne, a wyraz ich energiczny i dumny nie godził się z wyszarzanym kubrakiem. Spoglądał śmiało dokoła, a usta mu się ściągały dziwnym uśmiechem.

Gospoda podmiejska podobną była do wszystkich tego rodzaju zajazdów, do których się zbiegają szumowiny gminu, włóczęgi, żebracy i to, co w mieście pokazać się nie śmie, lub tu łatwego zarobku szuka.

Grześ, dobywszy po staremu chleba z serem, kazał do nich podać miarkę cienkuszu, którym wieczerzę popił. Wziął potem tłumoczek na plecy, kij do ręki i żywo puścił się znaną już drogą ku miastu. Myślał teraz, porównywając pierwsze swe przybycie do Krakowa i powrót do niego po latach ośmiu, ważył i rachował, co zyskał, a miał powód być z tego dumnym.

Teraz już mógł śmiało do akademji się zapisać, a słuchać nauki wszelkiej, bo był przygotowanym i nauk tych świadomym. Bakałarzem, mistrzem, doktorem chciał być, a potem w kolegjum zasiąść i młodzieży wykładać, co mozolnie zdobył.

— I suknię wdziać duchowną — myślał w duchu — a czoło mu się zachmurzyło.

Stanęła przed nim piękna Lenka i świat żywy, cały, który duchownym był zamknięty. Westchnął.

Tak, potrzeba było wybierać ze dwojga, — mądrość albo życie, jeden z dwóch światów, klaustrum nauki, albo teatr czynnego życia.

Oddawna już walka tych dwóch niezbytych i niepojednanych przeciwieństw duszę jego rozdzierała... a gdy śnił o tem, iż trzeba było jedno wybierać, wkońcu odtrącił oboje, bo zawsze po czemś płakaćby przyszło.

— Czasu mam dosyć — mówił sobie — Bóg wskaże, co czynić. Wiódł mnie dotąd... natchnie w chwili stanowczej.

Już na pacierze wieczorne dzwoniono w mieście, gdy Grześ, przebywszy wrota, wszedł w ulicę, a widok tych miejsc znanych, zasianych tylu pamiątkami, rozweselił go. Wracały mu żywo spędzone tu lata.

Ale napróżno zwracał oczy ku ludziom, których spotykał; twarzy znajomych nie było. Nikt go tu nie witał, spoglądano, jak na obcego. Na Florjańskiej Niemiec, stojący przed domem, zobaczywszy go i po stroju domyślając się wędrownego współziomka, zagadnął go swym językiem.

Grześ był z nim przez tych lat pięć oswojony i z mowy Polaka w nim poznać było niepodobna. Odpowiedział niemczyzną taką, iż mu mieszczanin, rękę podając, do gospody do siebie zapraszał.

W istocie potrzebował jej choćby na noc jedną. Do Balcerów się wpraszać znowu nie chciał, choć mu ich widzieć pilno było. Przyjął więc ofiarę pana Kurta pasamonika, który go do izby wprowadził, ani wątpiąc, iż ziomka ma przed sobą. Strzemieńczyk też nie sądził potrzebnem wydawać się z tem, kim był i na zapytania tak zręcznie odpowiadał, iż się nie zdradził.

Ponieważ odzież i postawa nie dozwalały się domyślać, iż studentem był, wzięto go za czeladnika od cechu jakiegoś i rzemiosła. Grześ nie mógł zostawić gospodarza w tym błędzie i przyznał mu się, że na naukę do akademji przybywał.

Nie było to już podówczas rzadkością w Krakowie, że cudzoziemcy tu do młodej macierzy się ściągali. Węgrów, Czechów i Niemców nawet schodziło się wielu, a szkoła jagiellońska zażywała w świecie sławy, nie mniejszej od najstarszych sióstr swoich.

Objawiało się też tu w tych czasach pierwszych, zwłaszcza w teologicznem kolegjum, życie wielkie, gorące, młodzieńcze, czego najlepszym dowodem był zastęp uczniów liczny już ze świątobliwości swej i nauki, z żywota ofiarnego, ascetycznego, apostolskiego, dających się poznawać.

Nie zdziwił się więc pasamonik Niemcowi, który tu przyszedł po mądrość, chociaż wydało mu się osobliwem to, iż z tak daleka się przywlókł.

Z tą gościnnością chrześcijańską, która była naówczas wszędzie obowiązkiem i obyczajem, dano Grzesiowi posiłek i legowisko. Rozpowiadał im za to o dalekich krajach i o miastach, za któremi tęsknili.

Nazajutrz rano, zostawiwszy tłumoczek swój dosyć ciężki, bo w nim papier ważył nad wszystko, przebrawszy się, Grześ pośpieszył naprzód do kościoła św. Anny.

Tu już pomiędzy studentami, po latach pięciu, ani jednej nie znalazł twarzy znajomej, bo dziatwa powyrastała i zmieniła się, a starsi w świat poszli. Kościół zato pozostał niezmieniony, tak, jakgdyby Grześ wyszedł z niego wczora.

W progu zawahał się. Serce go ciągnęło do Balcerów, a strach jakiś odganiał. Poszedł do kanonika Wacława. Gdy zapukawszy do drzwi, wsunął się na próg, staruszek, siedzący w krześle nad ogromną księgą, podniósł oczy zmęczone, wpatrzył się w niego i — nie poznał.

Był-li temu winień uczeń, co się tak odmienił, czy źrenice, które tak osłabły?...

Dopiero, gdy do pocałowania ręki Grześ się przybliżył, odezwawszy się ze zwykłem — Laudetur, kanonik, na obu poręczach się oparłszy, uradowany, porwał się na nogi.

— Grześ! — zawołał — Bogu wielkiemu niech bę-

dą dzięki... Cały! żyw! A zmężniałeś? A rozumużeś nabrał? A nauki przyspożyłeś?

Starcowi głos mienił się łzawo. Wzrok miał osłabły, a chciał się przypatrzeć chłopcu, więc go przyciągnął ku sobie i z pociechą przyglądał się męskiej jego twarzy, a z ust wyrywały mu się pytania, na które nie doczekawszy się odpowiedzi, zarzucał go nowemi.

Strzemieńczyk, któremu w sercu po przywitaniu z kanonikiem zrobiło się ciepło, rozgadał się swobodnie, a o pięcioletniej podróży zaprawdę było co mówić. Przypatrywał się wszystkiemu. Choć języki i poezje, zwłaszcza starożytne, najwięcej go ku sobie pociągały, niemniej też śledził i badał, co uczono z historji natury.

— Cóż teraz myślisz z sobą czynić? — zapytał wkońcu ks. Wacław, ciągle się w ucznia wpatrując.

— Ojcze kochany — rzekł Grześ, wahając się — spełna nie wiem, co uczynię. Poproszę Boga o natchnienie, jaką mam pójść drogą; to pewna, że się chcę uczyć, że się w naszej akademji rozsłucham i rozpatrzę, i dobijać się będę bakalarstwa, a bodaj biretu, jeżeli siły starczą.

— Tak, tak! Przeznaczenie twoje nie może być innem — rzekł ks. Wacław. — Musisz przywdziać suknię naszą i będziesz kiedyś filarem tej jagiellońskiej szkoły, która światu zaświeci blaskiem wielkim. Nauka, gdy kto raz z nią ślub wziął, staje mu się wierną towarzyszką życia do zgonu.

Zbyt jeszcze młoda krew płynęła w żyłach chłopaka, aby mógł zupełnie wyrzec się świata; zamilkł więc, ani przecząc, ni potakując.

Kanonik rozpytywał ciągle o niemieckie miasta i szkoły, o lekarzy, o zioła, o zwierzęta osobliwe, jakie mógł widzieć, lub słyszeć o nich w podróżach. Lecz Grześ, pomimo ciekawości swej, mało co z tego przynosił, co ks. Wacławowi pożądanem było.

Miał zato w tłumoczku Wirgilego, Owidjusza i Statjusza, którzy uczonego lekarza mało obchodzili, choć w wiekach średnich Wirgiljusz uchodził za czarnoksiężnika, świadomego wszelkich arkanów natury.

Chwilę długą przebywszy z staruszkiem, ruszył się wkońcu Grześ, żegnając go, aby, jak mówił, pomieszczenia sobie szukać w mieście.

Wyszedłszy od kanonika, który żądał, aby rychło do niego powrócił, bo mu chciał miejsce znaleźć przy sobie i wyprosić izdebkę w domu, który zajmował, Grześ miał postanowienie udać się do Balcerów.

Dlaczego obawa jakaś, dziwne uczucie nieśmiałości, przeczucie zawodu, wstrzymywało go, nie mógł sobie wytłumaczyć. Szedł i zwalniał kroku, zatrzymywał się, cofał.

Co tam miał zastać po latach pięciu. Dawną towarzyszkę zabaw, którą siostrzyczką nazywał, wypiękniałą, dumną, zmienioną?

Grześ może, sam o tem nie wiedząc, obawiał się, aby nowa Lenchen, którą miał ujrzeć, nie odebrała mu, nie zatarła miłego wspomnienia tamtej, którą kochał i z której obrazem w duszy całe te pięć lat przechodził po świecie.

Zwlekał tak z odwiedzeniem Balcerów, że już ku wieczorowi było, gdy się na męstwo zebrał i skierował ku ich domowi.

Zdala widział dom, wcale nie zmieniony, taki, jakim był, gdy pocichu, rankiem wymknął się z niego. Lecz w ulicy i przy domu działo się coś, czego Grześ nie mógł zrazu zrozumieć i wstrzymał się na chwilkę.

Na progach wszystkich dworków, w oknach, na drodze pełno było ludu, w powietrzu — śmiechu i radości. Zdala dochodziły brząkania gęśli, pisk fujarek, bicie w bębenki, okrzyki jakieś i klaskanie rąk.

Oprócz tłumu ciekawych, który tu napełniał ulicę i chodniki, dostrzegł orszak postrojonych mieszczan, niewiast w bogatych czółkach, jubkach, zasłonach i mężczyzn w czapkach paradnych, płaszczach bramowanych, butach śpiczastych.

Ogniskiem ruchu, miejscem, ku któremu wszystko to się ściągało i skupiało, był dworek Balcerów, Grześ nie mógł się omylić.

Uderzyło go to i pobladł. Domyśleć się było łatwo,

iż nic tam innego tak wesołego odbywać się nie mogło, jak zaręczyny albo wesele, i nie czyje inne, jak Leny. Była jedynaczką, a na tak uroczyste i kosztowne zrękowiny lub ślub mógł się zebrać chyba człowiek tak bogaty, jak Balcer.

Stary to był zwyczaj szlachecki, równie jak mieszczański, iż wesele musiało być jak najwspanialsze i trwać jak najdłużej. Ci, co nie dawali wiana za dziećmi, zmagali się na to, aby dzień ten uroczysty uczynić dla nich pamiętnym. Musiało już naówczas prawo zapobiegać, aby się na bankiety zbyt ludne, na półmiski zbyt liczne, na trefnisiów nadto kosztownych nie rujnowano.

Wesele Lenchen! I trzeba było, aby los sprowadził Grzesia właśnie tego dnia i godziny, gdy się ono odbywało!

Stanął biedny z rękami załamanemi, a głos wewnętrzny mówił w nim.

— Tak chciał los twój, aby ci wskazać drogę i przeznaczenie!

Choć się nie przyznawał do tego sam sobie, Strzemieńczyk żywił jakąś nadzieję, że Lenka o nim będzie pamiętać, że może...

Byłby, któż wie? w zapale pierwszym wyrzekł się dla niej nauki, zdobyczy, jakie już zyskał, i przyszłości...

Uśmiechnął się smutnie. W jego życiu wszystko było, jakby zawczasu wyznaczonem dla niego, potęga jakaś wskazywała mu drogę, którą on iść musiał. Opierać się jej nie mógł...

Podniósł oczy i patrząc zdala na wesoły tłum, oblegający dworek, wśród którego nie można było rozeznać osób, ważył, czy powinien zajść na wesele, czy uciec od niego? Lecz poco było uciekać? Wszakże zapomniano tam o nim i nikomu serce się nie krajało z tęsknoty. Lenchen nie pamiętała wcale nauczyciela i towarzysza... A on?... Miałże być słabszym od nich i, jak dziecko, płakać straconej zabawki?

Miał ważniejszy cel w życiu...

Tak myśląc, Grześ powolnym krokiem zbliżać się począł do dworku Balcerów, powtarzając sobie, iż cudem Bożym było zesłanie go w tym dniu i godzinie, aby pękł ostatni węzeł, co mu nie dozwalał powołania usłuchać...

— Suknia klesza, cela klasztorna, samotne życie do zgonu — to przeznaczenie moje!

Szedł, coraz większego śmiałka udając, ku dworkowi, a choć gorzko mu było w duszy, jakby piołunem zapłynęła, postanowił być wesołym. Zdawało mu się to powinnością.

— Grać im będę i śpiewać, i śmiać się, jakbym był najszczęśliwszym! — mówił w duchu. — Inaczej poco iść do nich?

Do progu dworku trudno się było docisnąć: większa część gości stała na ganku i w sieni, a stąd widać było stoły, zastawione nawet na podwórku wewnętrznem, które oczyszczono i zielem pachnącem posypano. U progu stała muzyka, przygrywając piskliwie i dziwacznie, ale też nikt jej nie słuchał, bo podochoceni nucili i rozmawiali głośno.

Grzesia, który na ten dzień dostatnio z niemiecka był przyodziany i wyglądał pięknie, nie poznawał nikt. Patrzono na niego, dorozumiewając się przybysza.

Balcer, Balcerowa i panna młoda byli wewnątrz domu. Jedna stara sługa, co niegdyś się nim opiekowała, gdy był studentem, niosąc cynowy półmisek, obejrzała się przypadkiem i zobaczywszy go, osłupiała z podziwienia, krzyknęła i z rąk jej wypadła cyna i ryba, która na niej była.

Nadbiegła na brzęk i szczęk Balcerowa, nie wiedząc, co się stało... I ta poznała zaraz Grzesia!... Pobladła, zaniemiała, ale po krótkiej chwili, oprzytomniawszy, zbliżyła się do niego.

Strzemieńczyk tymczasem robił, co mógł, aby okazać twarz wesołą.

Zrobiło się tak, iż nim mieszczka mogła się docisnąć do tego, tak niespodziewanego, a może i niepożądanego gościa, Lena, którą mąż prowadził do stołu na

miejsce jej przeznaczone, ukazała się we drzwiach na chwilę.

Wzrok jej pobiegł ku matce, pobladła i krzyknęła. Zrobił się popłoch, bo nikt przyczyny nie mógł odgadnąć, czego się panna młoda strwożyła. Przypisywano gorącu i zmęczeniu, że napoły omdlałą matka i pan młody ledwie od upadku uratowali.

Grześ, choć nie widział nic, oprócz jej twarzy, zmienionej bardzo, wypiękniałej a smutnej, poznał ją na pierwsze wejrzenie. Cudownie była wdzięczną i śliczną, jak anioł, a ubiór bogaty, rąbki białe, klejnoty, któremi była okrytą, podnosiły urok twarzyczki, wśród mnóstwa ładnych, świeżych i młodych, wyróżniającej się czystością rysów i szlachetnym ich wyrazem.

W młodym, rumianym, po swojemu też pięknym chłopaku, którego młodość i zdrowie, a jakaś dobroduszność twarzy wesołej i poczciwej czyniły dosyć miłym, domyślił się Grześ przyszłego męża Leny.

Był to syn bogatego kupca z Nissy na Śląsku, którego Frączkiem po imieniu zwano.

Omdlenie panny młodej i zamieszanie, którego ono było przyczyną, nie trwało długo. Ponieważ przy weselach na wszystko zważano, a każda najmniej znacząca przygoda wydawała się zabobonnie przepowiednią przyszłego pożycia małżonków, matka podbiegła do córki, szepnęła jej coś do ucha i po chwili Frączek wiódł już przychodzącą do siebie Lenę.

Podnosząc się, rzuciła okiem ku drzwiom, wzrok jej spotkał się z wejrzeniem Grzesia, uśmiechnęła mu się smutnie.

Matka teraz przecisnęła się przez zastęp gości i zbliżyła się do stojącego u progu z tak przymuszonym uśmiechem, jak córka. Witała Grzesia serdecznie, ale na twarzy jej malował się frasunek.

— Chodźcie bliżej — rzekła, wprowadzając go do środka. — Dziwnie się wybrał dzień powrotu waszego... Wiecie? Myśmy was tu już za zaginionego mieli. Chodziły wieści różne. Zapewniano nas, że nieszczę-

ście was spotkało. Lena nauczyciela swego opłakała. Wszak ci to pięć lat!

Otyły Balcer, który od gorąca, paradnego stroju i zmęczenia cały był jakby z łaźni, czerwony i mokry, szedł także witać Grzesia, nie tak zdziwiony i poruszony, jak inni.

Student tymczasem ze wszystkich sił swych starał się okazać bardzo wesołym. Śmiał się umyślnie głośno, poczynał żartować i udawał takiego lekkoducha, włóczęgę, jakim nigdy nie był.

Ponieważ towarzystwo weselne po większej części składało się z Niemców, Grześ musiał ich języka używać, lecz tak nim władał teraz, że mu wierzyć nie chciano, gdy się Polakiem opowiadał.

— Co dziwnego — wołał do Niemców otaczających — byłbym niezdarą, gdybym pięć lat po Niemczech się włócząc, ich mowy sobie nie przyswoił. Bez przymówki do was, mości panowie, co tu w Krakowie po lat dwadzieścia siedzicie, a polskiego języka mało znacie.

Nierychło po tych pierwszych szarmyclach Balcerowa ode drzwi podprowadziła Grzesia do panny młodej, aby się też z nią bliżej przywitał i z Frączkiem zapoznał.

Lena go oczyma oddawna ścigała, a gdy podszedł, wyciągnęła do niego rękę, do męża się odzywając.

— To mój nauczyciel, o którym wam rozpowiadałam; patrzcie, abyście sobie przyjaciółmi byli dobrymi.

Frączek też, chłop serdeczny, wstał Grzesia uściskać bez zazdrości najmniejszej, z uśmiechem poczciwym i wyraził to zprosta, jak się cieszy, iż na wesele Pan Bóg mu dał gościa tak miłego jego żonie.

— Bóg widzi — odezwał się Grześ, ciągle wesołość udając, — że czyste zrządzenie losu przyniosło mnie tu cudem prawie.

Balcerowa posadziła zaraz Grzesia pomiędzy młodzieżą, nieopodal, dając mu dobre miejsce, z którego się pannie młodej mógł przypatrywać.

Siedziała smutna; ale to wiadoma rzecz, iż mężatka

na weselu swem zbytniej radości okazywać nie powinna. Nie uderzało to więc nikogo.

Frączek zato, jakby go kto na sto koni wsadził, śmiał się, żartował, a trefnisiom, co się do nich zbliżali, pieniądze do nastawionych kołpaczków sypał garścią.

Towarzystwo składało się przeważnie z mieszczan, kupców i Niemców, chociaż duchownych i klechów także się w niem kilku znajdowało. Ci, dowiedziawszy się, kto był Strzemieńczyk i przypomniawszy, co tu o nim rozpowiadano, zaraz do niego przylgnęli. A że wina i miodu w bród było i w głowach wesołe myśli krążyły, ku końcowi uczty przypomniano sobie śpiew Grzesia i głos jego.

Nuż go tedy prosić i oblegać o piosenkę. Cytra się znalazła pod ręką; wetknięto mu ją gwałtem prawie. Stara Balcerowa, gospodarz, panna młoda i jej mąż tak usilnie nalegali, że choć może śpiewać mu się nie chciało, uległ prośbom.

Nakazano milczenie trefnisiom i muzyce, a Grześ, palcami po strunach przebierając, począł od niemieckiej piosnki.

Znali ją wszyscy, ale głos Grzesia nawet dla tych, co go dawniej słyszeli srebrnym, dziecięcym, słodkim, zabrzmiał tak, iż najdalsi biesiadnicy porwali się z ław, biegnąc bliżej, aby go lepiej posłyszeć.

Rozległ się z taką siłą, takim dźwiękiem, iż nawet ci, co w początku sobie lekceważyli ten popis, zamilkli, osłupieli. Nikt tu, jak żyw, takiego śpiewu, wprawnego, śmiałego, długiem doświadczeniem uczynionego posłusznem narzędziem pana, nie słyszał nigdy.

Biesiadnicy byli podochoceni, pieśń chłodna nie dość się im zdała do serca przypadać. Żądano czegoś śmielszego od wędrownego studenta.

Oparł się temu.

— Wesołej chcecie, to wam zaśpiewam naszą, szkolną, studencką... ale po łacinie.

Pochwycił kubek z winem, oczy mu dziko zaświe-

ciły, usta gwałtem zmusiły do jakiegoś uśmiechu rozpaczliwego, struny szarpnął i... silnym począł głosem:

„Vinum bonum et suave,
Bonis bonum, pravis prave...
Cunctis dulcis sapor, ave!
Mundana laet tia!

Choć nie wszyscy rozumieli, wesoła, szalona nuta starczyła za słowa; wszyscy poczęli wtórować Grzesiowi, tupiąc w takt nogami i bijąc o cynowe misy.

Wtem nagle, jakby wysiłek ten był nad moc jego, student wypuścił z rąk cytrę, kubek napełniony wychylił do dna duszkiem i powstał.

Twarz mu pobladła i zmieniła się; udawaną radością się zadławił. Poruszył się z ławy, chcąc wynijść, tłumacząc się nużącą podróżą, skwarem i potrzebą spoczynku.

Nie śmiano nalegać. Grześ po chwili wysunął się niepostrzeżenie, rzucił zdala wejrzeniem tęsknem ku pannie młodej, jakby ją żegnał, wmieszał w tłum chodzących około stołu gości i wśród nich zniknął tak, że nie wiedziano kiedy się wyślizgnął z domu Balcerów.

Tymczasem wesele z muzyką i pląsami trwało do białego dnia.

Z pomocą dawnych swych znajomych i towarzyszów, za protekcją kanonika Wacława, nietrudno Grzesiowi było zostać przyjętym na słuchacza w kolegjum mniejszem, które sam sobie wybrał.

Pomnażały się właśnie w owym czasie kolegja, i akademja rozrastała szczęśliwie, chociaż cała ona na ofiarności ludzi, na miłości nauki i poświęceniu się dla niej opierała. Szczupłe były, zaledwie najniezbędniejszym potrzebom starczące, pierwsze fundusze profesorów, którzy, jeżeli głodem nie umarli, winni byli swym beneficjom duchownym i bardzo skromnym wymaganiom.

Kolegjum mniejsze, w którem Grześ miał słuchać nauk, założone i wyposażone przez dobroczynnych ludzi, mieściło się w drewnianym budynku, było ubogie jeszcze, ale życie w niem mnożyło się i rosło. Miłość

nauki je ogrzewała i karmiła. Tu zajmowano się przeważnie poezją, retoryką, gramatyką.

Współuczniowie i profesorowie zarówno byli przybysza ciekawi, lecz Grześ w początku nie otwierał się nikomu, z wyjątkiem kanonika Wacława. Chodził pilno do lektorjów, słuchał uważnie, a gdy stawało czasu, zbiegał i do kolegjum większego, wciskając się między teologów, i do kolegjum lekarskiego na ulicę Kanonną.

Z tego, co się w jego umyśle działo, z procesu ducha, który potrzebował owładnąć sobą i przyjść do równowagi, nie spowiadał się nikomu. Im więcej trapiły go wątpliwości, im mniej był zaspokojony pokarmem duchowym, jaki mu z katedry podawano, tem uparciej milczał i z poszanowaniem przyjmował, co było na porządku dziennym.

W oczach jego tylko baczniejszy postrzegacz mógłby był pochwycić coś jak ironję i zdumienie, jak rozczarowanie i czasem zwątpienie. Niektórzy z nauczycieli, bystrzejsi, zdawali się przeczuwać w nim sceptycyzm i krytykę, lecz nie wydał się przed nimi.

Składało się zresztą wszystko pomyślnie dla niego; nauka nie wymagała zbyt wiele czasu, bo był do niej przygotowanym, resztę więc poświęcić mógł przepisywaniu, które się opłacało, a znużony grał i śpiewał sobie, lub drugim.

Śpiew był dla niego, jakby napojem letejskim; zapominał, nucąc, o tem, co mu ciężyło, w świecie poezji chmury zwątpień znikały przy jej słońcu. Rozweselał się czasem aż do młodzieńczego szału, który trwał u niego niedługo. Jedno nic czyniło go poważnym i chłodnym.

Zapraszany do zamożnych mieszczańskich domów, ugaszczany dla głosu tego, ulubieniec kobiet, bo piękność jego zyskiwała mu serca równie, jak talent, Grześ czasem dawał się wciągać między ludzi, a niekiedy zamykał i dziczał.

Pomimo zapraszań swej dawnej uczennicy Leny i jej męża, Strzemieńczyk widocznie domu ich unikał

i wyraźne chyba wezwanie na chwilę go tam sprowadzało.

W kilka miésięcy po przybyciu do Krakowa, dnia jednego wychodząc z kościoła, w którym na chórze śpiewał, spotkał Grześ u drzwi stojącą i jakby oczekującą na kogoś starą Balcerową. Byłby ją pominął, skłoniwszy się, bo mu pilno było, ale go sama zatrzymała.

— Patrzajcież niewdzięcznika — odezwała się do niego. — Żebyś to choć zajrzał do nas?

Grześ ruszył ramionami.

— Roboty mam siła — rzekł chłodno.

— Nie plótłbyś, kiedy wiem, że u innych gościsz, u Keczerów i Sowki godzinami siadujesz. Córka i zięć prosili cię, ja także i doprosić trudno. Masz co do nas?

— Uchowaj Boże! — zawołał Strzemieńczyk zmieszany. — Byliście dla mnie, jakby rodzice drudzy; sercem zachował wdzięczne!

— A okazać nam tego nie chcesz?

Grześ głowę spuścił. Przyparto go do ściany; zamyślił się i podniósłszy oczy, śmiało spojrzał na Balcerowę.

— Byliście mi matką — rzekł poruszony — nic dla was tajnego mieć nie chcę. Nie przychodzę do was, aby sobie i Lenie serca nie rozraniać; alboż nie wiecie, żem ją kochał i kocham? Trudno miłość utaić, a ludzie są źli...

Balcerowa trochę się zmieszała.

— Kochaliście się dziećmi — rzekła powolnie i niewyraźnie. — No, to cóż? została przyjaźń! Lena za wami tęskni, ciągle was wygląda, przypomina i widzieć żąda. Bez złej myśli, jako przyjaciel i brat, czemubyście przyjść nie mogli?

Zatrzymała się trochę stara i dodała głosem cichszym jeszcze:

— Choruje, Bóg widzi, z tęsknoty za wami! Nie dziwaczcie!

Grześ chciał jeszcze coś mówić, ale stara go za rękę pochwyciła i dodała żywo:

— Przyjdźcie a prędko. Powinniście.

Grześ stał chwilę, jak upojony i zebrawszy myśli nierychło, z głową zwieszoną do domu się powlókł.

Tego dnia jednak do Balcerów nie przyszedł. Nazajutrz w biały dzień, bo mu się to właściwszem zdało, zjawił się we dworku.

Zastał Lenę z matką; starego Balcera i męża nie było. Zobaczywszy go, stara aż do progu podeszła witać i usadowiwszy przy córce, sama z izby się wysunęła.

Z początku słowa do siebie przemówić nie mogli.

— Któraż was mieszczka oczarowała tak, że już o nas zapomnieliście? — odezwała się Lena.

— Bóg widzi, żem na te czary zbrojny i przystępu one do mnie nie mają — odparł Grześ. — Albo w kolegjum siedzę, lub w domu, rzadko mnie wyciągną z niego.

Lena poczęła mu patrzeć w oczy.

— Czy dlatego, żem zamąż poszła — dodała — nie chcecie mnie znać? Ależ was pięć lat nie było i o was ani słuchu, ojciec naglił, matka prosiła, opierałam się długo... wreszcie musiałam dla nich do ołtarza iść.

— Albożem ja mógł mieć jaką nadzieję? — przerwał Grześ smutnie. — Dlategom właśnie zeszedł wam z oczów, że jej nie miałem. Chcę widzieć was szczęśliwą i dlatego smutnej twarzy mojej tu nie przynoszę.

— Och! — zawołała Lena. — A ona przecie jedna rozweselićby mnie mogła. Dopóki was tu nie było, choć tęskniłam, alem znosiła lżej samotność; teraz, gdy o was wiem, słyszę, tom zazdrosna. Jam przy was wzrosła i żyć poczęła.

Głos jej drżał.

— Szczęśliwe to były czasy — rzekł student — a co dawniej było wolno, dziś wzbronione...

— Nie chcę o tem wiedzieć — przerwała kobieta gorąco — jakośmy byli, tak być powinniśmy! Chcecie chyba, abym wam w oczach zmarniała?...

— A Frączek co powie? — zagadnął Grześ.

— Frączek? — z lekceważeniem dodała Lena. — To tylko powiedzieć może, co ja mu pozwolę! Ani się

go boję, ani się przed nim kryć myślę. Wie on dobrze, żeśmy przyjaciółmi byli i musi was za mego przyjaciela przyjąć! Já was widywać chcę i musicie przychodzić do mnie!

Rozkaz był stanowczy...

— A ludzie? — szepnął Grześ.

— Co mi do ludzi, a im do nas! — odparła Lena.

Nadeszła na to Balcerowa, niosąc na misce wino i owoce, aby gościa jak najdłużej zatrzymać. Pod ręką trzymała cytrę, która też miała swe znaczenie.

— No, proszę dobrej myśli być, abyście mi Lenę rozweselili — rzekła. — Pij, zakąsuj i śpiewaj. Będziemy was we dwie słuchały.

Strzemieńczyk dłużej już nie walczył z sobą i nie opierał się. W istocie myśl dobra przyszła i śmiech na usta, proszony czy dobrowolny, poznać było trudno. Lenie też twarzyczka się zmieniła, pojaśniały oczy, zarumieniło lice, dziewczęcy humor, dawno nie widziany, powrócił. Balcerowa czuła się tak szczęśliwą z tej zmiany, tak wdzięczną, że po pierwszej piosence pocałowała w czoło zawstydzonego Grzesia, a potem córkę.

Zapomniała o wszystkiem, zobaczywszy ją na chwilę szczęśliwą, odmłodzoną, taką, jaką oddawna nie była.

Od tego dnia Strzemieńczyk nie mógł się już obronić zaproszeniom do Balcerów i wkońcu się im nie opierał. Przychodziła czasem Balcerowa, czasem otyły kupiec przez nią wysłany, a nawet Frączek, najnatarczywiej właśnie nalegał i tak był zawsze wesół i wcale niezazdrosny, iż Grzesia zupełnie ośmielił.

Młode mieszczki wprawdzie mówiły o tem dużo, śmiano się z Frączka, szeptano i zazdroszczono Lenie śpiewaka, ale głośniej nikt nie ośmielił się złego rzec słowa.

Obyczaje tamtych czasów, wiele swobodniejsze, dopuszczały w stosunkach poufałości większych, nie biorąc ich za złe. Grześ zresztą, jako śpiewak, wszędzie chwytany i pożądany, miłością muzyki się tłumaczył.

Ciągnęli go i panowie i duchowni do chóru, a nawet na dwór królewski go ściągano.

Wśród współuczniów i kolegjum swego Strzemieńczyk, jakeśmy mówili, zdobył sobie stanowisko odrębne. Jeżeli spór i trudność jaka zachodziły, o których rozstrzygać było potrzeba, rzadko się obeszło, aby go starsi nie zapytali o zdanie. Grześ wstrzymywał się od zbyt rześkiego sądu, starał się pojednawczo występować, chociaż ludzie o ironję go posądzali. Usta mu się czasem ściągały, jakby do śmiechu, który hamował. W wielu przedmiotach nieuka udawał, ażeby sporu uniknąć.

Po dwu leciech już mu przepowiadano rychło bakalaureat, ale on zdobyć go nie śpieszył.

V.

Tak biegły lata, nadszedł wreszcie rok 1433, który w życiu Strzemieńczyka miał być taką chwilą przełomu, co jedną epokę zamyka, a drugą otwiera.

Sięgnął po dawno mu należny laur akademicki, po który schylić się tylko potrzebował. Wszyscy wiedzieli, iż otrzymać go był godnym, a jednak dysputa stanowcza, w której pokonał wszystkich swych przeciwników, napełniła ich zdumieniem, wprawiła niemal w osłupienie. Młodzieniec ten milczący, pokorny, skromny nagle zmienił się im w oczach w zuchwałego, wymownego, pewnego swej siły człowieka.

Przy rozprawach okazał taką dojrzałość umysłu, uczoność i samoistność przekonań, tak nowe i śmiałe rzucał zdania, że ludzi trwożliwych, szanujących tradycje, napełnił niewymowną trwogą.

Wybuchło to nagle, jak lawa z wulkanu, która się w łonie jego oddawna zbierała.

Spodziewano się zawsze po nim wiele, ale nie tego nowatora, jakim się im teraz objawił. Od lat dwóch pozyskał już był sobie sławę w pracowitości i erudycji, był wyrocznią w kwestjach piśmiennictwa starożytne-

go, lecz nie wynosił się z tego, a pytany, odpowiadał treściwie i skromnie.

Wiedziano, że wiersz łaciński płynął mu z pod pióra, jakby go nic nie kosztował, że wyzwany, mówił wytwornie z łatwością, a pisarzy łacińskich nietylko znał dobrze, ale ich napamięć prawie umiał wszystkich. Trafiało się dawniej, że wstrzemięźliwy w mowie i skromny, czasem jakby mimowoli strzelił sarkazmem, rzucił słowo obosieczne, dowcipnym sądem rozstrzygnął zawiłe zadanie, a natychmiast hamował się i w ostrożnem zamykał milczeniu.

Nikt wielkiej myśli nie umiał, jak on, w krótkich pomieścić wyrazach. Słowa jego były, jak cięcia szabli, ostre i zabijające, ale dotąd nie szafował niemi.

Starsi, chociaż był dla nich z poszanowaniem, przeczuwali w nim wroga i patrzyli nań z obawą, która się teraz usprawiedliwiła.

Laur akademicki uczynił go nowym człowiekiem; spadły zasłony, odkrył się cały, jakim był. Wyglądał jak wyzwoleniec rzymski, gdyby z niego zrzucono kajdany. Wzrok, postawa, mowa, wszystko w nim było odmienne. Wczoraj jeszcze nieśmiały i zamknięty w sobie, pokornie sądzący *in Verba magistri*, teraz z dziwną stanowczością mówił z siebie, nie oglądając się na nic.

Zwykła *wesoła biesiada*, na którą młody bakałarz mistrzów swych zaprosił, dała miarę tego, czem być miał nowy profesor poetyki w kolegjum mniejszem.

Przy miodzie i winie, które starym kolegjatom usta otworzyły, rozmowa wszczęła się żywa i poufna.

Spodziewano się, że wedle modły przyjętej wykładać będzie jednego z tych poetów, którzy w wiekach średnich niezasłużoną wziętość mieli, opierając się na silnej podstawie gramatyki.

Na wspomnienie o gramatyce zaczął się Grześ uśmiechać.

— Nie godzi się nią pogardzać — odezwał się wesoło — ma i ona swą wagę, a dobrą stronę, ale nią samą nauki języka ograniczać nie można. Cobyśmy powiedzieli o człowieku, który bramę do miasta mając

otwartą, wdrapałby się do niego przez mur wysoki? Zaprawdę gramatyka bywa tym murem, gdy poeci i pisarze są drzwiami. Przez nich do wnętrza mowy wnijść łatwiej.

Starzy pedagogowie spoglądali po sobie. Strzemieńczyk mówił dalej.

— Z poetów też wybierać potrzeba takich, co w czasach, gdy naród żył, śpiewali, a nie pogrobowych, lub tych, co łaciny się uczyli, gdy Latium i Romy nie stało.

— Więc kogo? — spytał nieco obrażony stary profesor, który, słuchając, usta wydymał.

— Możeż piękniejszym językiem i wierszem dźwięczniejszym pisać kto, a raczej śpiewać nad czarodzieja Vergila?

Szmer powitał to imię znane, lecz w szkołach nieupowszechnione. Nie czytano w nich, ani sielanek, ani georgik, ani się ważono pokusić o Eneidę.

Starsi ramionami ruszyli. Czytać Vergila to była zuchwałość niesłychana! Nowy bakałarz miał się naprawdę porwać na tego poetę? Nie dowierzano.

Starym wygodniej było powtarzać to, co słyszeli, niż łamać sobie głowy nad trudnościami nowego wykładu.

— Od eklog rozpocznę — odezwał się Grześ śmiało. — Eklogi i georgiki w kraju rolniczym, jak nasz, łatwe będą do pojęcia i umiłowania. U nas też wieś i rola życie stanowią. Przez tę poezję trafię do gramatyki i zrozumienie obojga ułatwię.

W pierwszej chwili, przy biesiadzie, wzięto oświadczenie za przechwałkę. Za plecami Grzesia starsi, ramionami ruszając, wiary nie dawali jego obietnicom.

Wieść o tym fakcie rozbiegła się nietylko po uczęszczających do kolegjum mniejszego; zaniesiono ją na ulicę św. Anny, do kolegjum nowego, prawniczego, a nawet lekarskiego.

Imię łacińskiego poety nie było nikomu obcem, bo w średnich wiekach używało ono sławy wielkiej, nikt go jednak nie czytał i nie wykładał.

Zapowiedź była nowością ponętną, a że literatura łacińska była naówczas jedyną europejską, na to nazwanie zasługującą, chociaż z niej już się wykluwały inne, Virgili w kolegjum obudzał takie zajęcie, że ktokolwiek się poezją i literaturą zajmował, do wykształcenia rościł prawo, świeccy, duchowni, starzy, młodzi, wszyscy chcieli posłuchać tego wykładu pierwszego tu, niebywałego, nowością swą pociągającego.

Imię Grzegorza Strzemieńczyka, lub, jak go tu poufalej zwano, Grzegorza z Sanoka, znalazło się na wszystkich ustach.

W ulicy spotykający się z sobą zapytywali:

— Kiedyż ten Virgili zawita do nas? Gdzie? w kolegjum mniejszem! Szkoda. Lektorja szczupłe, powinniby mu w większem kolegjum salę majoris wyznaczyć!

— Zbiegowisko będzie wielkie, mało kogo zabraknie z tych, co tyle obiecującego młodzieńca radzi posłuchać. Dostojnicy miejsca zajmą, a inni za drzwiami zostaną.

W istocie wybierali się, kto żył, na to czytanie. Mogło to pochlebiać bakałarzowi, mógł sobie życzyć popisu przed słuchaczami dostojnymi, a jednak znalazł się tak skromnie, iż o dniu nie głosząc, niespodzianie przed samymi studentami sielanki Virgilego czytać zaczął.

Po czasie już dowiedzieli się ciekawsi i sala szczupła napełniła się tak, że wkońcu godziny dla nikogo więcej miejsca nie było.

Znaleźli się i starzy profesorowie, których zarówno wiodła ciekawość, jak może nadzieja, iż niewprawny nauczyciel nie podoła nowemu przedmiotowi.

Ale Grześ wystąpił z takim spokojem, a czytał z taką jasnością i talentem nauczania, iż najmniej usposobieni z młodzieży rozumieli go doskonale. Przytem sam przedmiot tak świeży, tak poezją wsi, pól, lasów i pasterskiego życia tchnący, przemawiał stokroć więcej do umysłów, do serc, niż napuszone deklamacje, niż

przesadne pochwały Stacjusza, niż wszystko to, czem młódź dotąd karmiono!

Z Virgilim powiał na szkołę jakby ożywczy oddech wiosny... wleciała do niej ze złotemi skrzydły poezja, wykwintna, strojna, wonna, trochę zalotnie utrefiona, lecz z piersią młodą, w której biło serce. Nie dziw też, że serca młode odpowiedziały jej współczuciem gorącem.

Na drugi odczyt zawczasu zgromadziło się tyle duchowieństwa, starszyzny, ciekawych, że dla uczniów prawie miejsca nie stało.

I tym razem młody bakałarz pozyskał sobie aplauz powszechny, a po lekcji zbliżył się doń dostojny kanclerz akademji, opiekun jej, głowa, biskup Zbyszek, który był tu drugim królem, w kilku słowach uprzejmych winszując laureatowi powodzenią i zachęcając go do pracy.

Trwoga, która w początkach opanowała była starszyznę, obawiającą się zbytniego nowatorstwa i nadto zuchwałych wystąpień młodzika, ustąpiła wkrótce, gdy się przekonano, jak we wszystkiem umiał miarę zachować. Cieszyło się niem szczególniej kolegjum mniejsze, któremu dodał blasku, zazdrościli kolegjaci królewscy.

Razem z tem zaczęły się znowu odzywać głosy, wzywające Strzemieńczyka do obrania nareszcie tego stanu duchownego, któremu był przeznaczony. Nie ulegało wątpliwości, iż na sutannie skończyć musiał.

Tymczasem nosił wprawdzie strój kleryków, jak wszyscy profesorowie i uczniowie, ale do święceń się nie kwapił. Nie odpowiadał nawet, gdy go zagadywano i milczeniem zbywał.

Z miasta przeniósł się teraz nowy bakałarz na mieszkanie wspólne do kolegjum mniejszego i zajął u stołu ostatnie miejsce, bo te po starszeństwie dawano.

Życie to niemal klasztorne, do którego wszyscy byli obowiązani, podlegało pewnym prawidłom, urządzone było wedle godzin i odjęło Grzesiowi część dawnej swobody. Miało zarazem korzyści, bo zbliżało go do star-

szych i nastręczało wymianę myśli, które choć często na polemikę narażały, nie dawały zgnuśnieć i usnąć.

W godzinach wolnych młody bakałarz nie mógł już teraz zajmować się przepisywaniem, które lubił, zarzucano go bowiem robotami. Musiał pisać nagrobki i wiersze pochwalne wszystkim zmarłym znakomitościom, a niejedna redakcja dokumentów w sprawach publicznych o niego się oparła.

Wśród tych zaprzątnień, które mu przyszłość zapewniały a sławę roznosiły coraz szerzej, Grześ po staremu został wiernym przyjaźni dla Balcerów.

Był tu, jak niegdyś dawniej, niby we własnym domu. Nigdy poczciwy Frączek nie zmarszczył się, zastając go przy żonie, a starzy Balcerowie, jak rodzone dziecko, kochali. I Lena teraz uzdrowiona, spokojna, pewna, że przyjaciel młodości ją nie opuści, zdawała się być szczęśliwą.

Równie nad mężem i nad bakałarzem panowała, a prawdę rzekłszy, władała wszystkiem i wszystkimi w domu. Obcowanie z człowiekiem takim, jak Strzemieńczyk, starczyło jej za naukę i księgi. Uczyła się przy nim, oswajała z wielu przedmiotami, innym kobietom obcemi, i rozwijała w oczach na niewiastę męskiego umysłu i charakteru.

Ludzie, którzy przeciwko temu dziwnemu stosunkowi zamężnej niewiasty do młodego nauczyciela sykali w początku, wkońcu widząc, że jawnym był, nikogo nie gorszył, a Frączka wcale nie jątrzył, przyjęli go, jako naturalny i godziwy. Znajdowano Grzesia w domu Balcerów zastępującego niemal miejsce gospodarza, i nikt się już temu nie dziwił.

Lena Frączkowa nie dopuszczała też, aby jej posądzaniem uwłaczano: niewiasta była tak rozumna i zręczna, tak dumna i wyniosłego umysłu, że nikt nie śmiał jej słowem dwuznacznem zadrasnąć, wiedząc, że za nie z nawiązką zapłacić potrafi.

W dworku Balcerów powodzenie, sława i triumfy Grzesia były witane tak radośnie, jakby domowi zaszczyt czyniły. Chlubiła się tym przyjacielem Lena,

miała go na ustach ciągle, ale też i rządziła nim despotycznie. Służyć jej musiał, jak kazała, na skinienie spełniać, co żądała, — i nieraz najpilniejszą pracę rzucić, gdy jej się podobało powołać go do siebie.

Przewaga, jaką miała nad umysłem Grzesia, tak była wielką, iż w największych i najmniejszych sprawach bez jej rady nic nie czynił. Nie zadziwiła się więc, gdy jednego ranka wcześniej nadszedł, niż zwykle i od progu począł się tłumaczyć, że ważna sprowadza go okoliczność.

— Zaprawdę! — uśmiechnęła się, wstając na powitanie, Frączkowa — czy o nowej sutannie myślicie i chcecie, abym wam wybrała flamskie sukno, albo o płaszczu?

Strzemieńczyk zbyt był przejęty tem, z czem przychodził, aby żart mu smakował; namarszczył się.

— A! gosposiu moja! — zawołał. — Idzie o daleko ważniejszą sprawę. Już z mego stroju możecie wnieść, że gdym go w powszedni dzień włożył, to nie bez słusznej potrzeby.

— Widzę, suknia nowa — zawołała gosposia — trzewiki nowe, pan mój się wystroił, jak na święto.

Grześ potarł się dłonią po czole.

— Nie wiem, co to ma znaczyć; dworzanin wojewody krakowskiego, Jana z Tarnowa, przybył do mnie dziś rano, zapraszając w imieniu pana, abym go odwiedził w ważnej, nie cierpiącej zwłoki sprawie. Ja sprawy żadnej ani z wojewodą, ani u wojewody nie mam, akademja zostaje pod zwierzchnością ks. biskupa Zbyszka. Niepokój mnie ogarnął.

Lena głową potrząsła.

— Ja, równie jak wy, tego wezwania nie rozumiem — rzekła — ale nie widzę przyczyny, dlaczegoby ono was niepokoić miało.

Pomyślała chwilę, palce do ust przyłożywszy, a oczy wlepiając w ziemię.

— Samiście mi mówili, że często was o napisy łacińskie i różne podobne roboty napastują. Nic innego

być nie może nad coś podobnego. Wojewoda pan możny, więc się to wam opłaci.

— Ale pocóżby mnie wzywał osobiście, gdyby szło tylko o napis, który lada dworzanin mógł zamówić u mnie? — rzekł Strzemieńczyk.

— Idźcie do niego, a wszystko się to wyjaśni — przerwała Lena.

— Mam-li iść? — zapytał bakałarz. — Sługą pana wojewody nie jestem, ani mnie, jak pachołka godziło się do siebie pozywać?

Z dumą szlachecką podniósł głowę Grześ.

Lena poruszyła ramionami.

— Stary i poważny pan, senator... tyś młody — rzekła — niema obrazy w tem, jeżeli przez dworzanina grzecznie zaprosił. Idźcie!

Namyślał się jeszcze, gdy położywszy mu rękę na ramieniu, piękna Lena popchnęła go zlekka ku drzwiom.

— Pycha nie na miejscu — szepnęła. — Idź, a zpowrotem czekam na wyjaśnienie, bo chcę wiedzieć, jaką pan wojewoda miał sprawę do pana bakałarza.

Jakgdyby na jej rozstrzygnięcie czekał tylko, Strzemieńczyk, nie wahając się już, sam pomiarkowawszy, że w istocie pycha chudemu pachołkowi nie przystała, szybkim krokiem poszedł do dworu wojewody, przy zamku stojącym.

Po panu krakowskim wojewoda był tu najznaczniejszym dostojnikiem i miał władzę największą.

Lecz, gdyby nawet Jan z Tarnowa nie zajmował tego stanowiska, samo jego imię, stosunki, zamożność, powaga wielka i osobiste przymioty dawałyby mu znaczenie wielkie.

Był to mąż w latach już podeszłych, lecz krzepki ciałem i umysłem, nie skwapliwy do mówienia i szermowania słowy, ale gdy raz otworzył usta, nie oglądający się na żadne względy i rąbiący prawdę każdemu, choćby najwyżej położonemu. Mawiał ją tak nieraz samemu królowi, i gdzie była potrzeba wystąpienia

śmiałego, jego naprzód popychano, bo się nie uląkł niczego.

Pan możny, zmuszony dla dostojeństwa ciągle się otaczać licznym dworem i występować z pewną okazałością, nie lubił błyskotek marnych, ani przepychu dla próżności; dom był pański i dostatni, ale nie tak czczo świetny i puszący się, jak panów z Kurozwęk i innych, którzy świeżo się do dobrego bytu dobili.

Pewna prostota starodawna zachowała się tu z czasów już zapomnianych i zatartych. Gdy inni przejmowali chętnie obyczaje cudzoziemskie, tu się ich wpływ dawał czuć jak najmniej.

Owdowiały wojewoda, w czasie tym miał pięciu synów, których wychowanie wielką dla niego było troską; dwaj starsi, Jan Amor i Jan Gratus, już sporymi wyrostkami będąc, dopominali się, aby o ich przyszłości postanowiono.

Wojewoda, mąż pobożny, w duchu mówił sobie, iż z tych dzieci, któremi Pan Bóg małżeństwo jego pobłogosławi, jedno, jako prawa dziesięcina, Jemu należało, ale żadnego z nich nie wyznaczał, pragnąc, aby się powołanie objawiło samo. Inni musieli najprzód rycersko służyć krajowi, potem zdobywszy zasługą stanowisko, radą i mieniem pomagać królowi.

W ganku dworu wojewodzińskiego, który o tej godzinie pełen był rycerstwa i szlachty, ten sam dworzanin, który przychodził z wezwaniem do bakałarza, zdawał się czekać na niego, bo zobaczywszy i poznawszy, natychmiast się zbliżył i uprzejmie powitał, a z sobą do komory zaprosił.

Przyjął bakałarza stary i poważny mąż, witając ręką i słowem miłem, a mimo młodości dla sukni duchownej miejsce mu wskazując nieopodal od siebie.

Sami byli w izbie sypialnej wojewody, z taką prostotą i skromnością urządzonej, jaka możnemu panoszy nie przystała. Łoże było twarde, skórą okryte, stół dębowy, kobiercem starym zasłany, a sprzęt dawny i niepokaźny.

Wojewoda też odziany był ciemno w długi żupan, czarnym pasem ściągnięty, a krom sygnetu z pieczęcią na palcu, żadnéj nie miał na sobie błyskotki. Broda siwiejąca, ciemna szeroko rozkładała mu się na piersi, włos długi spadał na ramiona.

— Wieleśmy o was słyszeli — odezwał się, obracając do Grzegorza, wojewoda — a wszyscy wam sprawiedliwość oddają, iż uczonością i dowcipem celujecie wśród kolegjum. Wiem i to, żeście sobie sami winni to wychowanie. Ludzie was sławią, chciałem poznać bliżej tak wiele obiecującego na przyszłość męża.

Grzegorz dziękował krótko.

— W kolegjum waszem — mówił wojewoda — pewnie bardzo pożytecznym młodzieży być możecie, ale dla siebie tam nie uczynicie wiele. Chudoście wyposażeni... głodem, słyszę, przymieracie.

— Praca to osładza — odparł Grześ.

— Piękną z niej czynicie ofiarę — mówił Jan z Tarnowa dalej — ale przy zdolnościach waszych moglibyście łatwo wyżej się wzbić, a około młodzieży zastąpiłby was choćby i mniej zdolny nauczyciel.

Jam o was pomyślał dla siebie i dla waszej przyszłości razem — dodał stary pan. — Mam synów, radbym ich wychować tak, aby i Bogu i królowi służyć mogli rozumnie i dzielnie. Cóżbyście rzekli na to, gdybym wam zwierzyć chciał opiekę i władzę nad nimi?

Grześ, którego niespodzianie zaskoczyło to życzenie wojewody, zamilkł w początku, chcąc zebrać myśli.

Pochlebnem to było dla niego, wbijało go w dumę, lecz burzyło cały gmach, jaki on sobie sam budował, obiecując zawód nauczycielski w akademji.

Dozorca i bakałarz wojewodzińskich dzieci świetne miał przed sobą nadzieje, byt dostatni i swobodny, zapewnioną przyszłość, ale schodził z tej drogi, która w publicznym zawodzie wiodła do sławy i znaczenia w świecie uczonym.

Mignęła mu ta myśl, że miał zaprzedać za miskę soczewicy dostojność swoją i prawa, jakie dawała nauka, że się sprzeniewierzał zawodowi.

Wojewoda, jakby odgadł znaczenie długiego milczenia, powolnie dalej ciągnął.

— Rozumiem ci to — rzekł, — iż z katedry znijść na bakałarstwo domowe, choćby u krakowskiego wojewody, wydać się wam może uwłaczającem. Ale zaprawdę ważyć powinniście, że gdy senatorskie dzieci na przyszłych radców królowi i krajowi wychowacie, w bojaźni Bożej i nauce ich doskonaląc, będziecie może większą mieli zasługę, niż ucząc ubogich klechów łaciny. Wszyscyśmy potrzebni na świecie, senatorowie i klechy, ale gdy u góry światła zabraknie, nie przyjdzie ono ze spodu.

Strzemieńczyk milczał jeszcze.

— Rozważcie to sobie — dodał po chwili wojewoda. — Prędkiego rozstrzygnięcia nie żądam, boć ono o losie żywota waszego stanowić ma. Biorę was do synów moich, dla których wy się poświęcicie, słuszna, abym też wam zapewnił nagrodę, równą pracy.

— Jutro, lub pojutrze dacie mi odpowiedź. Niechcę, abyście bez rozmysłu przyjęli obowiązek, a pragnę, aby wam słodkim był i co w mej mocy dla osłodzenia go — uczynię.

— Niewola to będzie — dodał z uśmiechem — ale któryż człowiek i kiedy jest wolnym? Ani królowie się tem poszczycić nie mogą, bo ich obowiązek w żelaznych okowach trzyma.

Skłonił się Grzegorz, obiecując prędką odpowiedź i jak upojony wyszedł z wojewodzińskiego dworu.

Stąd do Balcerów śpieszył tak w sobie zatopiony, że ludzi nie widział i co około niego się działo, nie wiedział. Lena, w oknie siedząc, czekała na niego, a on był tak pogrążony w myślach, iż dworek pominął i zawołać go musiała, dopiero się opamiętał.

Wyszła na próg do niego.

— Ciężkie jakieś brzemię niesiecie! — rzekła.

— Zaprawdę takie, któregom się spodziewać nie mógł — odparł Grześ, padając na ławę.

Tu począł opowiadanie o swej rozmowie z wojewodą, którego mu Frączkowa dokończyć nie dała, w ręce klaskając i wołając ojca, męża i matkę z uniesieniem, w jakie ją wprawiała wiadomość o łasce pana wojewody.

Grześ stał trochę zdumiony, bo mu się to więcej ciężarem wydawało niż dobrodziejstwem, ale Lena po swojemu sądziła.

— Cóż tu myśleć? Co ważyć? — zawołała. — To pierwszy szczebel do podniesienia się w górę! Nie wiecież wy, iż dzieci wojewody codzień na zamek chodzą dla zabawy królewiczów, że one są towarzyszami ich i że nauczyciel Tarnowskich z niemi razem na pokoje królowej się dostanie! Dosyć, abyście przestąpili te progi, a tam, jak wszędzie, poznają się na was. Mieliżbyście dla marnego bakałarstwa odrzucać los, który dla was jest zgotowany?

Kto wie, czy nauczyciel wojewodziców nie zostanie bakałarzem królewiczów! A król stary! A królowa rozumna pani, a Władysław, starszy panicz, ma już zapewnioną koronę. Patrzcież, co się to wam otwiera i czy wy możecie się wahać przyjąć szczęście, które pieczonym gołąbkiem w usta wam spada?

Być może, iż Strzemieńczyk byłby i bez tej namowy niewieściej przyjął wezwanie wojewody, to pewna jednak, iż to, co mu rokowała Lena, uczyniło na nim wrażenie i przechyliło szalę.

Wyszedł z dworku już mniej niepewien siebie i wprost zaszedł do starego ks. Wacława. Kanonik, pomimo nadwerężonego wzroku, szkłami się posługując, jak zawsze czytał coś w księdze, którą złożył na pulpicie, widząc wchodzącego ulubionego ucznia swojego.

— Ojcze! — zawołał żywo Grzegorz. — Słuchajcie, z czem przychodzę. Oto, co mi los mój znowu zgotował!

Ks. Wacław, nie odzywając się, nadstawił ucha. Szybko, treściwie począł mu wszystko opowiadać Strzemieńczyk, ale już w ten sposób, jakby się bronił i tłumaczył, że ofiary takiej odrzucić mu się nie godzi.

Kanonik nie przerwał ani słowem, nie okazał zdziwienia, a gdy skończył, nierychło przemówił.

— Niech będą Bogu dzięki, jeżeli to waszym pragnieniom i nadziejom odpowiada — rzekł chłodno. — Tak, jutrzenka ta błyska różowo! Lecz sądzicież, iż życie przy dworze, w zgiełku i ruchu tym, gdzie się krzyżują i ścierają żądze, ambicje, namiętności, szczęśliwszem będzie, niż nasze w tych ubogich i cichych celach, w których się nabywa mądrości, pogardy świata, miłości Boga i nauki? Sądzicież, że tam wam łacniej przyjdzie zachować cnotę, niepodległość umysłu i spokój ducha? Ja nie wiem!

Mówią nam o ptakach, co na falach burzliwych ścielą gniazda... ja podziwiam cuda te przyrody, ale nie zazdroszczę im, lecz tym, co pod strzechą siedzą. I miłość nauki... potraficież zachować tam, gdzie od niej życie z pokusy swemi nieustannie was odrywać będzie?

Zamilkł starzec.

— Zapiawdę — dorzucił po chwili — gdyby najwięcej wam dali, nie zapłacą za to, co stracicie! Wyście im potrzebni, a oni wam?

Po rozmowie z ks. Wacławem tęsknota za życiem, którego się miał wyrzec, chwyciła za serce Grzegorza, ale daleko silniej ciągnęło je jakieś nieokreślone pragnienie nieznanych, nowych, świetnych przeznaczeń.

W kolegjum wiadomość o ustąpieniu Grzegorza z Sanoka uczyniła wrażenie dwoiste: uczniowie opłakiwali mistrza tego, towarzysze, starsi panowie kolegjaci czuli, jakby ciężar jakiś spadł im z ramion. Obawiali się tego popędliwego umysłu, pędzącego na nowe drogi, zmuszając trzebić, gdy tak wygodnie jest iść wybitemi kolejami. Winszowali szczęścia, nie powstrzymywali wcale, znajdowali, że Grzegorz zasłużył na to, co go spotkało, a następca na katedrze wrócił od Virgilego do Alana i po staremu zalecał Donata, jako najpewniejsze do łaciny wrota.

VI.

W kilka miesięcy potem trudno było poznać skromnego bakałarza, który na dnie powszednie chodził w wyszarzanej sukience, w młodym nauczycielu wojewodziców.

Powołanie nowe, świat, wśród którego się obracał, wymagania dworu, do którego się liczył, zmusiły go nawet powierzchownie się przeistoczyć.

Pan wojewoda też od tego począł, iż dostarczył sukna i jedwabiu, aby bakałarz dzieci, codzień z niemi chodzący na zamek do królowej jejmości i królewiczów, występował, jak przystało pańskim progom.

Królowa Sonka, wiadomem to było, sama lubiła strój wytworny i od tych, co ją otaczali, wymagała ubioru, któryby oczu zaniedbaniem nie raził. Młodzi królewicze zawsze występowali bardzo strojnie i wedle mody wieku.

Młodzi Tarnowscy, choć ojciec ich zbyt do błyskotliwych strojów nie chciał przyzwyczajać, musieli się potrosze do wymagań królowej, której oka nic nie uchodziło, zastosowywać. Gdy szli na zamek, ubierano ich pięknie. Nauczyciel, który ich nigdy nie odstępował, musiał też kłaść suknie odświętne. Były to zawsze tylko czarne sutanny klechów, ale tkaniną i krojem dowodziły dostatku.

Nie zbywało też na innych wygodach we dworze pana wojewody, który zarówno zbytku, jak skąpstwa nie cierpiał.

Trochę rubaszny i szorstki obyczaj studentów tu na inne obejście się z dziećmi pańskiemi zmienić było potrzeba. Szczęściem dla bakałarza, jego młodzi uczniowie odrazu do niego tak przylgnęli, jak on do nich. Chłopcy byli serdeczni, niepopsuci, a równie życia, jak nauki, chciwi.

Ale w obu starszych, bądź co bądź, przemagała krew rycerska. Posłuszni siadali do tabliczek, uczyli się pisać, łacinę przełykali, ale dopiero, gdy powieść jaka

uderzyła w strunę wojenną, oczy im połyskiwały i policzki się rumieniły. Amor i Gratus nie taili się z tem, że byle im pozwolono, chętnieby pióro na szable zamienili. Najmłodszy był spokojniejszego ducha.

Nie zapomniano też przy nauce o kształceniu ich do przyszłego powołania. Pod okiem bakałarza przychodził stary żołnierz uczyć ich władać szablą, kalwakator dosiadać koników, łucznik strzelać do celu. Naówczas Grzegorz mógł się przekonać, że z nich pono uczonych nie potrafi uczynić, bo przez posłuszeństwo gotowi byli męczyć się nad pergaminem i papierem, ale życie w nich wstępowało dopiero na podwórcu.

Oba mieli pojęcia bystre i pamięć dobrą, a Grzegorz nie był pedantem do form przywiązanym i uczył więcej żywem słowem, niż suchą literą. Gdy się nad książką zdrzemali, naówczas z pamięci poczynał opowiadać rycerskie sprawy Aleksandra, albo historję jednego z bajecznych bohaterów starożytności i słuchano go pilnie.

Gdy Grzegorz po raz pierwszy ze swymi wychowańcami zjawił się na królewskim zamku, chociaż bojaźliwym z natury nie był, uczuł, że mu, wystawionemu na wejrzenia i pytania ciekawe, przyjdzie ciężką chwilę przeżyć.

Przy królewiczach znajdowali się dwaj dozorcy i nauczyciele, naznaczeni na zjeździe od szlachty, szlachcic niemłody już, Piotr Ryterski i Wincenty Kot z Dębna, duchowny, kustosz gnieźnieński. Z nich pierwszy miał pieczę nad ciałem więcej, drugi nad umysłem wyrostków, nad którymi nieustannie czuwała sama królowa Sonka, matka troskliwa, dla której dzieci były całym światem.

Miała ona oprócz nich do czuwania nad wielu sprawami i musiała zjednywać sobie serca panów rady, z których wielu jagiellońskiemu rodowi było nieprzyjaznych. Odzywały się ciągle jeszcze wspomnienia Piastów, ich praw i odwiecznego w tem królestwie panowania.

Władysław, starszy królewicz, dochodził lat dziesiątka, młodszy o lat parę Kazimierz był jeszcze dziecięciem.

Rówieśnicy Tarnowskich nawykli byli z nimi poobiednie spędzać godziny. Dawniej towarzyszył im tu stary sługa, Strzemesz. Gdy raz pierwszy przyszedł z chłopcami Grzegorz z Sanoka, nie obeszło się bez natrętnej ciekawości królewiczów i zapoznania się z ks. Kotem. Poważny kustosz, który już słyszał o młodym bakałarzu i był ciekawym go poznać, przyjął go uprzejmie, chociaż dał mu uczuć wyższość swoją.

Mąż był światły, w wieku tym, który daje spokój umysłowi. Z pierwszych wyrazów rozmowy poznał w Grzegorzu uczonego i rozumnego młodzieńca i z przyjemnością zawiązał z nim jakąś dysputę, która świetne przymioty bakałarza najaw wyprowadziła.

Ryterski tymczasem naglądał bawiących się chłopców, którzy po wielkiej sali wyprawiali hałaśliwe wyścigi. Starszy królewicz bywał zawsze wodzem tych wypraw wojennych, bo się inaczej, jak w rycerstwo nie bawiono. Najmłodszy tylko Rafał dosyć bojaźliwie i niechętnie zaciągał się do tych szeregów, w których mały Kaźko stawał obok brata, mimo wzrostu i wieku.

Tego dnia, jak zwykle w ciągu zabawy, uchyliła drzwi naprzód, a potem weszła przypatrzeć się królowa Sonka. Spostrzegła ona postać nową i nieznaną sobie, — która musiała obudzić jej ciekawość, gdyż zbliżyła się do ks. kustosza i dowiedziawszy się o bakałarzu, kazała go sobie przedstawić.

Grzegorz był tak szczęśliwy, że powierzchowność dobrze ku niemu usposabiała; oprócz tego udało mu się na kilka pytań królowej odpowiedzieć zręcznie i tak, że w nim umysł żywy i energiczny poznać mogła.

Po krótkiej rozmowie oddaliła się królowa, a i Tarnowscy odejść musieli do domu.

Potem codzień prawie już śmielszy Grzegorz szedł z nimi na zamek, królewicze się z nim nietylko oswoili, ale polubili go, gdyż chętnie się mieszał do ich igrzysk i był w nich sędzią i rozjemcą. Ks. Kot, mający często

zajęcia, poznawszy bliżej bakałarza, czasem odchodził na chwilę, zostawując mu królewiczów razem z ich towarzyszami.

Parę razy zastała tak królowa ich samych z Grzegorzem i w dłuższą wciągnęła go rozmowę. Jawnem było, że przybysz ten podobał się jej i że umiała go ocenić. Badała go nieznacznie o synów, wzywała rady i nawet stary Ryterski dostrzegł po niejakim czasie, iż bakałarz zyskał łaskę pani, czego mu powinszował.

Królowa miała ten instynkt ludzi wybranych, którzy, gdy im samym brak sił do osiągnięcia wielkiego celu, umieją przybierać sobie pomocników, z wielką trafnością wybieranych z tłumu.

Grzegorz, który w początkach obawiał się zbliżenia do królowej, a z rozgłosu powszechnego miał o niej wcale inne wyobrażenie, poznawszy ją lepiej, przekonał się, jak mało cenić ją umiano i spotwarzano niegodnie.

Wzbudzała w nim poszanowanie i współczucie. Miłość jej dla nauk, których sama nie posiadała, a miała tylko, jakby ich przeczucie, chętna pomoc uczonym, opiekowanie się młodzieżą ubogą, wszystko to zjednało jej cześć młodego bakałarza i chęć służenia.

A że uczucia takie zawsze się zdradzają i najczęściej są odpłacane, królowa też wyróżniała Grzegorza, i zdawała się czekać tylko chwili, gdy go do służby swej zawezwie.

Były to ostatnie lata panowania zestarzałego króla, który jeszcze się podróżami i łowami zabawiał, ale rządy kraju były więcej, niż kiedykolwiek, w silnych rękach biskupa Zbyszka i jego rodziny.

Na zamku i u wojewody spotykał też Grzegorz wszechmocnego władcę, który okazywał mu dosyć życzliwości, szczególniej ceniąc jego łacinę i znajomość literatury.

Zbigniew z Oleśnicy był zresztą człowiekiem samoistnym i zbyt żądnym władzy, aby tych, w których odkrył energję, mogącą w przyszłości stanąć mu na przeszkodzie, pociągnął ku sobie i torował im drogi.

Poczuł on w Grzegorzu z Sanoka człowieka, który nie mógł być cudzem narzędziem, nie podawał mu więc ręki, spychając go, jak Ciołka, na podrzędne stanowisko stylisty i wierszopisa.

Nie starał się też bakałarz o pozyskanie sobie biskupa, ograniczając się tem, aby go nie mieć nieprzyjacielem.

Tak stały rzeczy, gdy nagle, jak piorun, spadła na królowę i na całe królestwo wiadomość o chorobie, a prawie jednocześnie o śmierci Jagiełły.

Biskupa Zbyszka nie było naówczas w Krakowie, a na nim polegała Sonka, iż syna jej starszego na tronie osadzi.

Poruszyło się po zgonie króla wszystko, co imię jego i powaga, długiem panowaniem pozyskana, spojonem i spokojnem trzymały. Wszystkie zachcianki, nadzieje, urojenia, zabiegi przyjaciół Piastów, mściwe zachody wrogów królowej wybuchły i zakłóciły spokój.

Sonka nie miała się kim posłużyć, komu zaufać, — potrzebowała ludzi. W tej godzinie stanowczej już dawno napatrzony Grzegorz z Sanoka przyszedł jej na myśl.

Posłała do wojewody i zażądała od niego, aby bakałarza swojego odpuścił do niej. Jan z Tarnowa zgodził się na chwilowe pofolgowanie mu w obowiązkach, ale nadto go umiał ocenić, aby się chciał całkiem z nim rozstać.

Grzegorz też, na teraz jeszcze pod żelazną ręką biskupa, niebardzo życzył sobie być służką bez znaczenia i powagi. Bakałarz przeszedł czasowo na zamek, dał się użyć jako poseł i pośrednik, ale nie rozstał się z Tarnowskimi. Aż do przybycia biskupa, który już do Bazylei nie pojechał, bo pilniejsze nad sobór były sprawy królestwa, Grzegorz z Sanoka był na usługach królowej, chociaż niewidoczne i podrzędne stanowisko zajmował na dworze.

Była nawet mowa o tem, że go miano oddać posłom na sobór wyjeżdżać mającym, ale młody wiek jego

i niedość znane teologiczne wykształcenie, może żywość i śmiałość wstrzymały tę podróż.

Przypadła mu zato ciężka praca czuwania nad królewiczem Władysławem i przysposobienie młodziuchnego chłopięcia do tych wystąpień, jakie go czekały.

Dawniej już Grzegorz umiał sobie wesołością, wymową, łagodnością zyskać wielką sympatję przyszłego króla. Nieraz Ryterski i ks. kustosz używali go nieznacznie do przełamania uporu, do namowy na jakieś ustępstwo. Grzegorz, w sposób pełen uszanowania, ale żartobliwy i poufały, umiał skłonić królewicza do czego było potrzeba.

Już w dziesięcioletnim panu zwiastował się przyszły jego charakter, który w wielu rysach przypominał ojca. Przedewszystkiem był to krwią i wychowaniem rycerz, który marzył o sławie, zdobyczach wojennych, o wielkich wojnach i czynach nadzwyczajnych. Z dziejów, które czytano królewiczom, Krzywousty był jego ulubieńcem i wzorem. Zazdrościł mu młodzieńczych wypraw, walk i całego żywota, opiewanego przez Galla. Na ustach miał ciągle:

— Gdy dorosnę, a pójdę na wojnę...

Najmilszym strojem jego była mała, lekka zbroja, którą dla niego naumyślnie zrobiono, najulubieńszą zabawką igrzyska na podobieństwo małych turniejów w podwórcu zamkowym. Ryterski musiał go hamować, a ks. Kot gwałtem zasadzać do nauki i wabić do niej historjami bohaterów.

Drugą cechą młodzieńca, wziętą po matce i z obyczaju wieku, było upodobanie w wytwornym stroju i elegancji, w ogładzie europejskiej. Książęta niemieccy, przybywający do Krakowa, opowiadanie o dworze cesarza Zygmunta niepokoiły Władysława, który chciał, aby dwór polski i zamek nie ustępowały tym, które przy nim sławiono.

Po ojcu wziął królewicz nadzwyczajną ową jagiellońską hojność, która nigdy nikomu nic odmówić nie śmiała. Często bardzo to, co miał najulubieńszego, natychmiast chciał oddawać przyjaciołom Tarnowskim,

gdy się im podobało, a że swej woli nie miał, biegł z tem do matki, która nigdy pozyskiwaniu sobie ludzi przez dzieci nie była przeciwną. Tak mało na kogo rachować mogła!

Wśród tych dni burzliwych, gdy aż do ostatniej godziny wichrzyciele chcieli przeszkodzić i nie dopuścić koronacji Władysława, gdy królewiczowi nieustannie trzeba się było ukazywać, kłaniać, prosić i mieć przytomność umysłu starego a wytrawnego człowieka, Grzegorz z Sanowa, ukryty, stał przy nim ciągle, dodawał mu męstwa, budził w nim słabnącą na widok łez matki energję, rozśmieszał go, aby nie dopuścić rozpłakania się.

W dniu koronacji, gdy na sali łajano się od ostatnich słów, i nie można było wiedzieć, czy obrzęd da się spełnić, gdy Władysław blady i strwożony stał w całem ubraniu królewsko-kapłańskiem, czekając i drżąc, Grzegorz z Sanoka był u jego boku, udając wesołego i zapewniając biednego, że dziś włoży koronę na skronie.

Tych dni kilkanaście, przebytych prawie bez przerwy na zamku przy Władysławie, więcej do niego zbliżyły Grzegorza z Sanoka, niż cały rok poprzedzający. Młody król był mu wdzięczen, spoufalił się z nim, nauczył ufać i nie taił z żadną myślą najskrytszą.

Gdy wreszcie ukoronowano młodego pana, a wszystko się szczęśliwie skończyło, Grzegorz, nie czując się tu już potrzebnym, pożegnał królowę i powrócił do swych wychowańców.

Za tę usługę niewidoczną w dniach ciężkich zaszczycono młodego bakałarza wezwaniem do napisania pochwalnego wiersza na cześć zmarłego króla. Było to odznaczeniem go, ale razem zepchnięciem ze stanowiska, jakieby mógł osiągnąć. Wytykano go w ten sposób palcem, jako poetę i uczonego, który miał pozostać łacinnikiem tylko i poetą.

Grzegorz z Sanoka spełnił dane mu polecenie, nie dając poznać po sobie, iż mógłby był przydać się do czego innego. Napisał pochwałę zmarłego, zebrawszy

do niej rysy charakterystyczne, które dziś uderzają realizmem śmiałym i naiwnością swoją. Król chwalony wystąpił w nich, jakim był za żywota z silnie oznaczoną indywidualnością. Apologja nie stworzyła ideału, który mógł przystać do tysiąca innych postaci, lecz dała wizerunek zmarłego.

Jak wszystko, co pisał Strzemieńczyk, wiersz ten obudził i podziwienie i zdumienie. Tętniło w nim życie, do którego w poetach owego czasu ludzie nie byli nawykli.

Młody król tymczasem sposobił się do przyszłych rządów. Biskup krakowski, panowie rady, a poza nim królowa, zastępowali go w sprawach bieżących, które potrzebowały silnej dłoni.

Władysław w tej atmosferze, jaką stworzyła mu za wcześnie osiągnięta korona, dojrzewał szybko. Przyszły władca miał już, pomimo czuwania matki, pochlebców, ulubieńców, zabiegających o jego łaski, posłuszne sługi, potajemnie rade serce jego pozyskać. Szczęściem czuwało nad nim oko matki, a królowa Sonka, gdy nie widziała nawet, sercem macierzyńskiem przewidywała niebezpieczeństwo.

Skłonności też młodego króla nie zagrażały jego przyszłości. Przedewszystkiem był to marzący o swem rycerskiem powołaniu młodzian niecierpliwy, który potrzebował sobie jednać przyjaciół i zawsze się otaczać rówieśnikami. Garnęli się też do niego chętnie starsi nawet, widząc w nim hojność ojcowską.

Przeciwko temu chórowi, który nigdy nie śmiał królowi w niczem się sprzeciwiać, a wyprzedzał fantazje jego, potrzeba było postawić jakiś więcej samoistny charakter, coby się nie wahał powiedzieć prawdy i nie dopuścić zbytniej samowoli.

Królowa, znająca już dobrze Grzegorza z Sanoka, nie schlebiającego nigdy, mającego w potrzebie odwagę sprzeciwienia się, zażądała go mieć przy synu.

Zawołany na dwór, został wpuszczony do królowej, która już na niego oczekiwała. Podała mu rękę do pocałowania, uśmiechając się.

— Mówiłam już z Tarnowskimi — odezwała się. — Jesteś wolny! Żądam, abyś się przeniósł na zamek i króla nie odstępował.

Grzegorz się pokłonił.

— Miłościwa pani! Zaszczyt to dla mnie wielki, ale jakież ja tu zajmę stanowisko? komu mam być podległy? jakie będą obowiązki moje?

Królowa z pewną niecierpliwością i objawem rozdrażnienia spojrzała na bakałarza. Piękne jej, pełne wyrazu oczy, w których silna wola się malowała, chwilę mierzyły pytającego i przygotowywały do odpowiedzi.

— Pozostaniesz przy królu — rzekła, — jako starszy przyjaciel jego, jako oko moje, jako stróż z ramienia matki. Nie będziesz podlegał nikomu, oprócz mnie. O przyszłość swoją możesz być spokojnym.

— Nie troszczę się o nią, miłościwa pani — rzekł Grzegorz, — ale o obowiązki, jakie będą włożone na mnie, abym mógł im podołać.

Królowa oblekła się powagą i podniosła głowę, namyślając chwilę.

— Obowiązkiem waszym będzie stać przy królu i mówić mu prawdę, tam, gdzie wszyscy prawić będą pochlebstwa. Władysław dobry jest, ma najszlachetniejsze serce, ale młody, rozmarzony, niedoświadczony, potrzebuje hamulca. Królowi niełacno kto ma odwagę sprzeciwić się. Jam matka, niezawsze przemówić mogę, nie wszystko mi się mówić godzi. Będziesz mieć odwagę za mnie?

Grzegorz myślał chwilę i rzekł z uroczystem namaszczeniem:

— Spełnię rozkazy wasze!

— Przenoście się na zamek; marszałek wskaże wam izby w bliskości królewskich.

Kończyła te słowa, gdy z wesołą twarzą, strojny, piękny, wysmukły, z śniadą swą twarzyczką, ciemnemi oczyma, włosami w puklach spadającemi na ramiona, ukazał się Władysław. Zobaczywszy Grzegorza, uśmiechnął mu się, witając matkę.

Oba oni, starszy i młodszy, nawykli byli nietylko ją szanować, ale bez najmniejszego oporu spełniać każdą jej wolę. Sonka łagodną była dla nich, ale nigdy nie wypuściła z rąk władzy macierzyńskiej.

Grzegorz chciał już odchodzić, gdy skinienie pani wstrzymało go.

Wskazała synowi na stojącego bakałarza.

— Grzegorz z Sanoka pozostanie na dworze; chcę, byś go miał przy sobie... Spodziewam się, że ci będzie miłym.

Król młody podał mu rękę.

— Nie wiem, czy kogo kocham więcej nad niego — rzekł z uśmiechem, — chociaż kłócimy się z nim bardzo często.

— A ja właśnie dlatego sprowadzam go na dwór, aby się kłócił z tobą — przerwała królowa Sonka. — Nadto ci się wszyscy kłaniają...

— Niech on mnie strofuje! Ja się go nie boję — odparł Władysław zawsze wesoło.

Odpuszczono nareszcie bałakarza, który poszedł pożegnać swych wychowańców i, wedle zwyczaju, donieść pani Frączkowej o nowem szczęściu, czy obrocie losu, jaki go spotkał.

Miał on wielkie znaczenie. Zwlekane dotąd poświęcenie się stanowi duchownemu musiał Grzegorz zakończyć stanowczym krokiem. Nosić suknię, nie mając święceń, wahał się jeszcze.

Dawano mu oddawna do zrozumienia, że byłby mógł otrzymać beneficjum jakieś, probostwo, lub kanonję, gdyby został kapłanem. Rozdawano je wprawdzie naówczas i długo potem jeszcze osobom świeckiego stanu z obowiązkiem trzymania wikarjuszów, lecz było to wyjątkowem i przez duchowieństwo niedobrze widzianem.

A Grzegorz nie czuł w sobie jeszcze tak jawnego powołania, aby się wyrzec na zawsze swobody życia i nadziei. Pani Frączkowa też, która była jego Egerją, nie nalegała na pośpiech, choć przewidywała, że się na święceniu skończyć musi.

I tym razem Grzegorz poszedł do dworku Balcerów naprzód, pochwalić się tem, co go spotkało. Spotkał w progu stárą Balcerowę.

— A co, matuniu — rzekł do niej wedle poufałego zwyczaju dawnych czasów. — Źle ze mną! Ludzie Grzesiem waszym rzucają. Tarnowscy już mnie nie chcą. Wyrzekli się.

Widząc uśmiech na jego ustach, Balcerowa nie ulękła się jakoś.

— Cóż myślisz poczynać?

— Albo to człowiek ma w czem wolę swoją? — rzekł Grzegorz, wchodząc za nią do izby. — Teologowie i filozofowie powiadają o wolnej woli, ale bodaj tak świat widzieli! Mus jest we wszystkiem: chcesz czy nie, konieczność ciągnie.

— A dokąd? — wtrąciła nadchodząca Frączkowa.

Grzegorz witał się z nią i odparł obojętnie:

— Kazała mnie dziś przywołać królowa i poleciła przenieść się na zamek, a stać przy młodym królu.

Lena potrząsnęła głową.

— Skarżysz się na to? — zawołała.

— Jako żywo, bo ja na nic nie zwykłem się skarżyć, to raz, a powtóre, skarga się nigdy na nic nie zdała i jest rzeczą dziecinną... Ale czy to bardzo wygodne i zdrowe, nie wiem!

Westchnął.

— Lepiej było w kolegjum? — zapytała Frączkowa.

Wtem praktyczna Balcerowa wtrąciła.

— Cóż wam na zamku przeznaczono robić? Bo jużciż miejsce dać musieli?

— Trudno wytłumaczyć! Mam królowi mówić prawdę, a tak słodką, aby ją przełykał — rzekł wreszcie. — Będę wisiał przy dworze, trochę więcej, jak błazen, a trochę mniej, niż ochmistrz.

— Nie drwij — przerwała Lena, która nie lubiła, aby ją lekceważono.

— Mówię prawdę — ciągnął dalej Grzegorz. —

Nie dano mi żadnego urzędu, ani obowiązku; królowa chce, abym młodego pana miał na oku i ostrzegał go.

Toć najlepszy sposób zbliżenia się, przywiązania go do siebie i pozyskania.

— Nieprzyjaciela — dokończył Grzegorz. — Zbrzydzi mnie sobie.

Kobiety nie chciały tego zrozumieć.

— Druga konieczność — dodał Grzegorz, — że wreszcie suknię, którą noszę, trzeba będzie dać pokropić święconą wodą i wygolić sobie koronę na głowie.

Westchnął.

Frączkowa popatrzała na niego i ramionami ruszyła.

— Nie chce mi się wierzyć w takiego księdza.

— Mnie też — dokończył Grzegorz, — ale śpieszyć nie będę.

Smutnie jakoś skończyła się rozmowa. Po chwili despotyczna pani Frączkowa zawczasu zaczęła boleć nad tem, że Grzegorz, na zamku zajęty, o nich zapomni.

— A ja tego nie ścierpię — dodała. — Nie było nas do siebie przyzwyczajać; teraz chcesz czy nie chcesz musisz służyć Frączkowej.

— Tego się nie zarzekam — rzekł bakałarz. — Nie mam, oprócz was, nikogo na świecie.

W złą wyrzekł to godzinę. Frączkowa się nagle śpiesznym krokiem zbliżyła do niego z dosyć zafrasowanem obliczem.

— Nie w porę wam to oznajmię — rzekła, — ale zataić trudno. Właśnieście powiedzieli, że nikogo nie macie, a bodajbyście nie woleli naprawdę nie mieć rodziny.

— Albo co? — przerwał zdziwiony Grzegorz.

Kobiety się na siebie popatrzyły.

— Niema co taić — odezwała się Frączkowa. — Drugi już dzień, jak tu przychodzi obdarty pijanica, zawadjaka okrutny, a mieni się waszym bratem, Zbilutem i szuka was. Nie chcieliśmy mu o was powiedzieć, abyście wstydu nie mieli.

Grzegorz pobladł i zerwał się na nogi, ręce łamiąc.

— Być-że to może! Zbilut tu! Rodzony mój, Boże wszechmocny! W tej chwili!

— Jeżeli go wiertelnicy pijanego gdzie nie pochwycili przy kościach, to tylko co go nie widać — mówiła Frączkowa. — Uparł się tu chodzić, aby koniecznie wymóc na nas wiadomość, gdzie ma szukać brata. Ale strach spojrzeć na niego! A wam się serce zakrwawi, gdy go zobaczycie.

— Brat, brat! — powtarzał Grzegorz wzruszony. — Rodzony brat! Jakże ja go mogę opuścić? Jego jednego w świecie mam! Może nędza przyprowadziła biedaka do tego stanu, może rozpacz każe mu szukać zapomnienia w pijaństwie. Brat — powtarzał Grzegorz.

Wtem w sieniach dał się słyszeć głos chrypliwy.

— Puszczaj nicponiu, bo ci łeb rozkwaczę! Słyszysz! Szlachcic jestem, ty, łyku jakiś, ty rabie.

Frączkowa zasłoniła sobie uszy rękami i rzuciła się do drugiej izby, gdy Grzegorz, domyśliwszy się Zbiluta, zapomniał o wszystkiem i wybiegł naprzeciw niego, wołając:

— Zbilut! brat!

Szedł z rękami otwartemi, aby go przycisnąć do piersi, ale na widok, jaki mu się przedstawił, cofnął się z jękiem przerażony.

Przed nim stał młody jeszcze mężczyzna w sukni zbłoconej, poszarpanej i odartej, w czapczynie na tył głowy zarzuconej, z brodą zarosłą i rozczochraną, z włosami, w których tkwiła słoma i śmiecie. Twarz jego czerwona krwawo, zwierzęcego wyrazu, oczy zaszłe krwią, czoło okryte sińcami i guzami, brudne ręce czyniły go obrzydliwym i strasznym.

Na widok Grzegorza, zaniemiawszy na chwilę, Zbilut ręką niepewną, drżącą sięgnął do czapki i zamruczał:

— Czołem!

— Zbilut! — zawołał Grzegorz.

— Tak jest, Zbilut Strzemieńczyk z Sanoka — odparł, bełkocząc, pijany. — Szukam brata zgubionego.

Ten, słyszę, opływa tu w dostatkach, a krew jego wszy jedzą. Taka sprawiedliwość na świecie!

Otarł rękawem zaślinione usta, splunął i począł, niepewien jeszcze, kogo miał przed sobą, bo mu się w głowie mąciło, przyglądać się Grzesiowi, który zawołał surowo:

— Chodźmy stąd!

W Grzegorzu walczyło wzruszenie, odraza i smutek, jakim go przejmował widok pijanego, zezwierzęconego człowieka, w którym chciał widzieć brata. Zbilut, nie okazując najmniejszej czułości, wpatrywał się oczyma załzawionemi od pijaństwa temu, w którym się domyślał brata. Bakałarz wyszedłszy, tarł czoło, myśląc, co pocznie z tym człowiekiem, z którym naprawdę wstyd było się pokazać w ulicy. Potrzeba było mieć męstwo wielkie i miłość, jaką czuł Grzegorz, aby spełnić ciężki obowiązek.

— Masz gdzie jakie przyporzysko? Gospodę? — zapytał, stojąc w ulicy.

Zbilut ruszył ramionami.

— Gdzie tu w tym przeklętym Krakowie znaleźć dziurę? Ludzie, jak drapieżne zwierzęta! Trzy razy mnie w szynkach pobito. Nie mam kąta, nie mam grosza. Ostatnią noc spałem pod murem.

Po krótkim namyśle Grzegorz, nie przedłużając rozmowy, począł iść w miasto. Nie mógł go gdzie indziej umieścić, tylko pod dozorem człowieka, któryby litość nad nim miał, a razem energję do powstrzymania go od pijaństwa.

Za czasów, gdy poczynał tu do szkół chodzić, bakałarz siadywał na jednej ławie z bardzo biednym, starszym od siebie wyrostkiem, którego przezywano, nie wiedzieć skąd, Grochowiną. Przydomek ten mu pozostał.

Grochowina, który uczyć się począł, gdy był już pod wąsem, niedaleko zaszedł w szkole; porzucił ją potem i w mieście go do straży zaciągnięto. Był starszym nad częścią pachołków miejskich, wiertelników. Choć sam nieuk, Grochowina miał wielkie poszanowanie dla

ludzi stanu duchownego i nauczycieli, chlubił się tem, że z Grzegorzem razem do szkoły chodził, a spotykając się z nim, uśmiechał się mu i kłaniał. Był to człek dobry, ale nawykły do ocierania się ciągłego o gawiedź uliczną, wdrożony do surowości i nieubłagany dla hultajów.

Wiedział Grzegorz, że Grochowina mieszkał w lichej izbie u Florjańskich wrót i spodziewając się go tam znaleźć, bratu iść kazał za sobą. Zbilut, mrucząc, ciągnął za nim.

Gdy nadeszli, Grochowina stał właśnie w furcie, na wieczorny obchód swojego kwartału się sposobiąc.

Pośpieszył się bakałarz przodem ku niemu; poznawszy go zaledwie, drab zdjął kołpak z głowy i począł się uśmiechać z dziecinną radością.

— Grochu mój! — zawołał bakałarz, — patrzaj na tego, którego z sobą przywiodłem... pijanicę, co się tak zatacza! Jest to mój rodzony brat! Bieda go do tego doprowadziła. Nie mam narazie co z nim począć. Miej nade mną miłosierdzie. Weź go do siebie do izby... nakarm, pić mu nie dawaj, włóczyć się nie pozwalaj.

Bakałarz wyjął z kalety garść denarów i wsypał je w szeroką dłoń Grochowiny.

— Nim się namyślę, co z nim począć, może się ustatkuje. Zatrzymaj go przy sobie, ale mu za próg nie daj wychodzić i pić nie dopuść.

Grochowina słuchał z uwagą, potrząsając głową.

— Jednak — dodał, litując się, bakałarz, — nie bądź za surowym... obchodź się z nim łagodnie. Jutro przyjdę, aby coś na przyszłość obmyśleć.

Zbilut stał tymczasem, oglądając się dokoła.

— Słuchajcie — zawołał do brata razem i do nieznanego Grochowiny, — a gdzieby tu się posilić? Pić mi się chce wściekle.

Targnął za rękaw Grzegorza.

— No, cóż będzie?

— Zostaniesz tu, dadzą ci pomieszczenie i strawę —

dodał bakałarz. — Naprzód ci się wyspać potrzeba, nim ja z tobą mówić będę.

— Cóż to? Przecie nie gospoda — odparł, chmurząc się, Zbilut, — wygląda na więzienie?

— Izba u mnie jest jasna i dobra — przerwał, zwolna go pod pachy biorąc, Grochowina, i popychając przed sobą na ciasne wschodki. — Idźmy!

Grzegorz poszedł też za nimi.

Weszli do komory sklepionej, dosyć obszernej, w której kątach był nagromadzony rynsztunek wojenny. Parę okien kraciastych, niewiele światła dopuszczających, czyniły ją dosyć smutną. W kącie stał tapczan Grochowiny, Zbilut na stole w pośrodku postrzegłszy dzban i kubek, wprost, nie pytając nikogo, chwycił się do nich. Ale były próżne.

Z pogardą postawił je nazad i obejrzał się.

— Jeść — zawołał, — i pić!

— Wszystko przyjdzie swego czasu — rzekł Grochowina, — a mnieby się widziało, abyście naprzód szli spocząć na mój tapczan.

Bakałarz stał, z niewymownym wyrazem litości przypatrując się odzyskanemu bratu.

— Zbilut — rzekł poważnie. — Chcesz-li abym ci bratem był, stańże się takim, abyś mi wstydu nie czynił. Będziesz miał wszystko, co ci potrzeba, oddam ostatnie, podzielę się z tobą, czem mogę, ale hultaja nie ścierpię.

Zbilut zdawał się słuchać, piąte przez dziesiąte rozumiejąc ledwie.

— Alboś ty mi brat, albo nie brat — odezwał się, — a jeżeliś mi brat, to mi powinno być wszystko w bród. Za co ja mam nędzę cierpieć, kiedy ty w flamskiem suknie paradujesz.

— Alem ja na nie zapracował! — odezwał się Grzegorz.

— To i ja z kordem w ręku, ino mi dać, co się należy, potrafię też po łbach ludzi walić, bo to jest szlachecka sprawa, a ja jestem szlachcic, zawołania Strze-

mię. Klechą jako żywo, nie będę, a w rycerskiem rzemiośle nikt mi nie sprosta.

Wyciągnął pięść, ale zachwiał się na wąskiej ławie, na której padł, i gdyby go nie pochwycił Grochowina, na ziemięby się stoczył. Silny drab, raz go ująwszy, rzucił na tapczan i dał znak Grzegorzowi, aby był o niego spokojnym.

Zbilut, znalazłszy się na posłaniu, zabełkotał coś niewyraźnie, ale wypity trunek go rozmarzył i po chwili, choć się rzucał i chciał wstawać, sen nim owładnął.

Bakałarz spojrzał zdala z politowaniem, poszeptał z Grochowiną i odszedł.

VII.

W tydzień potem pijanicy Zbiluta, którym brat się zajął serdecznie, poznać było trudno. Naprzód bakałarz od stóp do głów odział go swoim kosztem, nakarmił, opatrzył, a gdy się wytrzeźwił i oprzytomniał, wymógł na nim przyrzeczenie, że pić nie będzie, obiecując mu wyrobić dobrą rycerską służbę przy jakimś pańskim dworze. Zbilut otrzeźwiony, zdawał się na wszystko zgadzać, przyrzekł bratu poprawę, lecz czem był w dziecinnym wieku, pozostał i teraz, to jest najchytrzejszym i najzepsutszym z ludzi. Umiał się tak ułożyć i przybrać pokorną i powolną powierzchowność, że bakałarz mu uwierzył. Tłumaczył się rozpaczą, do której go nieludzkość ojca doprowadziła.

Pobyt u Grochowiny, trochę więzienny, nie podobał się Zbilutowi; obawiał się tego draba, który miał na niego pilne oko. Wyprosił się więc do jakiegoś mieszczanina, z którym zrobił znajomość.

Przez kilka dni układał się tak dla Grzegorza, aby go ten nigdy pijanym nie zastał. Późno w noc wykradał się do browaru i tam pił do upadłego, a że piwnice naówczas, zwłaszcza odleglejsze, pełne były kosterów, z nimi też rzucał kości i kilka guzów oberwał. Złożył

je na jakiś przypadek, a przed bratem ciągle udawał statecznego, powtarzając:

— Ja teraz nic nie piję, tylko wodę, abym głodnym nie był!

Chcąc go w służbę wojskową dać, musiał Grzegorz postarać się o konia, o zbroję, o miecz, o koncerz, o suknie i o rząd tak, że co miał tylko grosza, wydał na to. Zbilut przyjmował dosyć wdzięcznie, ale potrzeby coraz nowe wynajdywał, a potem obiecywał pokazać dopiero, co umie.

Bakałarz, któremu w te czasy przypadło razem starać się w akademji o nowy stopień mistrza (magister), bo mu ten był do dalszego pomieszczenia się potrzebnym, stać u boku króla, nieraz potajemnie być wzywanym do królowej, a zarazem brata tego na ludzi wyprowadzać, nie miał jednej chwili wolnej.

Przybycie Zbiluta zubożyło go; oddał mu, nie jak postanowił, połowę tego co miał, ale niemal wszystko, co uzbierał.

Lecz nie było mu strasznem ubóstwo, bo dla siebie nie potrzebował wiele, a cieszył się tem, że wyrwie brata z błota.

Wychwalał się tą szczęśliwą przemianą przed Frączkową, która, jako kobieta nie tak łatwowierna, uśmiechała się tylko i głową trzęsła. Nie wierzyła w poprawę zawadjaki i pijaka.

Właśnie, gdy już mistrzem mianowany Grzegorz z Sanoka dla odrodzonego brata spodziewał się znaleźć pomieszczenie we dworze wojskowym wojewody sandomierskiego, jednego dnia dano mu znać z gospody, w której przebywał Zbilut, że porąbany, pijany, odarty ze wszystkiego, leżał w krwawych chustach, potrzebując więcej lekarza, niż służby.

Grzegorz pośpieszył do niego.

Potłuczony Zbilut, który miał się czas wytrzeźwić, nie przyznał się do tego, że go przy kosterstwie odarto i posieczono, ale zmyślił baśń, jakoby go nocą napadli łotrzykowie. Przysięgał się, że wcale pijanym nie był i że stał się ofiarą zbójów.

Okazało się, że i kupiony koń znikł, bo go wzięli roztruhacze i zbroi nie było, i sukni nie stało. Słowem, cała ta wyprawa, na którą Grzegorz oddał w pocie czoła zebrany grosz, marnie przepadła.

Uwierzyć niezręcznym kłamstwom Zbiluta nie było podobna. Wahał się jeszcze brat, mówiąc sobie, że nałogowy i popsuty człowiek nie odrazu poprawionym być może, chciał go ratować, lecz w kilka dni potem polepionego plastrami łotra zastał znowu bez zmysłów spitego. Mimo litości, wstręt, odraza, oburzenie go opanowało. Podniósł ręce, zakrył sobie oczy i zawołał do gospodarza:

— Czyń z nim, co chcesz! Ja więcej o nim wiedzieć nie chcę! Jego nie uratuję, a siebie zgubię.

Lecz łatwiej to było powiedzieć, niż uskutecznić. Zbilut wytrzeźwiony, wylizawszy się, począł od tego, że resztę rzeczy sprzedał i przepił, potem stanął około zamku na czatach i czyhał na brata. Ze zwykłą logiką ludzi jemu podobnych, wywoływał głośno.

— Co on sobie myśli, że ja mu tu będę z głodu marł, kiedy on u króla je i pije! Albom ja brat, albom nie brat, musi mnie tak trzymać, jak mi się należy. Ja swoje prawa znam i nie popuszczę!

Grzegorz, uwiadomiony o tej napaści, która się na niego gotowała, z rezygnacją chrześcijańską zniósł ten krzyż pański. Dopóki miał nadzieję, że uratuje człowieka, gotów był na wszelkie ofiary; zrozpaczywszy o tem, postanowił nie czynić już nic, a upokorzenie znieść stoicko.

Szczęśliwy traf wyzwolił go od tego, coby go niechybnie spotkało, gdyby królowa nie kazała mu jechać do Węgier w tajemnem poselstwie do cesarzowej Barbary.

Cesarz Zygmunt chorzał, Barbara z zimną krwią i przewrotnością najzepsutszej kobiety spiskowała z królową Sonką, czyniąc jej nadzieję, że zaślubi Władysława i uczyni go panem na Węgrzech.

Zabiegi te były naówczas jeszcze zaledwie nieśmiało

rozpoczęte, nikt o tych marzeniach królowej matki nie wiedział, oprócz cesarzowej Barbary.

Tymczasem jednak pilno się starano o pozyskanie ludzi wpływowych na Węgrzech i w Czechach.

Królowej Sonce nie dosyć było dla Władysława polskiej korony, a prawdopodobnego wielkorządztwa na Litwie dla Kazimierza. Upajała się tą myślą dziwaczną, że synowie jej panować będą nad Polską, Węgrami i Czechami.

Potworna myśl przeszło pięćdziesięcioletniej cesarzowej Barbary, poświęcenie syna tej kobiecie, której życie swawolne i bezwstydne dla nikogo tajemnicą nie było, wszystkie trudności tego olbrzymiego i zuchwałego planu nie odstraszały królowej Sonki. Wiedziała ona, że zwierzyć się z tem nikomu nie mogła, bo niktby nie pobłażał myśli dzikiej i wstrętnej; zdawało się jednak Sonce, że powinna była pracować dla zapewnienia synom wielkiej potęgi i w ciszy nie ustawała knować na Węgrzech i Czechach.

Zabiegi jej okrywała tajemnica największa, a Grzegorz z Sanoka, którego sądu obawiała się królowa, tak mało wiedział o tem, jak i drudzy, bo mu nic nie mówiono.

Niechętnie odrywała go Sonka od dzieci nawet na czas krótki, lecz gdzie potrzeba było zachować tajemnicę i przewieźć jakie słowo, które do niczyjego ucha po drodze dostać się nie powinno, tam mistrz Grzegorz jechać musiał.

Dnia jednego znikł on z Krakowa, a nikt nie umiał powiedzieć, dokąd się udał.

Właśnie, gdy Zbilut czatował nań, zapijając się po browarach i odgrażając na brata, Grzegorz był na drodze do Węgier.

Los chciał, by w nocnej jakiejś rozterce z łotrami, z którymi Zbilut przestawał, nie on pobity został, ale przeciwników swych pokaleczył. Schwytany z kosterami już nie po raz pierwszy, dostał się do miejskiego więzienia i tu go znalazł Grochowina.

Ten, znając już dobrze człowieka, a wiedząc, ile

strapienia przyczynił Grzegorzowi z Sanoka, postarał się o to, aby go bez zbytniego rozgłosu poprostu z miasta wyświecono.

Napróżno niepoczciwy człowiek odwoływał się do mistrza brata i do królowej, ponieważ nie jeden już raz poszlakowanym był, wywiedziono go precz za miasto, a Zbilut wiedział, co go czekało, gdyby, mimo zakazu, był pochwyconym.

Gdy spełniwszy posłannictwo swe, mistrz Grzegorz wrócił do Krakowa, brata już tu nie zastał. Frączkowa, która się niepokoiła tym zbójem i rada była widzieć go wygnanym, miała o tem wiadomość. Zjawił się u niej Grzegorz i od niej posłyszał o tem, co Grochowinie był winien.

Rad był może, iż pozbył się ciężaru, ale poczciwem sercem odbolał tę stratę. Ojciec stary, który, jak Zbilut mu opowiadał, dotąd nie przebaczył ucieczki, i ten niepoprawny łotr, składali całą jego rodzinę. Czuł się sierotą.

Wincenty Kot z Dębna, który był przy królewiczu, z nauczyciela jego postąpił na kanclerstwo; to go odrywało od młodych wychowańców i tem większy ciężar spadł na Grzegorza z Sanoka. Musiał on prawie nieodstępnie towarzyszyć królowi, podzielać jego zabawy i zajęcia.

Życie na dworze i przy królu wcale nie przeszkadzało Grzegorzowi ślęczyć po nocach nad księgami. Właściwie dzień dla niego był służbą, noc życiem prawdziwem, bo naówczas przy lampce zasiadał do obcowania z nieśmiertelnemi duchami swych ulubionych poetów i wczytywał się w Plauta, którego naśladować usiłował.

Żałował teraz i bolał, że zamłodu przedsięwziąwszy wędrówkę, nie przeciągnął jej za Alpy, do Italji tej, słynącej skarbami swemi, z której płynęły drogocenne rękopisma.

Goszcząc raz na zamku, biskup Zbyszek, który piękną łacinę Grzegorza cenił wielce i przestając z nim, umyślnie może rozmowę zwracał na piśmiennictwo,

aby go w inne nie wtajemniczać sprawy, usłyszał to życzenie, a raczej żal, iż mu nie dane było gościć we Włoszech. Oleśnicki zmarszczył czoło i spojrzał bystro na młodego mistrza.

— Dziwnie się to składa — rzekł, — bo życzenie wasze schodzi się z moją pilną potrzebą wysłania zaufanego męża na dwór ojca św. do Rzymu. Gdyby królowa jejmość i młody pan zgodzili się na to, chętniebym wam powierzył poselstwo moje. Nie od rzeczy teżby było może, abyście suknię nosząc duchowną i święcenia kapłańskie otrzymali, a te z łatwościąbyście tam uzyskali.

Myśl ta uśmiechała się wielce Grzegorzowi, lecz nigdy się nie spodziewając, aby ją mógł przyprowadzić do skutku, gdy nagle ujrzał bliskie jej urzeczywistnienie, oniemiał prawie z podziwienia i radości.

Okazywać jej jednak nie śmiał, bo będąc na usługach królowej, nie wiedział, czy go odpuścić zechce. Wszystko więc pozostawił biskupowi Zbyszkowi.

Nazajutrz powołano go do królowej, która go bystrem wejrzeniem zmierzyła.

— Czyście wy się sami nastręczyli biskupowi do poselstwa? — spytała.

— Nie — rzekł Grzegorz, — bom o potrzebie wyprawienia posła nie wiedział, ale przyznać się muszę miłości waszej, że gdybym był zawiadomiony, byłbym popełnił ten grzech, bom zdawna do Rzymu i Włoch wzdychał.

— Ale wy mi możecie być lada chwila bardzo potrzebni — odezwała się królowa, głos zniżając. Krokiem poważnym, ale żywym, jak zawsze, parę razy przesunęła się po izbie zadumana; zwróciła się potem do Grzegorza.

— Nie chciałabym, aby biskup zawczasu wiedział, że ja na was rachuję, więc i od tej podróży nie będę was odciągała. Jedźcie!

Tu stanęła bliżej i, palec podnosząc, dodała:

— Jedźcie, lecz nie bawcie tam! Poselstwo sprawcie prędko. Ojciec święty, gdy zażądacie, da wam od-

prawę rychło. Ja tu na was rachuję. Jesteście mi przy Władysławię potrzebni, a kto wie — szepnęła tajemniczo, — może i gdzie indziej. Gdzie indziej! — powtórzyła z naciskiem. — Nie będziecie żałowali służby waszej u mnie.

Grzegorz się skłonił, a królowa po chwili dokończyła, patrząc nań, aby wiedzieć, jakie to na nim uczyni wrażenie.

— Probostwo w Wieliczce pono opróżnione; postaram się, aby wam je dano. Będziecie je mieć, ale do czasu milczcie.

Grzegorz wzruszony ucałował rękę królowej, która żywo powtórzyła:

— Wracajcie rychło. Ja tu nikogo nie mam, komubym się zupełnie zwierzyć mogła.

Chciała mówić wyraźniej, ale zawahała się nieco.

— Nie skarżę się na zdradę — ciągnęła dalej, — ale nie wszystko, co czynię, chciałabym rozgłaszać przed światem, a nawet przed tymi, co, jak biskup, dobrze mi życzą.

Na twarzy królowej Sonki błysnął przelotny promyk dumy i pewności siebie.

— Ja kobietą jestem i po kobiecemu to czynię, co inni po męsku możeby w sposób różny od mojego chcieli zdobyć. Okaże się, komu się lepiej poszczęści!

Uśmiechnęła się królowa ironicznie trochę i natychmiast wróciła do powagi zwykłej.

— Jedźcie, gdy potrzeba — rzekła, — bo biskupowi odmawiać nie możecie, ale pamiętajcie, że powracać wam należy rychło, jeśli mnie służyć chcecie. O probostwie w Wieliczce nie mówcie nikomu: ja wam je przyrzekam i mieć je będziecie.

Dzień to był, w którym nie dano Grzegorzowi spoczynku. Biskup Zbyszek wzywał go do siebie. Podróż do Włoch była postanowioną. Pisano listy do papieża, biskup dawał ustne instrukcje.

Sobór bazylejski, wszystkie spory i trudności, jakie wywoływał, były głównym przedmiotem poselstwa. Sprawy kościoła polskiego, obsadzenie katedr stanowi-

ły także ważne zadanie, które biskup Zbyszek chciał powagą Stolicy Apostolskiej rozstrzygnąć.

Wszystko to miał przedstawić w Rzymie Grzegorz z Sanoka, ale dla niego Padwa i Bolonja, skarby, które się spodziewał zdobyć, stanowiły największą ponętę tej podróży.

Są ludzie tacy, mało napozór znaczni, których, gdy zabraknie, pozostawiają po sobie niezapełnioną próżnię. Grzegorz należał do nich. Nie występował on nigdy naprzód, ani myślał o narzucaniu się ludziom, a mimo to trudno było obejść się bez niego. Każdy w nim czuł rozum, pojęcie bystre i szanował jego zdanie.

Gdzie zachodziła wątpliwość, nawet w rzeczach obcych napozór jego powołaniu, odwoływano się do niego.

Brakowało go na zamku krakowskim, a już o tem, jak brak było codziennego gościa we dworku Balcerów, mówić nie potrzebujemy. Frączkowa chodziła milcząca i zafrasowana, a stara Balcerowa, nie mówiąc nic, śledziła jej kroki i pieszczotliwie głaskała pod brodę.

W tych tęsknotach i wyglądaniu upłynął niemal cały rok. Listy naówczas tak chodziły powoli, jak ludzie. Powierzano je podróżnym, kupcom, z rąk do rąk przechodziły, ginęły, a gdy się już dostały do swego przeznaczenia, częstokroć ten, co je pisał, sam już także przybył zpowrotem.

Ta cisza głucha czyniła oczekiwanie tęskniejszem, można się było dorozumiewać wszystkiego złego i roić najstraszniejsze katastrofy. Łatwo więc pojąć radość tych, co po kilku miesiącach trwogi, witali wędrowca zpowrotem.

Grzegorz z Sanoka zjawił się naprzód na zamku, aby sakwy podróżne złożyć w starem mieszkaniu, potem szedł do dworu biskupa zdać mu sprawę z tego, co widział, słyszał i co mu zlecono w Rzymie.

Zbyszek zatrzymał go wieczór cały i część nocy.

Oprócz listów, świadek naoczny przywoził papieskie życzenia i rozkazy. Położenie ojca św. wobec soboru i zawikłanych spraw, które się rozstrzygały, było trudnem, a nawet groźnem. Biskup Zbyszek odczuwał to mocno, bo mu na powadze Stolicy Apostolskiej wiele zależało, a lękał się, aby sobór nią nie zachwiał.

Późno w noc ledwie mógł Grzegorz powrócić na zamek, gdzie już i królowa i młody król, dowiedziawszy się o przybyciu, dopominali się o niego.

Nazajutrz dopiero, po rannej mszy, mógł się królowej pokłonić. Nie spytała o nic; rada tylko była, że go miała zpowrotem. Pierwsze słowo, które mu rzekła, było:

— Gotujcie się do nowej podróży; będzie ona potrzebną rychło.

Król Władysław na szyję mu się rzucił radośnie.

Grzegorz po kilku miesiącach niewidzenia go ze zdumieniem postrzegł, że urósł znacznie.

— Przywiozłeś mi zbroję? mieczyk? tulich?

— Miłościwy panie! — rzekł mistrz wesoło. — Wiadoma to rzecz, że się w podarku tym, których się miłuje, nie daje żelaza, ani ostrza. Ledwiem jedną tarczę i szyszak zdobył, ale się ich nie powstydzę.

Niecierpliwy król natychmiast pachołków posłał po obiecany gościniec.

Hełm był przedziwnej roboty, ale tarcza krągła, piękniejsza jeszcze. Pierwszy był wyrobem włoskim, wielce kunsztownym, lecz niknął przy tarczy krągłej, przywiezionej ze wschodu, złotem dźwirowanej, nasadzanej kulami złocistemi, wokoło której, jak wieniec tajemniczy, okręcał się napis niezrozumiały.

Król, jak dziecię, się nią zabawiał.

Grzegorz mógł teraz już pójść tam, gdzie mu najpilniej było — do dworku Balcerów, niosąc pod suknią poświęcane różańce i sznury korali dla obu jejmości.

Tu jeszcze nie doszła była wieść o jego powrocie.

Frączkowa od miesiąca leżała w łóżku chora. Nie wiedziała sama, co jej było, nie rozumiała choroby i matka Balcerowa, ale sił brakło i ochoty do życia.

Pobladła i wychudła biedna, a mąż napróżno lekarzy i jadła najwymyślniejsze sprowadzał dla niej.

Gdy w pierwszej izbie ukazał się wchodzący Grzegorz, a Balcerowa radośnie krzyknęła tak, że w sypialni aż głos jej słychać było, stał się cud prawie — Frączkowa, która z łóżka się nie mogła podnieść wczoraj, narzuciła na siebie suknię i chustę i nim się przybyły z matką rozmówił, wybiegła z krzykiem radosnym, obiema rękami chwytając odzyskanego. Ale wnet, jakby ją ten wysiłek wyczerpał, wpół omdlała zawisła na rękach matki.

Mdłość ta nie trwała długo, otworzyła oczy jasne i nowym blaskiem ożywione, a Grzegorz, posadziwszy ją w krześle, podróż swą opowiadać zaczął, dobywając podarki.

Stary Balcer i Frączek znaleźli się tu wnet także na powitanie wędrowca. Znajdowano go opalonym, wychudłym, ale jakby pokrzepionym tą pielgrzymką.

— Teraz już nie pragnę nic — rzekł, — bo chybabym do grobu Pańskiego jeszcze mógł tęsknić. Widziałem Rzym i zwiedziłem te stare gniazda, w których się nauka pielęgnuje. A nie powróciłem bez zdobyczy i owoców. Czegom kupić nie mógł, tom nocami przepisywał, a czegom nie zdołał skopjować, dobrzy ludzie powierzyli mi, lub dla mnie odpisywać kazali. Na całe więc życie moje mam nad czem ślęczeć, a czegóż mi więcej potrzeba?

— I dosyć już tych podróży! — zawołała Frączkowa.

Mistrz westchnął.

— Dla mnie byłoby ich już dosyć — rzekł, — alem sługą, a zatem niewolnikiem.

VIII.

Nadchodziła jesień i mistrz Grzegorz cieszył się dłuższemi wieczorami, które wcześniej dozwalały zamknąć się przy lampce nad księgami. W zamku i w mieście dzień kończący się rychlej do spoczynku

napędzał, zabawy przerywał, a jemu dawał wolność usunięcia się do komory, w której obcował z duchami przeszłości.

Biskup Zbyszek, chociaż przyjazny i życzliwość okazujący towarzyszowi króla, nie odrywał go bynajmniej ani od jego nadzorczych obowiązków, ani od ślęczenia nad ulubionym Plautem i Wergilim. Posługiwał się czasami łaciną łatwą i piękną Grzegorza, ale go do tajemnic kancelarji nie przypuszczał.

Nigdy też uczony nasz nie okazał najmniejszej chęci mieszania się do tych ciężkich zadań, jakie na biskupa ramionach leżały. Stał na uboczu, hamując zbyt żywe porywy rycerskie młodego króla, posługując królowej, gdy rady jego i pomocy potrzebowała.

Właśnie może ta wstrzemięźliwość i umiarkowanie Grzegorza jednały mu królowę Sonkę. Nie było dnia, ażeby go nie powoływała do siebie, dając wskazówki co do postępowania z Władysławem. Mistrz słuchał ich, nie sprzeciwiając się, chociaż nieraz w duchu się im dziwić musiał.

Niespokojna o przyszłość matka zdawała się chcieć głównie dzieci natchnąć żądzą panowania, wielkości, podbojów, co, wedle Grzegorza, na umysły młode niebezpiecznie działać mogło.

Od powrotu z Włoch, niewtajemniczony w to, co się knuło na dworze i w otoczeniu Sonki, Grzegorz widział jakiś ruch i niepokój, krzątanie się gorączkowe, których celu pojąć nie mógł Szczególniej uderzały go nieustanne przesyłki, posły i listy, które z Krakowa do Wyszehradu, Budy i Pragi biegały.

Ponieważ biskup Zbyszek albo wcale o tem nie wiedział, albo nie chciał dać poznać po sobie, że był w to wtajemniczony, cała ta robota ukryta zdawała się dziełem królowej.

Grzegorza z Sanoka dotąd nie wzywano nigdy — ani do narad, ani do pomocy, a wysyłając go z pismami poufnemi na Węgry, królowa nie zwierzała mu się, ani co zawierały, ani nawet dla kogo były przeznaczone.

Tak samo jak z Wyszehradem i Budą, ciągle się

z bliższą znoszono Pragą. Tu czujnego oka biskupa starano się widocznie uniknąć, a Grzegorz łatwo zrozumiał przyczynę.

Biskup nie chciał mieć do czynienia z kacerzami, za jakich uważał nawet tych husytów, dla których sobór bazylejski skłaniał się do powolności.

Nawet korzyści państwowe, jakie Polska wyciągnąć mogła, stając po stronie nowatorów, nie zdołały biskupa pociągnąć i przejednać. Dla niego jedność i zgoda z Rzymem, posłuszeństwo Stolicy Apostolskiej, było pierwszym warunkiem, zapewniającym przyszłość Polski.

Ci, co z Czech przybywali do królowej, po pewnych znakach łatwo się kazali domyślać, iż do katolickiego obozu nie należeli.

Z rozmów z królową, jakkolwiek ostrożną, gdy o religję potrącały, Grzegorz zdawna wyrozumiał, iż Sonka do kacerstwa wielkiej nie przywiązywała wagi i gotowa była podać mu rękę, byle ono synom jej zapewniło wpływ lub władanie Czechami. Zdradzała się czasem z tą myślą, że tron czeski przystałby młodszemu Kazimierzowi.

Mistrz nie objawiał wcale swego zdania w tych sprawach; słuchał, badał, lecz stał zupełnie na stronie. Nie okazywał też takiej zażartości przeciwko husytom wogóle, jak biskup Zbyszek, który na wspomnienie ich burzył się, dowodząc, że z tego nasienia wyrośnie chwast, którego wieki wyplenić nie potrafią. Szczęśliwym był Grzegorz, iż mógł nie mieszać się wcale w tę walkę, nad którą ubolewał.

Ten pozorny chłód jego i obojętność, a wypróbowana wiara sprawiły, że królowa się nim chętnie posługiwała, gdzie było potrzeba, nie pytając, coś spełnić i zachować tajemnicę.

Jednego jesiennego wieczora, gdy młody król, znużony przejażdżką, poszedł już na spoczynek, a Grzegorz zabierał się do pracy i lampkę swą włoską zapalał, pacholik z komorników królowej przyszedł go wezwać do niej.

Godzina była trochę spóźniona, sprawa więc pilną być musiała.

Gdy mistrz zjawił się na progu komnaty królowej, znalazł ją siedzącą u stołu i śpiesznie kartę jakąś chowającą za suknię.

Słynna ta niegdyś piękność była dotąd jeszcze niewiastą, pełną majestatycznego wdzięku, oczy jej zachowały cały dawny blask, ale dziś była to nie owa urocza Sonka, która wszystkich, co się do niej zbliżali, czarowała, lecz matka tylko i królowa.

Stroiła się zawsze i lubiła, aby jej okazywano cześć, a wrażenie, jakie czyniła na ludziach, szmer podziwienia i zachwytu nie był dla niej obojętnym, ale teraz ta władza, jaką mogła mieć nad nimi, służyła za narzędzie tylko do wyższych celów.

Gorączka jakaś trawiła ją i nie dawała spoczynku. Lękała się widocznie, ażeby biskup i syn nie usunęli jej od udziału i wpływu w rządach, nie chciała z rąk puścić tego, co raz pochwyciła. Z biskupem trzeba było postępować ostrożnie, z synem zaś tak, aby się z pod władzy nie wyzwolił.

Ta nieustanna potrzeba baczności, obawa ciągła nie dawały jej spoczynku.

W wewnętrznym zarządzie krajami Korony i Litwy — królowa zaledwie mogła oględnie bardzo pilnować, aby nieprzyjaciele jej nie zdobyli stanowisk ważnych, zaledwie śmiała biskupowi podszepnąć, lub przez jego przyjaciół poddać, kogo sobie życzyła, a usunąć, kogo się obawiała.

Zato cała jej czynność i zabiegliwość zwracała się ku stosunkom zewnętrznym. Tu pragnęła okazać całą swą przebiegłość i umiejętność, tu na sercu jej leżało dokazać cudów i zdumieć wszystkich.

Ni mniej, ni więcej, — szło o zawładnięcie Węgrami i Czechami, chociaż żył jeszcze cesarz Zygmunt i córka jego, której mąż był naturalnym spadkobiercą praw Luksemburczyka.

W Pradze i na Węgrzech zawiązywano stosunki, jednano przyjaciół i cesarzowa Barbara, rozgniewana na

zięcia i córkę własną, z pomocą brata hr. Cilly i synowca, zdawała się nieobcą zuchwałym planom królowej Sonki.

Tajemnice tych knowań nie były jeszcze zdradzone. W tym roku właśnie ukoronowano Barbarę w Pradze, ale cesarz, mąż jej zapadał na zdrowiu. Szemrano, że mu długiego życia obiecywać nie było można. Cesarzowa już rachowała na to i potajemnie skupiała około siebie zwolenników.

Gdy Grzegorz z Sanoka wpadł, królowa zwróciła się żywo ku niemu.

— Potrzebuję was — rzekła. — Nie pytajcie mnie o cel podróży, spełnijcie tylko, co wam polecę. Nieprawdaż, iż na wierność waszą rachować mogę? Jest tu Czech, który was przeprowadzi. Pójdziecie z nim do Pragi, nie wiem zresztą, dokąd wypadnie. Oddacie listy hrabiemu Fryderykowi Cilly, bratu cesarzowej. Nie potrzeba, aby was tam widziano i znano, jako mojego posła.

— Miłościwa pani, — rzekł Grzegorz — spełnię wiernie, co mi polecicie, lecz nie dość jestem świadomym kraju i ludzi, trzebaby się upewnić o przewodniku, abym ja za jego niezręczność nie odpowiadał, jeżeli w tem tajemnica jest potrzebna.

— Tajemnica! — przerwała gorąco królowa. — Tajemnica jest wszystkiem! Nikt z otoczenia cesarskiego wiedzieć o was, ani się domyślać nie powinien.

— Miłościwa pani! — odparł mistrz — wydaje mi się to trudnem bardzo, gdyż cesarz, jak głoszą, chory jest i cesarzowa Barbara przy nim być musi.

Sonka wzruszyła ramionami; oczy jej błysnęły.

— Cilly i cesarzowa — rzekła — stanowią jedno, Zygmunt drugie. Sprawa ta wcale cesarza nie tyczy i on o niej wiedzieć nie ma. Nie wchodźcie w to więcej, dowiecie się, gdy przyjdzie czas.

Mistrz skłonił głowę.

— Zastosuję się do woli miłości waszej — rzekł pokornie.

— Czech Biedrzyk, którego wam daję — dodała

królowa — świadom jest tam wszystkiego; zręczny i przebiegły, możecie mu zaufać. On wam przystęp do Cillego ułatwi.

Przeszła się, dłoń przykładając do gorącego czoła, i poczęła dalej:

— Jeżeliby cesarz zachorował niebezpieczniej, albo się gorszego czego spodziewać można, naówczas pośpiesznie dacie mi znać.

To mówiąc, Sonka dobyła gotowy już, zapieczętowany list i wręczyła go Grzegorzowi. Ręka jej drżała.

— Nie omylcie się — rzekła. — Ten list jest do Fryderyka Cilly, a dwu ich tam znajdziecie. Jeżeli cesarzowa wezwie was do siebie, a pytać będzie o króla... Tu głos jej zadrżał.

— Powiecie, że jest ślicznym młodzieńcem, że żadnego z rycerskich przymiotów mu nie braknie.

Grzegorz słuchał i na myśl mu przyszło, iż z którą pokrewną cesarzowej chciano swatać młodego Władysława.

— Miłościwa pani, — odważył się wtrącić — łacno się domyśleć, iż widoki dla przyszłości króla naszego kochanego swatać go każą, lecz lepiejby stokroć było tę zawczesną myśl małżeństwa oddalić: młody jest!

Sonka wstrząsnęła ramionami niecierpliwie.

— Królowie — rzekła żywo — rządzić się muszą innemi względami i poświęcać dla nich. Gdzie idzie o zdobycie panowania, co znaczy jakieś małżeństwo, wczesne czy późne, ze starszą lub młodszą niewiastą?

Grzegorz, mimo całej powolności swej dla królowej, nie mógł stłumić żalu w sobie, jaki go ogarnął; kochał króla.

— Miłościwa pani — odparł — pocóż królowi starać się o rozleglejsze królestwo i większe troski? Nie masz on dosyć ziemi i ludzi?

— Królowi żadnemu nigdy dosyć być nie powinno! — zawołała nakazująco i prawie gniewnie królowa. Wzrok jej dopowiedział reszty.

Wysłuchawszy urywanych przestróg i zleceń królowej, Grzegorz nareszcie komnaty jej opuścił zadu-

many i smutny. Wiedział już i przeczuwał, że jego ulubiony młody pan, zaledwie się rozwijając do życia, poświęcony zostanie jakimś rachubom politycznym. Trapiło go to, chociaż nie przypuszczał całej poczwarności planu, który knowano.

Zamiast zasiąść przy lampce do księgi, musiał myśleć o tem, jak się do tajemniczej przygotować podróży. Spokojnej izby i życia żal mu było.

Rozglądał się jeszcze dokoła, gdy do drzwi zapukano i nieznajomy zupełnie człowiek wsunął się z pokłonem, ciekawie wlepiając oczy w mistrza.

Łatwo się było w nim domyśleć zapowiedzianego na dzień jutrzejszy Biedrzyka; zcicha przedstawił się gospodarzowi, jako przez królowę przysłany.

Do tej roli, jaką odgrywał, nie można było lepiej dobrać człowieka. Ów Biedrzyk podobnym był do tysiąca innych ludzi, twarzą, postawą i dobraną do nich odzieżą tak się wydawał pospolitym, nieznaczącym, tak trudno było w nim pochwycić jakieś znamię, zdradzające, kimby i czem się zajmował, że Grzegorz chwilę stał zdumiony, nie mogąc nawet oznaczyć, jak się miał do niego odezwać i z nim obchodzić.

Nie czekając zaproszenia, przybyły Czech naprzód zajął miejsce przy stole, na którym złożył czapkę i rękawice, potoczył dokoła oczyma i głosem obojętnym, bez dźwięku, cicho zaczął mówić do Grzegorza:

— Królowa oddała wam listy? Jesteśmy więc w gotowości; ja dziś jeszcze wyniosę się do gospody, a jutro dodnia z ludźmi moimi czekać na was będę za wrotami miasta. Przyszedłem tylko pokazać się wam, abyście mnie poznać mogli, a ja was.

Zadumał się trochę, wlepiając oczy w stół, przy którym siedział.

— Nieobojętna to rzecz — dodał, — jak się przysposobicie do podróży; dla ludzi, co na siebie oczów ściągnąć nie chcą, i suknia wiele znaczy.

— Duchowna przecie a skromna — odparł Grzegorz — nie zadziwi nikogo. Jest nas wszędzie klechów i *włoków* dosyć. Gdy podszarzaną włożę...

Napomknąwszy jeszcze o potrzebnych do podróży przyborach, o skrzętnem przechowaniu listów, aby na wszelki wypadek łatwo znalezionemi być nie mogły, Biedrzyk pokłonił się i zniknął.

Krótka z nim rozmowa i to, co słyszał od królowej, wprawiły Grzegorza w niemałą troskę, widział teraz, że poselstwo jego było niebezpiecznem i trudnem, a sama tajemnica, którą się otaczało, była mu wstrętliwą. Cieszył się tem tylko, że niewtajemniczony, sumieniem swem nie odpowiadał za czynności, których był posłusznem narzędziem.

Dodnia otwarto bramę wyjeżdżającemu z zamku, i oprócz stróżów, nikt go nie widział. O mroku przebył puste ulice i w miejscu oznaczonem zastał już Biedrzyka, w kilka koni oczekującego za miastem.

Orszak składał się z tak dobranych ludzi, że w nich pana od sług rozpoznać było trudno. Nie można też było oznaczyć: kupcy, mieszczanie, czy ubogie rycerstwo jechało, a suknie tak miały krój i barwę nieoznaczoną, zatartą wszelką cechę miejscową, że po nich narodowości się domyśleć nikt nie mógł.

Z drogami Biedrzyk i jego ludzie byli tak dobrze obeznani, że, nie trzymając się głównego gościńca, bocznemi szlakami jechali, nie rozpytując nikogo.

Zbliżając się do Pragi, Biedrzyk na noclegu się zatrzymał, wysłał przodem człowieka, który powrócił nad ranem. Grzegorz spał jeszcze, gdy Czech przyszedł go obudzić.

— Wstawajcie — rzekł. — Trochę będziemy musieli z drogi się zbić; mam wiadomość o cesarzowej. Jedzie ona, wezwana do chorego męża do Pragi; Zygmuntowi źle jest bardzo, ogień piekielny wdał mu się w ciało. Palce u nógi już mu odciąć musiano, ale to nie pomoże; kto raz dostał spalenizny tej, nie wyjdzie z niej i umierać musi.

Z mowy Biedrzyka widać było, że wcale Zygmunta nie żałował, iż przeciwnie, wiadomość o ogniu prawie go uradowała.

— Cesarzowa śpieszy do Pragi i dziś tam ma przy-

być. Nam się trzeba tak zwrócić, aby jej zabiec drogę i poselstwo sprawić, nim dojedzie do męża — mówił Biedrzyk. — Łatwiej też nam będzie niepostrzeżonym w jej orszaku, który liczny być musi, wśliznąć się do Pragi.

Natychmiast ruszyło się wszystko z noclegu, a Grzegorz też rad był, że mu łatwiej się składało spełnienie polecenia królowej.

Posępny dzień jesienny, smutny a mglisty z początku, dżdżysty potem, nie wstrzymał ich w pośpiesznej jeździe po manowcach, i przed wieczorem jeszcze napędzili cesarzowę Barbarę.

Jechała ona otoczona wielkim i okazałym dworem Węgrów i Czechów, a poczty brata jej, hrabiego Cilly i synowca, dodawały świetności orszakowi.

Sama prawie młodzież urodziwa, strojna, butna, wesoła, otaczała kolebkę i składała dwór, prawdziwie cesarskim odznaczający się przepychem. Wszyscy, aż do kapelanów i kanclerza cesarzowej Barbary, byli w wieku kwitnącym, bo niemłoda już pani wcale nie taiła swych upodobań i fantazyj, dwór dobierając z ulubieńców.

Pośpiech do chorego małżonka i cel podróży niewesoły wcale nie zdawały się wpływać na humor pańskiego dworu, który jechał ze śmiechami, okrzykami, harcując swobodnie i zbytnio nie hamowany karnością.

Biedrzyk, który zdawał się tu znać wszystkich i być poufałym, posunął się przodem, dostał aż do kolebki złocistej, w której cesarzowa dla deszczu się schroniła, i wśród gościńca, w gołem polu cały pochód się zatrzymał.

Po krótkiej chwili oczekiwania Czech przybiegł do Grzegorza z Sanoka, i kazał mu iść tak, jak stał, z listem do cesarzowej, która na niego już oczekiwała.

Widać było nawet zdala, jak rozsunęła skórzane zasłony kolebki i wyglądała oznajmionego jej posła.

Wszystkich oczy zwrócone były na niego. Grzegorz zsiadł z konia i przybliżył się do powozu. Tuż

przy nim stali we zbrojach, na koniach, rycersko, dumnie, po pańsku wyglądający dwaj hrabiowie Cilly, brat i synowiec Barbary. Nie miał czasu się im przypatrywać, ani ich pozdrawiać mistrz, bo wyciągnięta ręka już na list, który podać miał, oczekiwała.

Twarz cesarzowej, która powinna była obudzić poszanowanie, wejrzenie jej zuchwałe i wyzywające, odrazę jakąś i obawę sprawiły przystępującemu do kolebki Grzegorzowi. Lice stare, zwiędłe, z podbitemi oczyma, pofałdowane marszczkami, całe umalowane i ubielone, miało wyraz tak cyniczny i bezwstydny, tak gminny i nieszlachetny, że poseł zawahał się chwilę z uznaniem w niej tej pani, której dostojeństwo inaczej sobie wyobrażał.

Życie, charakter, obyczaj piętnowały się tak wyraziście na obliczu, jakgdyby nie chciała sobie zadawać pracy, aby się wydać inną. Głosem krzykliwym, z jakimś śmiechem niezdrowym, odezwała się kilka słów niezrozumiałych, mierząc oczyma męską postać Grzegorza.

Smutku i niepokoju z powodu niebezpiecznej choroby męża wcale na niej widać nie było, zdawała się tylko niecierpliwą i podrażnioną.

List przywieziony wziął z rozkazu jej starszy hrabia Cilly, a Grzegorzowi polecono jechać razem z orszakiem do Pragi.

Wszystko odbyło się pośpiesznie, wśród wrzawy i Grzegorz ledwie się opanował, gdy mu Biedrzyk konia podać rozkazał, a sam wiodąc go z sobą, miejsce w orszaku naznaczył. Było ono dosyć oddalone od kolebki cesarzowej i przedniejszego dworu, tak, że on i Czech, prawie w końcu długiego sznura, wyciągniętego na gościńcu, pośród pośledniej czeladzi jechać musieli, ale tu tak utonęli i wmieszali się w tłum, jakgdyby do niego należeli.

Szybko ze dworem cesarzowej posuwali się ku Pradze, której mury i wieże za szarą zasłoną deszczu wkrótce się ukazały. Biedrzyk podszepnął towarzyszo-

wi, iż, gdy raz do miasta i na gród się dostaną, on mu wpobliżu pomieszczenie opatrzy.

Zdawało się, iż w Pradze oczekiwano już na przybycie cesarzowej i spodziewano go się dnia tego, gdyż znaczny poczet rycerski wyjechał na jej spotkanie. Na czele jego, jak Biedrzyk objaśnił, wysłany był Węgier, ulubieniec cesarski, Michał Orszag.

Widok jego nie zdawał się wielkiej przyjemności sprawiać hrabiom Cilly, którzy go sztywno i dumnie przywitali.

Kazała go do siebie powołać cesarzowa, aby o zdrowie małżonka zapytać. Odpowiedź rozeszła się zaraz od ust do ust podawana. Mówiono, że Zygmunt był bardzo źle i że lekarze nie czynili najmniejszej nadziei życia. Wiadomość ta nie zrobiła żadnego wrażenia na cesarzowej, skrzywiła tylko usta i rzuciła ręką.

Orszag dodał, że Zygmunt wezwał do siebie córkę i zięcia. Usłyszawszy to, cesarzowa nagle zapuściła zasłonę kolebki i dano rozkaz do dalszej podróży.

Grzegorz, czując się już spokojniejszym, bo całe swe posłannictwo spełnił, mógł się swobodnie rozpatrywać po mieście i ludziach. Świeże wspomnienie Włoch pięknie zamurowaną Pragę mniej może wspaniałą w oczach jego czyniło, ale pobyt cesarski, który ją napełniał rycerstwem i mnóstwem pocztów możnych panów i magnatów, dodawał blasku miastu, które na przyjęcie Zygmunta przystroiło się odświętnie.

Wśród tych tłumów widać było niezwykły ruch, zajęcie wielkie, niepokój, krzątaninę, którą przybycie cesarzowej zwiększyło jeszcze.

W ulicach przejazd był trudny; konni, piesi, wozy, jedni przeciągali, drudzy szukali pomieszczenia. Z orszaku cesarzowej wylatywały ciągle pytania o cesarza, na które jednostajnie odpowiadano groźnemi wykrzykami i niemniej znaczącemi ruchy.

Grzegorz dumał nad niestałością rzeczy ludzkich, słuchając obijających się o jego uszy najsprzeczniejszych wykrzykników. Jedni ubolewali nad Zygmuntem, drudzy szydzili z niego i cesarzowej. Dostawało

się po drodze i przeciągającemu jej dworowi, witanemu grubjańskiem wołaniem.

Biedrzyk zajął się swym gościem i razem z nim pomieścił się pod samym grodem, w którym cesarz leżał chory. Zaledwie kąt znaleźć tu mogli i jakiekolwiek pożywienie.

Mieszczanie, dwór, co żyło, poruszone było wiadomościami, z zamku przynoszonemi. Piekielny ogień, jak go naówczas zwano, zgorzelizna żarła za żywota ciało Zygmunta, i od nóg posuwając się w górę, groziła mu śmiercią co godzina. Chwile były policzone.

Nie oglądano się tak dalece na Grzegorza, który, z Biedrzykiem tu przybywszy, uważanym był za wtajemniczonego w to, co się tu działo.

W drugiej izbie, obok której drzwi stały otworem, zbiegali się mieszczanie, dworzanie i rycerstwo z orszaku Barbary. Chcąc nie chcąc, Grzegorz słuchać musiał ich rozmów, z których nauczył się wiele, bo dotąd nie wiedział, w jakie wpadł gniazdo osie.

Zjawiło się naprzód kilku dworzan.

— Najedliśmy się strachu — wołał jeden — gdy nas na gościńcu Orszag otoczył. Hrabiowie i cesarzowa i wszyscyśmy już sądzili, że zwąchali, co się gotuje i wszystkich nas tam razem z Barbarą uwięzą. Ale nie! Postrach był próżny! Zygmunt ją tak przywitał, że chyba niczego się nie domyśla, a choć Albrecht, zięć i córka niebardzo są czuli, trudno po nich wymagać tego, gdy wiedzą, że oni tu panować nie będą.

— Cesarz, gdyby chciał — począł drugi, — nie ważyłby się tu w Pradze nic uczynić żonie, bo wie i on, i jego zausznik, Szlik, że znaczniejsza część miasta za niąby się ujęła i byłaby rzeź na ulicach, a może i na grodzie.

— Ja go tam ani bronię, ani miłuję — przerwał trzeci — ale co prawda, to prawda. Żyć nie umiał, umierać umie. Ciało mu już kawałkami odpada, a tak siedzi spokojny na twarzy i na umyśle, jakby na ucztę czekał... i stroić się każe, — aby ludzie nie widzieli, że napoły zgnił.

— Ja go też nie kochałem — odparł inny. — Zły człowiek był i król nam niedobry, przez którego krwi dużo poszło wylanej na wszelką rozpustę i zbytki, ale pychą umiał nadrabiać zawsze i o cesarskiej swej godności nie zapomniał nigdy.

Wpadł ktoś świeży. Posypały się pytania.

— Cóż cesarz? Co cesarzowa?

— Przyjmuje żonę tak, jakby nic przeciw niemu nie zawiniła. Chyba o niczem nie wie i nie domyśla się; ale uchowaj Boże na nią posądzenia i przeciw niej jakiego zamachu, nie damy krzywdy babie uczynić.

Nieustannie tak w sąsiedniej komorze wrzało i gotowało się.

Niektórzy opisywali, jak chory Zygmunt, w szatach paradnych, z wieńcem na głowie, sykający z bólu, usiłował prowadzić rozmowę z Barbarą, z córką, kanclerzem swym ulubionym, Szlikiem, i przygotowanem duchowieństwem.

Z rozmów widać było, że cały dwór i przyjaciele Barbary, obawiający się jakiegoś na nią zamachu, zupełnie zostali uspokojeni.

Biedrzyk też z wycieczki powrócił do Grzegorza, za powiadając mu, że, jak skoro cesarzowa wolną będzie, pozwie go dla rozpytania o polski dwór.

Zdawało się, że tej nocy na grodzie albo wcale nie spano, lub ci tylko poszli na spoczynek, którzy żadnemi wypadkami się niepokoić nie potrzebowali.

Mistrz nasz miał wprawdzie wskazaną sobie szeroką ławę w kącie, na której mógł się położyć, lecz wyciągnąwszy się na niej, oka zmrużyć nie mógł, bo świateł nie gaszono, a Biedrzyk i inni przez całą noc wchodzili i wychodzili, naradzali się, szeptali.

Pomimo zapewnień, że cesarzowa i jej brat niczego się obawiać nie potrzebują, w nocy młodszy hrabia Cilly przyszedł do sąsiedniej komnaty (poznał go przy świetle kaganka mistrz Grzegorz) i kazał swoim ludziom zalecić, aby w gotowości byli, gdyby nagle odjechać przyszło. Dokąd, o tem nie mówił.

Chociaż z tego wszystkiego, co słyszał, Grzegorz mógł już powziąć pewne wyobrażenie o położeniu, i wyjaśniało mu się ono, spełna jednak nie pojmował, jaki związek mógł zachodzić między sprawą cesarzowej Barbary a królowej Sonki i jej syna.

W następny dzień, był to 10 listopada, nie zmieniło się nic, tylko poruszenie wczoraj żywe i jawne, stało się mniej wyraźnem; starano się więcej pokryć niepokój i strzec z nim okazać. Ale ta sama bieganina, przygotowania, narady pokątne ciągle się odbywały. Biedrzyk wychodził niespokojny i powracał naprzemiany zafrasowany, lub uspokojony.

Grzegorz z Sanoka, czując się wpośród tych ludzi obcym i jakby zapomnianym, a nie mając spoczynku, bo się odosobnić nie mógł, wkońcu pod wieczór powracającemu Biedrzykowi wprost powiedział, że chce mieć odprawę i nie widzi potrzeby zatrzymywać się tu dłużej, tem bardziej, że zapowiadający się zgon cesarza wymaga, aby o nim w Krakowic zawczasu wiedziano.

Czech się po głowie poskrobał.

— Nie możecie tak odjechać z niczem — rzekł. — Cesarzowej teraz widzieć, ani z nią mówić niepodobna; musicie czekać spokojniejszej chwili. Zygmunt, niewiadomo dla jakiego dziwactwa, umierać tu nie chce i jutro rano poniosą go do Znaima, a my za nim z cesarzową razem iść wślad musimy. Miejcież cierpliwość i dotrwajcie do końca.

Biedrzyk dodał wreszcie, iż nie mógł odprawić go, nie zwracając uwagi, a unikać było potrzeba wszystkiego, co na cesarzową podejrzenia jakie ściągnąć mogło.

— Jakie podejrzenia? O co? — zapytał mistrz.

Czech spojrzał nań, podumał, ale nic nie odpowiedział.

Wieczorem, co żyło, czyniło przygotowania do podróży. Znowu więc o śnie i spoczynku mowy nie było.

Rozkaz wydany został, aby o samym świcie wszystko było w gotowości.

Dla cesarza przygotowano nosze, na których w krześle, purpurą okrytem, nieść go mieli tragarze, poodziewani w suknie paradne, szyte w herby cesarskie.

Cesarzowa w kolebce zaraz za nim jechać miała, w towarzystwie brata i synowca. Do jej dworu miał się przyłączyć Biedrzyk z Grzegorzem z Sanoka.

IX.

Dzień się zaledwie robić zaczynał, gdy tłumy niezliczone zalegały już ulice Pragi, któremi cesarz miał ciągnąć.

Na zamku poczty zbrojne, wozy, czeladź, kolebki, komornicy, urzędnicy już tylko oczekiwali na to, aby Zygmunta wyniesiono.

Cesarzowa Barbara siedziała w otwartej kolebce, po obu swych bokach mając brata i synowca w pysznych zbrojach i płaszczach, gronostajami podbitych.

Niemniej wspaniały od cesarskiego dwór skupiał się poza powozem pani.

Nosze, na których stanąć miało siedzenie cesarskie, oczekiwały ustawione na ziemi. Sześciu ludzi, mających się zmieniać co chwila, ubranych w kapy, szyte herbabi, w tokach z piórami na głowie, czekało na Zygmunta. Tuż halabardnicy z pozłacanemi w rękach halabardami, ubranemi w sznury purpurowe, gotowi byli otoczyć ten tron przenośny, obok którego konno jechać mieli kanclerz Szlik, Brunno della Scala, Michał Orszag i Matik, pan slavoński, wszyscy Zygmuntowi ulubieńcy. Tuż także towarzyszyć miał cesarzowi Albrecht, a za cesarzową jechała córka jej, Elżka.

Pomiędzy nią a matką widocznem było więcej, niż oziębienie. Nie mówiły prawie z sobą, a cesarzowa do kolebki wzięła jedną z pań swoich, aby nie zaprosić do niej córki. Wszystkich biło to w oczy.

Obaj hrabiowie Cilly, na koniach już siedzący, twarze mieli zasępione, oglądali się i jechali jakby zmuszeni.

Cesarzowa wychylała się z kolebki, otaczającym mnogim, znanym sobie z rycerstwa i mieszczan, dając znaki głową i rękami. Uśmiechano się też do niej.

Dwa dwory, choć połączone w całość jedną, widać było, że się rozłamywały, jakby na dwa obozy. Towarzyszący Barbarze zukosa spoglądali na cesarskich, Zygmuntowi na cillyjskich.

Po długiem oczekiwaniu, gdy dzień się już robił, ze sklepionej bramy, na ramionach czterech pachołków, którzy w górę podniesione krzesło złocone dźwigali, ukazał się Zygmunt-cesarz. Siedział majestatycznie, tak, jak wizerunek jego na wielkiej państwa pieczęci.

Odziany w szaty uroczyste, w sukni ze złotogłowiu, w płaszczu szkarłatnym krojem dalmatyki, na piersiach spiętym wielką klamrą, kamieniami sadzoną, z łańcuchem na szyi. Blada jego, zżółkła, wychudzona twarz, z długą brodą, rozwianą na piersi, o czole szerokiem i oczach zapadłych, ale jeszcze patrzących z dumą i jakąś ironją życia a pogardą śmierci, pokryta była lekką koroną złotą, około której obwijał się świeży, zielony wieniec laurowy.

Blade, kościste ręce, okryte szytemi złotem rękawicami, spoczywały na poręczy krzesła. Nogi przysłaniały opony, futrem podbite, z karmazynowego aksamitu.

Tak Zygmunt ostatni raz chciał się pokazać swoim prażanom, w całym majestacie, którego śmierć nadchodząca pozbawić go nie mogła. Jechał zwycięzcą, w laurze, i w istocie zdawał się urągać nawet wyrokowi Bożemu, który go powolną karał śmiercią.

Ludzie w początku patrzyli osłupieni na to zjawisko, jakby z grobu wyszłe i do grobu idące, chwila litości i podziwu oniemiła tłum. Wtem uderzono we dzwony.

Tron cesarski stał na noszach, tragarze wzięli go na ramiona i podnieśli wysoko.

Zygmunt nie drgnął, żaden fałd jego twarzy nie zdradził bólu, którego doznawał; patrzał z wysokości na lud, na pokłony, na blask, który go otaczał, oczy zwrócił ku kolebce żony, potem na Szlika i dano znak do pochodu.

Ruszyło się wszystko, zadrgały tłumy. On i lud ten wiedział, że jechał do grobu, ale na twarzy pańskiej nie widać było ani żalu, ani smutku, tylko ironiczną powagę i dumę.

Około zamku zebrane gromady ciekawych zachowały się spokojnie, nie dały żadnej oznaki ani boleści, ani urągowiska, ale w ulicach Pragi zbita ciżba na wstępie powitała go okrzykami.

Ucho najmniej czułe mogło w nich wyraźnie rozeznać wołanie:

— Wracaj uzdrowiony! Sława tobie!

I krzyki:

— Jedź! Jedź! Bodajbyś był nigdy tu nie przybywał i nigdy nie wracał!... Jedź na stracenie!

W niektórych miejscach przekleństwa i urągowiska stały się tak dobitnemi, że halabardnicy zmuszeni byli ostrza przeciw gminu nastawić i grozić rozpędzeniem.

Nic to nie pomogło, bo gawiedź rozproszona wracała tłumnie z nowym wrzaskiem, hałaśliwszym jeszcze.

Przez cały ten czas, gdy placami i ulicami ciągniono, aż do wrót miejskich, krzyki nie ustawały.

Zygmunt, którego uszów krzyki dochodzić musiały, nie odwrócił głowy, nie dał najmniejszego znaku zniechęcenia i gniewu. Tylko kanclerz Szlik podnosił rękę, ściśniętą w żelaznej rękawicy, a oczy jego i Orszaga ciskały pioruny.

W orszaku cesarzowej, którą witano mnogiemi żywie i sława!! — hrabiowie Cilly bledli, twarze ich okrywały się wyrazem trwogi, a sama pani z poza zasłon ręką dawała znaki dziękczynne

Wszyscy odetchnęli dopiero, gdy za wroty miejskiemi krzyki ustały i tłum się przerzedził, a potem zniknął.

Orszak jechał dalej w milczeniu, cesarz tylko przy-

wołał swojego Szlika i coś mu szepnął, na co on głową skinął posłusznie.

Świadek tej sceny, która na kartach dziejów zapisaną być miała, Grzegorz z Sanoka, jechał wśród dworzan cesarzowej niepostrzeżony, razem z Biedrzykiem, rozmyślając i dziwując się. Los go niósł dalej, pomimo woli, a wszystko zwiastowało, że chwila rozwiązania zagadek, które się cisnęły jego oczom i umysłowi postrzegawczemu, zbliżać się musiała.

Niepodobna już było orszaku cesarzowej opuścić, lecz że na gościńcu dalszym szeregi ściśnięte musiały się nieco rozluźnić, mistrz Grzegorz wyzwolił się nieco z niemiłego sąsiedztwa komorników nieznajomych i dziwnie mu się przyglądających, pozostając na boku z Biedrzykiem.

Czech był podrażniony tak, że ciągle milczący dosyć i niewywnętrzający się, począł się z natrętnemi myślami i niepokojem zdradzać.

— Zaprawdę — odezwał się do towarzysza pocichu — teraz i ja niemal trzymam z hrabią Fryderykiem, że im i cesarzowi grozi niebezpieczeństwo. Niedarmo cesarz chciał opuścić Pragę, niedarmo! Czuł, że w niej nie było mu bezpiecznie. Słyszeliście te krzyki! Głupi lud... Chcąc okazać miłość swą dla pani naszej, wyrządził jej krzywdę, kto wie, jakie mogącą mieć skutki! Cesarz nie daruje swej obrazy.

Wołali jej żywie i sława, a jemu: pohybel i przekleństwo.

Patrzałem zboku na oblicze jego... było jak maska nieporuszone, kamienne, ale oczy piorunowały.

Biada nam! biada nam!

Grzegorz z Sanoka bojaźliwym nie był, lecz słowa te zatrwożyły go o skutek poselstwa. Wiedział, że bezwątpienia pomyślny skutek jego zależał od powodzenia cesarzowej i jej obozu.

— Cóż cesarzowej zagrażać może? — zapytał Biedrzyka.

Czech podniósł oczy w górę.

— Nie wiem, odgadnąć trudno, lecz lękam się wiel-

ce. W Pradze miała obrońców, tu ich już mieć nie będzie. Spójrzcie na orszak Zygmunta i kupkę naszą!

Podróż w jakiemś złowrogiem milczeniu ciągnęła się dalej do Znaima.

Tu nadbiegł Biedrzyk do chaty, w której z Grzegorzem stanęli, oznajmując mu naprzód, że cesarz dalej już żyw i niesiony być nie może; lekarze oświadczyli, że godzina śmierci się zbliżała...

Zaledwie miał czas szepnąć o tem Grzegorzowi, gdy wpadł zbladły, z załamanemi rękami komornik cesarzowej.

Z twarzy jego Biedrzyk wnosił, że Zygmunt chyba skonać musiał, lecz chłopak krzyknął:

— Cesarzowę naszą pod strażą zaprowadzono do zamkowej wieży, do więzienia!

Popłoch się stał niezmierny, Biedrzyk, jak szalony, wybiegł.

Grzegorzowi, gdyby się ta wiadomość dziwna sprawdziła, nie pozostawało, jak myśleć o własnem bezpieczeństwie i uchodzić.

Los cesarzowej mogli podzielać jej dworscy i wszyscy, co byli w jej orszaku, zdawało się więc Grzegorzowi najbezpieczniejszem trochę się od niego usunąć i w tłumie, który napełniał miasteczko, szukać mniej podejrzanego schronienia.

Nikt nie zważał na niego. Biedrzyk nie powracał, mógł więc konia swego, wyprowadziwszy i ciągnąc go za sobą, ujść ku rynkowi i stanąć na boku, jako nienależący do żadnego dworu podróżny.

Uczynił też to natychmiast tak szczęśliwie, że niczyich na siebie oczu nie ściągnął.

W rynku nie podpadało już wątpliwości, że coś niespodziewanego i niepokojącego zajść musiało.

Część pocztu cesarskiego siadała na koń i w pogoń się puszczała.

Ludzie, stojący pod domami, opowiadali sobie, że wprzód, nim cesarzowę uwięziono, obaj hrabiowie Cilly, przeczuwający niebezpieczeństwo, jakie im groziło, w czasie podróży zamienili zbroje i ubiory ze swe-

mi dworzanami, a sami wdziawszy ladajakie szaty, umknęli. Za nimi właśnie pogoń wysłaną była.

Słuchał jeszcze tego opowiadania, gdy mężczyzna, w sukience księżej, niemłody już, o kiju idący, zobaczywszy jego sutannę i poznawszy w nim duchownego, zbliżył się doń i pozdrowił po łacinie.

Na pierwszy rzut oka poznał w nim Grzegorz katolika, który już w drodze nauczył się rozróżniać husyckich od prawych księży. Rad był wielce spotkaniu.

— A wyście skąd? — zapytał stary, zawiędły księżyna.

Grzegorz musiał skłamać, ratując się, a przynajmniej nie całą mu prawdę wyjawić.

— Podróżnym jestem — rzekł — i dziwny traf mnie tu rzucił w taką godzinę zamieszania jakiegoś, którego nie rozumiem, bom obcy.

— Zaprawdę! zaprawdę! — westchnął ksiądz. — Nawet my, cośmy tu w Czechach od lat wielu do krwawych przygód i osobliwych wypadków nawykli, zdumiewamy się temu, co się tu u nas dziś stało. Cesarz żonę własną więzić każe! Brat i synowiec jej zbiegają!

Poruszył ramionami.

— Lecz jakaż przyczyna tej srogości cesarza względem własnej małżonki? — zapytał Grzegorz.

— Dziwy prawią! — począł ksiądz — właśnie od zamku idę. Tam głośno dowodzą, że Barbara zdradę knuła, rachując na śmierć męża, przeciwko własnej córce. Miała jakoby zmowę z królową polską, za której syna wydać się postanowiła i z nim nad Węgrami i Czechami panować!

Grzegorz, usłyszawszy to, nie mógł powstrzymać okrzyku oburzenia.

— Ojcze mój! — zawołał — potwarz to być musi. Cesarzowa babkąby młodego króla polskiego być mogła! Liczy on lat zaledwie czternaście, gdy ona bodaj przeszło pół wieku! Potworne małżeństwo takie!

Ksiądz nie dał mu dokończyć.

— I takie potworne małżeństwa składają się dla

żądzy panowania — odparł. — Ale Bóg sam nie dopuścił, aby się to dokonało.

Grzegorz stał struchlały, zmieszany, upokorzony, pytając się w duszy, czy mogło to być, aby on za narzędzie do takiego knowania miał być użytym! Nie chciał wierzyć słowom księdza i wzdrygał się.

— Ojcze mój — rzekł po namyśle. — Nieprzyjaciele cesarzowej mogli na nią rzucić potwarz, wierzyć temu trudno. Matka, spiskująca przeciwko własnej córce, kobieta w jej wieku, chcąca się wydać za wyrostka, który dzieckiem jest jeszcze prawie!

Ksiądz popatrzył na mówiącego ze smutnym na twarzy wyrazem.

— Ha! — rzekł cicho — co się na świecie nie dzieje dla zaspokojenia namiętności ludzi zepsutych! Są niewiasty święte i anielskie, ale gdy złe są, przechodzą w złości mężczyznę, w zuchwalstwie i bezwstydzie szatana.

Grzegorz zamilkł.

Nawykły do szanowania królowej swej, której służył, nie chciał jeszcze przypuścić, aby ona do tak poczwarnych planów miała rękę podawać i własnego syna im poświęcić. Lecz poselstwo jego potajemne i to, co się cesarzowej Barbarze przygodziło, zmuszało w smutną tę rzeczywistość uwierzyć.

Ksiądz miejscowy, który miał tu znajomych wielu, dopytywał na wszystkie strony i zewsząd mu toż samo powtarzano, że istotnie cesarzowę Barbarę z rozkazu męża w wieży zamknięto, kilka sług zaledwie zostawując przy niej. Ze znaczniejszych osób, mianowicie Czechów, którzy jej towarzyszyli, kilku też czy kilkunastu uwięzionych być miało.

Grzegorz domyślał się, że ten los mógł spotkać i czynnego Biedrzyka. Nie było więc na co oczekiwać i ratować się musiał sam, myśląc o sobie.

Ksiądz, z którym rozmawiał, widząc na nim suknię duchowną, a z zawiązanej rozmowy przekonawszy się, iż katolikiem był, jako podróżnego, zaprosił go do siebie, ofiarując mu gospodę.

Grzegorz, nie przyznając się, iż do Polski chce powracać, musiał powiedzieć, że na Szląsko jedzie.

Poszli tedy razem do bardzo ubożuchnego schronienia, które ostatni tu duchowny katolicki zajmował.

Skarżył się on na srogość i prześladowania husytów i na opłakany stan kraju, ale znosił swe męczeństwo cierpliwie, spodziewając się, że Bóg nareszcie ulituje się nad nieszczęśliwymi Czechami.

Przyjęcie było tak skromne, jak gospodarz i jego chata.

Grzegorz odetchnął, sądząc, że tu będzie mógł bezpiecznie pozostać. Uchodzić nocą, ani nawet nazajutrz rano nie zdawało się dobrem, bo miano baczność na tych, co cesarzowej towarzyszyli, a ktoś z orszaku Zygmunta poznać go mógł i wskazać.

Pomimo spóźnionej pory, rozmowa przy kaganku i piwie ciągnęła się jeszcze, gdy zastukano do drzwi i dworzanin cesarski, którego łatwo można było poznać po stroju, wszedł do izby.

— Pan nasz, Zygmunt dogorywa — zawołał — nocy tej pewnie nie przeżyje. Co jest duchownych, zbiera się około konającego dla czytania modlitw i oddania mu ostatniej posługi... Idźcie i wy... Wdziejcie szaty obrzędowe. Cesarz chce, aby jak najwięcej osób przytomnych było ostatnim jego godzinom.

Tu przybyły zwrócił się do siedzącego Grzegorza z Sanoka.

— Z sukni widzę, że i wy jesteście duchownym.

— Tak, alem obcy tu, podróżny.

— Katolik wśród katolików nigdzie obcym nie jest; macie obowiązek i wy oddać ostatnią posługę chrześcijańskiemu cesarzowi i królowi rzymskiemu.

— Sukni nie mam — odparł Grzegorz.

— Te się u miejscowego księdza znajdą — nalegał dworzanin. — Mam polecenie, aby wszystkich księży na zamek prowadzić. Pójdziecie z nami.

Zaskoczony w ten sposób Grzegorz, chociaż miał wielką obawę, aby go nie poznano, opierać się nie śmiał, nie chcąc podać w podejrzenie.

Ksiądz też dawał mu znaki i upewniał, iż komżę lub kapę znajdzie dla niego. Dworzanin naglił.

Musieli się co najprędzej przyodziać i iść z nim do zamku.

Noc tymczasem nadeszła była. Na szarem tle jesiennego nieba, czarny zamek z oknami gorejącemi światłem, zdala już, jakby katafalk olbrzymi wyglądał.

Bramy, podwórza, sienie wszystkie pełne były ludu, rycerstwa, dworzan, czeladzi, zbrojnych straży, wozów i koni.

Dworzanin cesarski, który wprowadził księdza i Grzegorza z Sanoka, zrobił im przejście i wwiódł naprzód do wielkiej sieni, której drzwi, naoścież otwarte, prowadziły do przestronnej izby sklepionej.

Widok majestatyczny a dziwny uderzył ich oczy. Cesarz Zygmunt, zaledwie przybywszy tu, a czując się słabszym coraz, zawołał lekarzy, surowo im nakazując powiedzieć, jak długo mógł żyć.

Spowiednik i oni nie ukrywali przed nim, że nocy przeżyć nie miał.

Naówczas rozkazał cesarz odziać się tak, jak miał być do grobu odzianym.

Włożono mu cesarsko-kapłańskie szaty, koronę na głowę, dano berło w ręce i jabłko, okryto płaszczem i posadzono na tronie w sali. Chciał konać wobec ludzi, dla okazania męstwa. Na koronie kazał pomieścić zielony wieniec.

Ale jabłko i berło już dla rąk jego osłabłych były za ciężkie, ustawiono je tak, aby ich trzymać nie potrzebował.

Głowa uginała się pod ciężarem korony, ale tej zdjąć sobie nie pozwolił.

Przy świetle pochodni, które trzymali stojący komornicy, widać było już trupią bladością okrywającą się twarz, wśród której oczy jeszcze niekiedy z pod ciężko podnoszących się powiek błyskały.

Żył jeszcze. Lekkie drganie głowy, nieznaczne poruszenie szat i okryć, które nogi osłaniały, zdradzały razem cierpienie i życie. Jakgdyby w ostatniej go-

dzinie tej obrazy życia całego przechodziły przed nim i potrącały go wspomnieniami, widać było poruszającą się brodę, zaciskające usta, marszczące czoło.

Kanclerz Szlik, zięć Albrecht stali tuż przy nim, córka Elżka klęczała u nóg, płacząc, w rękach załamanych trzymając różaniec.

Duchowieństwo, ustawione blisko, cicho odmawiało modlitwy, spoglądając na konającego Zygmunta, niewzruszonego, dumnego, spokojnie walczącego ze śmiercią.

W sali panowała ugniatająca cisza, której powietrzem ciężko było oddychać. Woń woskowych pochodni, lekarstw, któremi Zygmunta pojono, kadzideł i wyziewy tylu zebranych ludzi czyniły je nieznośnem.

Z rozkazu cesarza wpuszczono na salę zkolei cisnących się ciekawych ludzi; chciał być widzianym.

— Niech wiedzą, jak cesarz umiera! — szepnął Szlikowi.

Obumierający jego wzrok padał niekiedy na córkę, na blisko stojącego zięcia, któremu państwo po sobie przekazywał, na wiernego Szlika, a potem powieki się zamykały, aby oczy wewnątrz duszy patrzały.

Lekarz, stojący obok, dostrzegł naostatku, że walka ostatnia się rozpoczynała. Oddech stawał się coraz pośpieszniejszym i trudniejszym, pierś podnosiła się gwałtowniej, ręce konwulsyjnie drgały, usta się otwarły. Zdawało się, że śmierć zwycięży i wyrwie okrzyk boleści.

Wtem Zygmunt zacisnął usta, głowa wyprostowana dotąd, poczęła się chylić na piersi i z czoła spadła korona, potoczyła się na nogi. Cesarz nie żył!

Duchowni uklękli, odmawiając modlitwę pierwszą za duszę uleciałą.

Elżka, klęcząc u stóp, krzyknęła i wyniesiono ją napół omdlałą.

Szlik i Orszag, bojąc się, aby martwe ciało nie zsunęło się z tronu, przytrzymali je z obu stron, pókiby nie ostygło, a Albrecht podniesioną koronę włożył na skronie.

Ale na niej laurowego wieńca nie było i potomność przywrócić go nie miała.

Śmierć cesarza dozwoliła Grzegorzowi z Sanoka trochę wolniej odetchnąć. Wszyscy nadto nią byli zajęci, aby się zaprzątać sprawą cesarzowej. Zatrzymano ją wprawdzie w więzieniu, bo taka była wola umierającego, ale nikogo nie prześladowano i nie ścigano hr. Cillich.

Albrecht nadto miał w tej chwili do czynienia na Węgrzech i Czechach, aby się znęcać nad kimkolwiek i nowych sobie nieprzyjaciół przyczyniać.

Nazajutrz postanowił mistrz nasz puścić się w drogę do Krakowa. Biedrzyka ani mógł szukać, ani on mu się nastręczył. Sam więc jeden, rozpytawszy o gościńce, ufając sukni duchownej, która go mogła obronić od napaści, jeżeliby husytów i włóczęgów nie spotkał, wyjechał Grzegorz przejęty tem, co widział i co wiózł królowej Sonce.

Poselstwo jego poszło tu najnieszczęśliwiej i w Krakowie nie spodziewał się dobrego przyjęcia, ale winy jego w tem nie było.

Małemi drogami ostrożnie się przebierając od miasteczka, odpoczywając po katolickich probostwach, znużony i wycieńczony tą podróżą, zbliżył się wreszcie Grzegorz do Krakowa.

Im więcej rozmyślał nad tem, co go spotkało, co słyszał i czego mógł się dorozumiewać, tem smutniejszy powracał do królowej. Odkrył w niej to, czego nie przewidywał: niezmierną żądzę zdobywania dla dzieci ziem i państw, żądzę, której ofiarą oni paść mogli. Żal mu było Władysława, który miał rycerskie popędy i wyobraźnię gorącą.

Dusza jego przeczuwała zawody i koniec smutny. Lecz mógłże on co przeciw wszystkim i przeciwko samemu charakterowi młodzieńca, którego od dziecka marzeniami bohaterstwa karmiono?

Pod Krakowem już, spotkawszy znajomych dworzan pana z Tęczyna, przekonał się z rozmowy z nimi, że wiadomość o śmierci cesarza i uwięzieniu Barbary

jeszcze tu nie doszła. On więc pierwszy miał być zwiastunem tych wypadków...

Na zamku przywitano go zdziwieniem, tak on i koń jawnie świadczyli, że tajemnicza podróż poszła niepomyślnie. Już powrót bez sług i towarzysza złym był znakiem, a twarz Grzegorza z Sanoka nosiła na sobie ślady przetrwanych niewczasów i troski.

Zaledwie przebrawszy się, mistrz kazał o sobie oznajmić królowej, która go natychmiast powołała do siebie. Niecierpliwa wyszła naprzeciw niego aż do progu, mierząc ciekawemi oczyma.

Zmęczona twarz i smętne wejrzenie posła mówiły za niego.

— Co mi przynosisz? — zawołała natarczywie — w dwu słowach mów! Gdzie Biedrzyk? Co się stało?

— Miłościwa pani — rzekł ponuro Grzegorz — nie mam szczęścia i złym jestem posłem, ale nie własną winą, zrządzeniem Opatrzności. — Zastałem cesarza już prawie konającym. Z Pragi kazał się nieść do Znaima. Cesarzowa Barbara była przy nim. Przed samym zgonem z jego woli uwięziono ją.

Sonka wydała krzyk rozpaczliwy i ręce załamała.

— Cesarz umarł! — zawołała.

— Przekazawszy państwo Albrechtowi i córce — dodał Grzegorz.

Królowa stała chwilę osłupiona, nie mogąc się jeszcze pogodzić z tem, co słyszała, nie wierząc uszom własnym.

— Cesarzowa! Cesarzowa uwięziona — przerwała i nikt nie stanął w jej obronie! Gdzie byli Czechy? Gdzie się podzieli brat jej i synowiec? Czy i oni uwięzieni?

— Uszli oba — rzekł Grzegorz spokojnie i poważnie. — Zdaje się, że cesarz dlatego z Pragi wyjechał już niemal konający, aby uniknąć Czechów, sprzyjających cesarzowej Barbarze.

— Wszystko! Wszystko przepadło! — zawołała, patrząc w ziemię z wyrazem bólu i rozpaczy, króło-

wa. — Wszystko przepadło, co memu pierworodnemu wielką zapewniało przyszłość!

Grzegorz wejrzeniem, pełnem wyrzutów, odpowiedział tylko, a po chwili milczenia odezwał się odważnie:

— Miłościwa pani, Bogu dziękować należy, iż pana naszego obronił od sromotnego małżeństwa i losu, który go czekał z tą niewiastą! Stało się wedle miłosierdzia Opatrzności!

Złożył ręce, nie kończąc... Królowa spojrzała gniewnie.

— Tak, stało się — odparła, odwracając się od niego — lecz... bądź co bądź, jedną z tych koron posiędzie! Przepowiednie się spełnią...

I zimna napozór, ale wzburzona i gniewna, kazała sobie ze szczegółami opowiadać wszystko, co Grzegorza spotkało w podróży.

Twarz jej mieniła się, usta ściągały, ręce szarpały suknię, gniew zdawał się co chwila wybuchać i stłumiony krył się we wnętrzu.

Z ironicznym uśmiechem, gdy mistrz Grzegorz skończył opowiadanie, odprawiła go skinieniem głowy dumnem.

— Na nowo więc rozpoczynać potrzeba! — zamruczała. — Władysław młody, mamy czas!

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom XXXIV

J. I. KRASZEWSKI

STRZEMIEŃCZYK

CZASY WŁADYSŁAWA WARNEŃCZYKA

CZĘŚĆ II

1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE,
CZERNIAKOWSKA 225

I.

Wróciwszy z nieszczęśliwej swej wyprawy z goryczą i niesmakiem w duszy, Grzegorz z Sanoka, potrzebując spoczynku, na czas jakiś zamknął się w swej komorze na zamku, jak najmniej pokazując się na dworze.

Unikał królowej, wiedząc, że dla niej był przykrem przypomnieniem nadaremnych zabiegów, do których teraz się nawet przyznać nie chciała.

Wiedziała dobrze, iż Grzegorz jej nie zdradzi, ale pomimo ufności w nim, spoglądała na niego z jakąś niechęcią, jakgdyby on zawinił w tej sprawie. Świadek ten długo jej zawadzał tak, że spostrzegłszy go, odwracała oczy i niechętnie go widziała. Wstydziła się teraz, ochłonąwszy, tego potwornego związku, któremu syna gotową była poświęcić.

Grzegorz, czując, iż Sonka nie odbolała jeszcze doznanego zawodu, nie narzucał się wcale, przychodził rzadko, stawał zdaleka. Ale król, który go lubił i nawykł do niego, chociaż z nim w wielu się rzeczach nie zgadzał, dopominał się o mistrza swego i powoływał go do siebie.

Z rozmów z nim przekonał się Grzegorz, iż o zmowie z cesarzową matką nie zawiadomiła młodego Władysława, oczekując, aby ona przyjść mogła do skutku. To tylko jedno królowa wpajała w syna, iż królewskie sojusze i małżeństwa nic innego nie mogą i nie powinny mieć na względzie nad wzmożenie sił państwa i pozyskanie potęgi.

Przekonanie to młodego pana, nie śmiejąc mu się wprost sprzeciwiać, mistrz starał się zachwiać dowodami, że zbytnia pożądliwość władzy i podbojów często państwa i panujących o straty i ofiary przyprawia. Lecz trudno było walczyć z tem, co niemal z mlekiem wyssał Władysław, marzący, jak matka, o królestwach, nad któremi miał panować

Niełaska, w jaką chwilowo popadł Grzegorz z Sanoka, nie trwała długo; skromne zachowanie się jego, zupełny brak ambicji, życie ustronne, stałość przekonań, dająca miarę człowieka, przywróciły mu wprędce życzliwość Sonki. Nie mówiła z nim tylko o poselstwie ostatniem, najmniejszem słowem nie wspomniała o niem nigdy.

Grzegorz z Sanoka, chociaż niewtajemniczony jeszcze, z często potajemnie przybywających tu Czechów, z posyłek do Pragi, z wielkiego ruchu, jaki królowę Sonkę otaczał, mógł łatwo wnieść, że o los swoich synów zbytecznie zabiegliwa, znowu coś musiała przedsiębrać.

Jednego dnia wreszcie, gdy, wedle zwyczaju, przyszedł donieść matce, czem się syn jej zajmował, odezwała się do niego z twarzą rozpromienioną:

— Kaźko ma już rok trzynasty! Nieprawdaż? Wychodzi z dzieciństwa, o nimby też pomyśleć trzeba, aby się przepowiednia sprawdziła. Koronę mu zdobyć musimy.

A gdy mistrz słuchał w milczeniu, nie odpowiadając, dodała:

— Jest to jeszcze tajemnicą, wy jej nie zdradzicie, a będziecie się cieszyć ze mną. Wszystko to dziełem jest mojem. Korona dla Kaźka się gotuje...

Z niedowierzaniem spojrzał Grzegorz.

— Tak, tak — potwierdziła królowa wesoło. — Kazimierz będzie królem czeskim, wszystko już przygotowane. Prażanie i moi przyjaciele w Czechach wybiorą go. Albrecht nie może panować razem w dwu królestwach; Czesi go nie lubią. Wielkorządcami ich zbywa, — oni chcą mieć własnego pana.

— Tak — dodała raz jeszcze — wybór Kazimierza przygotowany, pewna go jestem...

— Miłościwa pani — odezwał się Grzegorz — wierzę w to, że Czesi wybrać mogą naszego księcia, ale czy go utrzymać potrafią? Albrecht nie da sobie wyrwać korony czeskiej, nie stając w jej obronie. Zatem wojna.

— Tak, przewidywać ją można — dodała królowa — ale znajdziemy siłę do prowadzenia jej. Potrzeba tylko jednego oddziału polskiego, a Czesi się do niego przyłączą. Niechętnych Albrechtowi jest więcej, niż przyjaznych mu. Obmyśiiłam wszystko, znajdziemy pieniądze i ludzi.

Po chwili namysłu Grzegorz ośmielił się zapytać.

— Czy nasz pasterz jest o tem zawiadomiony i...

Królowa nie dała mu dokończyć.

— Biskup Zbyszek? — zmarszczyła się. — Nie, może się domyśla, lecz nie wie o niczem jeszcze; gdy rzecz zostanie dokonaną, dowie się i zgodzić na to musi.

Na chwilę zachmurzona twarz królowej rozjaśniła się wprędce. Była cała jeszcze przejęta świeżo odebranemi wiadomościami.

— Spodziewam się, — dodała, zwracając do Grzegorza — iż gdybym pomocy waszej w sprawie tej potrzebowała...

Skłonił się pozwany, oświadczając gotowość.

Zbigniew biskup, zajęty uśmierzaniem niepokojów, jakie mu husyci polscy wznawiali ciągle, głównie na niego czyhając, zasadzając się i usiłując go pozbyć, jako wroga swojego — nie miał czasu wnikać zbliska w czynności królowej Sonki.

Obóz husycki niewielki, ale ruchliwy, dążył do tego, aby się wyzwolić w Polsce, jak w Czechach, z pod zwierzchnictwa Rzymu i przewagi duchowieństwa. Oleśnicki widział dobrze następstwa, jakie to za sobą ciągnęło.

Najpierwszem była anarchja, która w kraju, otoczonym nieprzyjaciółmi, zgubę niosła. Wszyscy nieprzyjaciele Polski, a naprzód krzyżacy, cieszyliby się

mocno, gdyby silny rząd, który nawet czasu małoletności króla czuć się dawał, walką wewnętrzną się rozchwiał.

Całą więc usilność swą skierować musiał na utrzymanie wewnętrznego pokoju i zniszczenie w samych zawiązkach husytyzmu, który mógł Polskę podkopać, ów biskup Zbyszek, będący dotąd jedynym Polski władcą, choć napozór dzielił tę władzę z innymi.

Powracając z jednej z wycieczek swych do Krakowa, zaledwie we dworcu swym wysiadłszy, wprzódy nim się z kimkolwiek mógł widzieć i rozmówić, znalazł oczekującego nań Grzegorza z Sanoka.

Królowa, wiedząc już o przybyciu biskupa, wysłała go, aby się od niej pokłonił i na zamek go wezwał. Być może też, że poleciła przygotować go do wcale niespodzianej nowiny.

Sonka oczekiwała na biskupa, którego szanowała, ale obawiała się jeszcze więcej, zawczasu układając twarz wesołą, choć niespokojną była i przeczuwała, że jej zabiegi źle mogą być przyjęte i osądzone. Dlatego może wszystko się w takiej tajemnicy gotowało i biskup dowiadywał się o wyborze Kazimierza, gdy już posłowie z Pragi do Krakowa się wybierali.

Z zachmurzonej twarzy wchodzącego poważnie wyczytała królowa myśl Zbigniewa.

Obok niej stał trzynastoletni Kazimierz, zamyślony nad wiek swój i nie wesół, któremu Sonka rozkazała rękę biskupa ucałować.

— Oto przyszły król czeski! — odezwała się wprost, unikając długich tłumaczeń i wiedząc, że Oleśnicki był uprzedzony.

— Bodajby nim był — westchnął biskup — lecz niczem wybór jeszcze... niczem nawet koronacja, potrzeba się orężem dobijać panowania, a my...

— Mamy — przerwała królowa — cały gotowy zastęp kilkutysięczny, który pójdzie z nim — wskazała syna — do Pragi na pole boju... i wywalczy mu koronę.

— Mamy — powtórzyła — dowódców, ludzi... i pieniądze... wszystko!

Biskup wstał, nie zdając się tem przekonany.

— Wojna z Albrechtem nie będzie łatwą — rzekł— ani krótką. Nie da on nam spokoju.

— W Węgrzech będzie zajęty — szybko dodała królowa. — Turcy mu tam grożą, bronić się musi.

— A my z jego wojny z nieprzyjacielem chrześcijaństwa korzystać będziemy? — spytał biskup. — Cóż na to powie cesarz i Paleolog, i państwa chrześcijańskie?

— Wszakże nam tę koronę przynoszą, nie szliśmy po nią — poczęła królowa coraz żywiej.

Biskup spojrzał, a wejrzenie to wywołało rumieniec wstydu na twarz królowej, bo wiedziała, że Zbigniew starań jej i zabiegów się domyślał, był ich pewny.

Zwolna Sonka ręce złożyła przed nim.

— Opiekunie moich dzieci, dobroczyńco — szepnęła — nie odpychaj dla tego chłopca, co Bóg daje. Samo się to narzuca. Czechy go pragną... żądają... proszą.

Biskup, nie sprzeciwiając się już, przybrał postawę człowieka, który małym się czyni, aby wielkie z siebie zrzucić brzemię.

— Nie do mnie należy rozstrzygać o tem—rzekł.— Jam jednym z rady, ale nie całą radą króla; — niech drudzy panowie wyrokują, czy wojny chcą, bo wybór ten nic innego nie znaczy, nad długą i upartą wojnę.

Następne dni królowa spędzała w niepokoju, posyłając swoich na zwiady, usiłując odgadnąć usposobienia.

Jak przewidzieć było łatwo, zdania zostały podzielone. Podawano nawet w wątpliwość, czy posłowie czescy przyjadą. Goniec po gońcu już ich oznajmywał, a jeszcze niespełna wierzono w to śmiałe wystąpienie Czechów.

Naostatek jednego dnia w pięknym poczcie zjawili się zapowiedziani. Na czele ich jechał Hertwig z Rusinowa, Jan z Persztynu i Bieniasz Mokrowąs.

Królowa nie posiadała się z radości.

Wielu panów nawróciło dopiero przybycie Czechów i wyrażone przez nich mocne postanowienie utrzymania na tronie Kazimierza. Biskup trwał w umiarkowanym oporze. Znano jego niechęć dla zarażonych husytyzmem Czechów, obawę, aby się herezje nie zagnieździły w Polsce.

Panowie rady, rozdzieleni w zdaniach, nie chcieli nic stanowić. Biskup nalegał, aby zwołać zjazd w Nowem Mieście Korczynie, i to, co cały kraj w wojnę wciągnąć miało, poddać wyrokowi większości.

Zjazd został naznaczony na św. Florjana.

Zabiegi królowej, pomimo oporu Oleśnickiego i książąt mazowieckich, wezwanych na zjazd, a oprócz tego wielu umiarkowańszych i niedających się złudzić blaskiem korony, zwyciężyły ostatecznie.

Większość była za przyjęciem ofiary Czechów, a Oleśnicki, oświadczywszy się ze zdaniem przeciwnem, wkońcu uległ i przystał na to, co większość postanowiła.

Z tą radosną nowiną, wyprzedzając wszystkich, wrócił do Krakowa Grzegorz z Sanoka i przyniósł ją rozpromienionej pani.

Zwyciężyła! Kazimierz więc miał włożyć koronę na skronie!

Posłowie do Czech byli jakby wyznaczeni. Musieli nimi być ci, co z królową razem trzymali i pożądali czeskiej korony. Sędziwój Ostroróg i Jan z Tęczyna wyruszali do Pragi.

Nie spoczywająca ani na chwilę królowa teraz już dniem i nocą zajmowała się zebraniem ludzi i wojska dla syna. Bez niego nie mógł ani się utrzymać, ani nawet wnijść do swojego nowego królestwa.

Co może miłość macierzyńska i pragnienie zdobycia potęgi, okazała królowa, zmuszona sama starać się o wszystko, ludzi wybierać i jednać, a naostatek, wszystko, co miała, oddawać, sypać płacąc zaciągi, uzbrojenia i pułki.

Nigdy w Polsce nadzieja wojny i walki nie była

odpychaną, owszem, jak zawsze, tak i teraz, miała dla wielu ponętę, urok, ciągnęła ich.

Wybrani przez królowę dowódcy mieli tylko trudność w wyborze. Gromadami przybywała szlachta z różnych ziem, prosząc się pod chorągwie, ale między nią trzeba było surowy wybór czynić. A choć połowa tych stręczących się rycerzy bez hełmów i broni, lub bez koni nawet i oręża musiała powracać do domów nieprzyjęta, pomimo to znalazły się tysiące na wyprawę do Czech.

Niepokój był i wyczekiwanie na zamku krakowskim, gdy po upływie kilku miesięcy Grzegorz z Sanoka ujrzał jednego dnia wchodzącego do swej komory, w której pracował nad ulubionym poetą, człowieka, zupełnie mu nieznanego.

Był to mężczyzna lat już czterdziestu kilku, z postawy wnosząc, dworak i człowiek dostojny. Ubiór skromny był ze smakiem i pewną wytwornością dobrany do twarzy i postaci. Twarz całkiem nieznana, głos, gdy się odezwał, również nic mu nie przypominający przywitanie pierwsze uczyniły chłodnem. Nieznajomy nie mówił nazwiska swego i uśmiechał się dziwnie.

— Mistrzu Grzegorzu — odezwał się do niego — czy pamiętacie jeszcze młodsze lata wasze i wędrówki po Niemczech? Wszakże się nie mylę, podróżowaliście wiele?

— Tak — odparł Grzegorz, któremu to przypomnienie lat młodszych było przyjemnem — podróżowałem, jako jeden z wagantów, *per pedes apostolorum.*

— Przypominacie sobie wasz pobyt w Heidelbergu? — dodał nieznajomy.

Mistrz popatrzył z uwagą wielką na mówiącego.

— Lauen? — zawołał, podając rękę. — Nieprawdaż?

Nieznajomy obie ręce ku niemu wyciągnął.

— Tak, Lauen! — rzekł z pewnem wzruszeniem.— Nie poznaliście mnie zrazu, a i ja, gdybym nie wiedział, kogo mam przed sobą, nie domyśliłbym się w po-

ważnym duchownym wesołego młodzieńca, który tak cudnym głosem pieśni beanów śpiewał.

— Przeszły te czasy! — westchnął mistrz, — pieśni się zapomniały, smutek duszę ogarnął.

Siedli przy sobie.

— Lecz skądże wy tutaj? — począł gospodarz. — Widzę, żeście w świeckim stanie zostali; co was tu do Polski przygnało?

Zapytanie to zdawało się nieco kłopotać przybyłego, chociaż powinien był do niego być przygotowanym.

— Jestem... w podróży na Szląsko, dokąd mnie moje familijne powołują sprawy. Rodzina mojej matki ma tam posiadłości. Dowiedziałem się o was w Krakowie i umyślnie się zatrzymałem, aby z wami dawne dobre czasy przypomnieć.

— Jakiż stan obrałeś sobie? — wtrącił Grzegorz.

— Służyłem dworsko przy cesarzu Zygmuncie — mówił Lauen — a teraz liczę się już tylko do orszaku króla Albrechta, chociaż żadnych nie pełnię obowiązków.

Lauen, ubogi współuczeń szlacheckiego pochodzenia, naówczas się do stanu duchownego sposobił. Złączyła ich pewna sympatja i podobieństwo charakterów. Oba lubili poezję i śpiewy.

Grzegorz treściwie zaczął opowiadać o swoim powrocie do kraju i o tem, co go tu spotkało. Starzy przyjaciele patrzyli na się, mówili i pewno znajdowali w sobie wielką zmianę. Czasem który z nich uderzył o dawną nutę wesołą, uśmiechnęli się i wnet poważnieli oba.

— Prawdać to — po długim przestanku zagaił Lauen — że młodszy wasz królewicz do Czech się wybiera przeciw Albrechtowi?

— Wybrano go — rzekł Grzegorz — a korony się nie odrzuca.

— Tak, ale tę wam krwawo zdobywać przyjdzie...

— Wszystko to może być — rzekł Grzegorz, — ale u nas ochota do wojny przemogła, wojsko się zbiera i albo już wyciągnęło, lub, jak sądzę, wkrótce wyjdzie do Czech.

— Spotka się tam z Albrechtowem — dodał Lauen.

O ile Grzegorz nie okazywał skłonności do rozmowy na ten ton nastrojonej, o tyle przybysz zdawał się ją chcieć w nim utrzymać. Uderzyło to wkońcu mistrza.

Godzina i więcej przeszła na takich obojętnych pytaniach i odpowiedziach. Wstał wkońcu Lauen i choć nie z wielką chęcią, zabierał się do odwrotu. Pomyślał trochę i siadł znowu.

— Wojna—rzekł—jest zawsze klęską, wy jesteście przy królowej i królu, ja mam przystęp do Albrechta; cobyście rzekli, gdybyśmy spróbowali jej zapobiec?

Grzegorz zdziwiony poruszył ramionami.

— Nie czuję się do tego powołanym — odpowiedział.

— Mówmy otwarciej — szepnął Lauen. — Zaufać wam mogę. Gdybym ja, przypuśćmy, był wysłany dla wyrozumienia, czy się jaki środek pojednania i zbliżenia nie znajdzie?

— Musiałbym się z tem odnieść do królowej, lub do biskupa — rzekł Grzegorz, — bo ja tu nie mam ani znaczenia, ani głosu.

— Temu wierzyć mi się nie chce.

— Nie żądam ich — dodał Grzegorz — lecz mieliżbyście w istocie poselstwo w tej sprawie tego rodzaju?

— Poselstwo nie! — rzekł Lauen. — Lecz gdybym coś uczynił w tej sprawie, ufam, żeby mi król był wdzięczen.

— Nie widzę środka porozumienia się — odparł mistrz—bez jakiegoś wynagrodzenia za tę koronę, którą nam naród ofiaruje. Będę z wami również otwartym. Królowa matka jest spragnioną dla synów zdobyczy i podbojów. Nie będę jej sądził, ale o ile ją znam, wiem, że się bez okupu nie wyrzecze nadziei.

— Lecz i okup możeby się znalazł — rzekł powoli, mierząc słowa, Lauen.

— Jeżeli o pieniądzach mówicie i wynagrodzeniu niemi — przerwał Grzegorz — wiem, że one nie skuszą.

Lauen milczał, w stół patrząc długo. Oba jeszcze wahali się z wywnętrzeniem zupełnem. Niemiec dodał:

— Gdyby wola była do układów, środkiby się znalazły. Próbowaćby należało.

— Lecz z naszej strony pierwszy krok jest niemożliwy — wtrącił mistrz.

Zachwiały się dalsze w tym przedmiocie rozprawy. Spytany Lauen nie chciał się przyznać, że był wysłany od Albrechta.

— Ale to bije w oczy — rzekł mu Grzegorz. — Jakkolwiek ja w rzeczy rządowe się nie wdaję i nie rozumiem się na nich... odgaduję, żeście tu do mnie nie dla odświeżenie wspomnień heidelberskich przybyli!

Lauen śmiać się zaczął sucho.

— Sądź sobie, jak chcesz! — zawołał. — Przyznać muszę, że niema w tem nic zdrożnego iść z gałęzią oliwną i być zwiastunem możliwego pokoju.

— Lecz jestże on możliwy?

Naciśnięty raz jeszcze Lauen rzekł nareszcie:

— Cóżbyście powiedzieli na to, gdyby zamiast jednej korony dzisiaj, dwie się wam zapewniło w przyszłości? Jest to myśl moja. Król Albrecht syna nie ma, tylko dwie córki; spodziewa się wprawdzie jeszcze... ale najprawdopodobniej córka to będzie znowu. Dla dwu starszych — Władysław i Kazimierz byliby mężami pożądanymi... a po nich Czechy i Węgry wzięliby bez krwi przelewu.

Grzegorz słuchał z uwagą. Myśl ta uderzyła go silnie; znajdował ją szczęśliwą, wielką.

— Myśl jest wielka, piękna, szlachetna — rzekł — nie wiem i wątpię, czy ją zdołam przyprowadzić do skutku, ale dla niej ważyć coś warto. Zatrzymaj się tu, spróbuję.

Rozstali się tak, a mistrz, cały przejęty przywiezioną nadzieją sojuszu, natychmiast się udał do królowej.

Zanadto jednak pochlebiał sobie, sądząc się zdolnym do przebiegłego przeprowadzenia tego, co mu serce poruszało.

Przy wieczerzy, do której królowa matka, król, Kazimierz młody, kanclerz i kilku starszych urzędników dworu zasiadło, nie licząc młodzieży rówieśnej, bez której Władysław obejść się nie mógł, zaczęto mówić o wyprawie do Czech.

Grzegorz przybrał wesołą twarz i począł mówić, jakby dworując żartobliwie.

— Miłościwa pani! Poco bo nam ta wojna i zapasy! Ot, król Albrecht ma dwie córki, a u nas jest dwóch młodzieńców; posłaćby swaty, razem z oblubienicami dwie koronyby przyszły!

Królowa Sonka zadumała się trochę.

— Tak, nie byłoby to złem, ale córki młode i oni młodzi; nimby do małżeństwa przyszło, długo czekać potrzeba, a wszelkie kontrakty i poręki niewiele ważą. Wreszcie niewiadomo, czyby Albrecht zgodził się na to.

Grzegorzowi wyrwało się nieopatrznie:

— Tak pewnym tego jestem, że gardłobym stawił!

Zdradził się temi słowy i postrzegł to sam; chciał się poprawić, zawikłał...

Wszyscy patrzyli nań zdziwieni. Królowa matka, która o królestwach dla synów roiła tylko, natychmiast po wieczerzy pozwała Grzegorza danym znakiem do siebie. Nastała na niego, iż mówić nie mógł napróżno przy wieczerzy z taką pewnością o córkach Albrechta, gdyby myśli mu tej ktoś nie poddał.

Mimo całego swego rozumu, nie umiejący kłamać mistrz, brzydzący się drogami pokątnemi, przyznał się wkońcu królowej, że pomysł ten w istocie nie wyszedł z niego, ale dawny towarzysz i znajomy z Niemiec, w rozmowie mu go na wiatr rzucił.

Królowa nacisnęła gwałtownie, dowiadując się o owego Niemca, i dobyła z Grzegorza, iż się jeszcze w Krakowie znajdował.

Z żywością, która się w niej objawiła, gdy chodziło o synów i zabiegi dla nich, mogące zdumieć biskupa a dowieść mu, jak Sonka umiała chodzić około ich przyszłości, nakazała Grzegorzowi, by Lauena nazajutrz do niej przyprowadził.

Poleciła mu tajemnicę jak największą. Odgadywała łatwo, iż to był wysłaniec Albrechta, a obawiała się, aby z kim innym o tem, jak z nią nie mówił; była zazdrosną. Nie chciała się dać wyprzedzić.

Im większa stawała się potęga Zbigniewa biskupa, tem ją gorącej chciała przeciwważyć wielką zabiegliwością swoją i niezmordowanemi staraniami.

Lauen, zapewniwszy się, że sam będzie u królowej, poprowadzony bocznemi przejściami, znalazł się wobec natarczywej, badającej niemiłosiernie, wyzywającej na słowa królowej. Nie zdradził się jednak więcej, niż chciał. Nie miał zdolności Grzegorza z Sanoka, ale przebiegłości daleko więcej od niego.

Mistrzowi potem poleciła królowa rozmówienie się bliższe z Lauenem.

Myśl nie została odrzuconą. Dwie korony w miejscu jednej zachwiały macierzyńskiem sercem. Spełniłyby się w ten sposób jej marzenia i przepowiednie.

Stanęło na tem, aby posłowie do układów wyprawieni byli z Lauenem do króla Albrechta. Nikt o tem wiedzieć nie miał. Wyprawić wszakże poselstwa nie można było bez wiedzy biskupa. Poza plecami jego królowa wszystko mogła przygotować, ale bez niego nie godziło się nic dokonać, aby nie narazić sobie męża tak wielkiego znaczenia i przewagi.

Biskup daleko radośniej przyjął wiadomość o projekcie, niż wybór Kazimierza, któremu dotąd był przeciwny. Chętnie się godził na układy, na sojusz, na danie posiłków, byle Polska sama od wojny była wolną.

— Błogosławiona myśl — rzekł — jeżeli nie jest na to rzuconą, aby dać czas Albrechtowi, gdy my układać się będziemy, dopełnić koronacji w Pradze i zniszczyć znaczenie wyboru.

Odgadł biskup przenikliwy, gdyż układy się przeciągnęły i spełzły na niczem, i Kazimierz pozostał w domu, a wysłane wojska odbyły daremną wyprawę nie bez strat.

Wśród tych starań, których niepowodzenie królowej nie zrażało, gdyż zaledwie jedno spełzło na niczem,

natychmiast rozpoczynała nowe jakieś zabiegi, czas upływał rączo.

Nadszedł rok 1439.

Wiedziano w Krakowie, iż król Albrecht z Turkami staczał boje, które mu się nieszczęściły, gdy do królowej nadbiegł z Węgier poseł, oznajmujący jej, że w odwrocie z pod Smiderowa w Rascji (Serbji) Albrecht, nagle zachorowawszy, umarł.

Pozostawała po nim młoda jeszcze żona, Elżka, dwie córki, nadzieja trzeciego potomka, i na głowie słabej niewiasty, osieroconej, przerażonej, losy dwóch królestw, z których jedno zagrożone było potęgą pogan.

Prawie jednocześnie Turcy, którzy zamierzali rzucić się na Węgry, słali posłów do Polski, ofiarując jej przymierze.

Wszystko to spadło nagle, niespodzianie, ale dla królowej było błyskiem, w którym ona wielką przyszłość dla synów ujrzała.

Sonka utrzymywała zawsze stosunki na Węgrzech, jakgdyby przeczuwała, że one jej posłużą do wyniesienia na tron jednego z synów.

Zaledwie poseł z nad Dunaju nadbiegł do Krakowa, gdy stąd już wierni słudzy królowej lecieli na Węgry.

Spełzły wybór Kazimierza w Czechach potrzeba było powetować w Budzie. Węgrzy musieli mieć króla i wodza, mogliż znaleźć dzielniejszego nad tego młodego rycerza, chciwego walk, który im z sobą mógł przyprowadzić zastępy polskie, potomków owego Zawiszy, którego imię brzmiało jako bohatera?

Królowa nie taiła przed biskupem, iż pragnęła i starała się o to gorąco, ażeby Władysław w Budzie królem Węgrów był obrony.

Zdania się dzieliły, lękano się ściągnąć wojnę, wziąć nowe brzemię, ale tu nęciło tak wszystko, a młody król Władysław sam z taką niepohamowaną żądzą boju wyrywał się na obronę chrześcijaństwa, iż panowie nie śmieli go powstrzymywać.

A matka przyciskała go do piersi i powtarzała:
— Idź — i walcz!

Młodzież otaczająca, starzy rycerze, tysiące ludzi, którym wyprawy dalekie śmiały się, upojeni byli tą nadzieją, że pójdą wojować z pogany.

Wielka większość przejęta była tym duchem, a starsi panowie rady, z chłodnym rozumem, rachubą i rozwagą prawie się odzywać nie śmieli.

Nikt też królowej nie mógł przeszkodzić do starania się o wybór Władysława, a gdyby nawet jawnie się sprzeciwiano, miała tysiące środków skrytego działania. Ludzie, pieniądze, listy, obietnice, wszystko teraz płynęło na Węgry.

Królowa matka po niewieściemu, widząc jedyną przeszkodę we wdowie po Albrechcie, gotową była zamiast z jej córką, ożenić Władysława z nią samą.

Elżka miała lat trzydzieści, król zaledwie połowę jej wieku, lecz jeśli małżeństwo z Barbarą uznała możliwem, dlaczegóżby po wnuczce jej córka nie mogła zkolei być swataną?

Wszystko to rozstrząsało się gorączkowo, pośpiesznie, a dla Sonki nie było ofiary, na którąby się dla korony nie ważyła. Nikt nie śmiał się jej sprzeciwiać, milczano.

Znaczna też część panów, pochwycona tym prądem, zaślepiała się na następstwa, młody król, byleby mógł iść wojować, gotów był wszystko poświęcić.

On, dwór jego, mnodzy pochlebcy całemi dniami zbroili się w myśli, próbowali oręża, rozprawiali o Turkach i ich sposobie wojowania.

Właśnie też poselstwo ich do Krakowa zdążało...

Dla biskupa była to chwila trudna, bo jako duchowny wszelkiemu sojuszowi z niewiernymi przeciwnym być musiał, a jako kierownik spraw narodu w duszy znajdował go może pożyteczniejszym, niż wplątanie się w wielką i groźną wojnę.

Ale tu obowiązki względem zagrożonego chrześcijaństwa musiały brać górę nad interesem Polski. Papież, Paleolog, Włochy, słowiańskie ludy najechane

i ujarzmione wołały o ratunek. Biskup Zbigniew zamilknąć musiał. Gotowała się wojna święta, krucjata nowa.

Czekano z Budy wieści z niecierpliwością wielką, nie odprawiając posłów tureckich i trzymając ich z odpowiedzią w zawieszeniu.

Świadek mimowolny tego zaprzątnienia, wśród którego nikomu nie wolno było obojętnym się okazać, Grzegorz z Sanoka pozostał widzem raczej, niż czynnym współpracownikiem w robotach, do których nie czuł powołania.

Zapał, z jakim Władysław wybierał się już na Węgry w nadziei wojny, troskliwą o niego matkę zaczął trwożyć wkońcu. Chłód Grzegorza, jego rozwaga we wszystkiem, zdawały się jej właśnie najstosowniejszemi u boku młodego zapaleńca. Zgóry już więc postanowionem było, że mistrz, jako kapelan i spowiednik, z Władysławem na Węgry pojedzie.

Jeszcze wiadomość o elekcji nie doszła do Krakowa, gdy, ze smutnem w duszy przeczuciem, poszedł Grzegorz odwiedzić Balcerów.

Życie płynęło tu jednostajnie, niekiedy tylko odwiedzinami Grzegorza uprzyjemniane dla pani Frączkowej. Gniewała się ona na przyjaciela młodości, iż nie dosyć często do nich zachodził, ale królewski towarzysz nie był panem swego czasu. Nie podobało się jej i to, że dawniej wesoły śpiewak, smutniejszym był coraz i w sobie pogrążonym. Nie mógł się on na los swój uskarżać: obsypywano go łaskami, nie zbywało mu na niczem, a jednak smutek coraz czarniejszy na zwiędłej malował się twarzy.

Na zapytanie Frączkowej, która zwykle od tego poczynała, iż go badała o ten smutek, mistrz odpowiedział teraz, jak zawsze:

— Widzicie, jejmość moja, gdy kto z drogi zboczy, do której był urodzony i przeznaczony, koniec jest zawsze taki. On z ludzi, a ludzie niekontenci z niego.

— O jakiejże to drodze mówicie! — zagadnęła Frączkowa.

— Do dworu i jego plątanin nie byłem stworzony, ale do ksiąg, papieru i spokojnej celi — mówił Grzegorz. Tymczasem wszystko zwiastuje, iż się z tego ukropu nie zdołam wyrwać, a jeżeli Władysław zostanie królem na Węgrzech obrany, i ja będę musiał z nim do obcego kraju, do obozu, na wojnę.

Frączkowa westchnęła.

— Może go też nie obiorą!

— Wybranym będzie — przerwał Grzegorz — już dlatego, że królowa tam ma i wielkiemi obietnicami jedna przyjaciół, już, że to dla nich pożyteczne, a wkońcu, że mnie niemiłe. Rzucić więc przyjdzie kochany Kraków, do którego czy powrócimy, Bóg jeden wie; a co nas tam czeka!

Frączkowa łzy też miała w oczach.

— Sumienie nie pozwala — rzekł Grzegorz — królowej winienem wiele, a ona mnie tam widzieć chce. Czuję sam, iż niedoświadczonemu panu będę pomocą... iść więc muszę!

— Króla jeszcze nie obrano?

— Toczą się w Budzie narady, lecz lada chwila przybiegnie goniec, niosący koronę.

Nie mylił się mistrz. Powracając do zamku, spotkał w ulicach dworzanina królowej, który, Węgrów wyprzedzając, na zziajanym koniu, wpadł we wrota z wieścią pożądaną.

— Władysława w Budzie okrzyknięto królem Węgier! Ma zaślubić wdowę po Albrechcie!

II.

Wesoło i huczno obchodzono święta Bożego Narodzenia w Krakowie. Królowa Sonka odmłodniała, wszystko zdawało się skończonem szczęśliwie. Oczekiwano tylko uroczystego z Budy poselstwa. Wdowa po Albrechcie zgadzała się przynajmniej pozornie na poślubienie Władysława.

Wiedziano o niej, że była trzydziestoletnią niewia-

stą, lecz królowa utrzymywała, co potwierdzali ci, którzy ją dawniej widzieli, że córka cesarzowej Barbary była jeszcze wdzięczną i urodziwą, a nadewszystko urokiem mowy i oczu, obejściem się z ludźmi umiejącą ich jednać sobie.

Wzięła po matce nie zalotność, którą tamta słynęła, ale przebiegłość, zręczność i dumę po ojcu. Królowa Sonka cieszyła się tą przyszłą królową synową, wdzięczną jej będąc za to, że się na małżeństwo zgodziła.

Nie mogło ono jednak wprzódy przyjść do skutku, aż po spodziewanej słabości, od której zależało wiele. Pogrobowy potomek Albrechta mógł być synem. Ale o tem królowa matka mówić nawet i przypuszczać nie dozwalała.

Ci, co z Węgier przybywali, nim poselstwo pośpieszyło, co innego opowiadali przed królową, inaczej szeptali pocichu.

Głośno zaręczano, że Elżka szła z ochotą za młodego króla, potajemnie powtarzano, co Węgrzy mówili, iż łzami oblewała zapowiedź małżeństwa, od którego chciała się jakim bądź sposobem uchronić. Dla dzieci tylko zmuszoną była poświęcić siebie.

Władysławowi matka starała się wmówić, iż małżeństwo to będzie szczęśliwem, a młody król wcale o niem nie myślał. Zajęty był wojną, rycerstwem, większą swobodą, na którą się miał wyrwać, dotąd krępowany nawyknieniem posłuszeństwa matce i biskupowi.

Uśmiechało mu się w towarzystwie młodych swych przyjaciół wyrwać się w świat i pełną piersią oddychać. Zawczasu biskup Zbigniew zapowiadał, że króla na Węgry odprowadzi, ale tam miał już on sam pozostać.

Około zapust naostatek ściągnęło wspaniałe poselstwo węgierskie, na którego czele jechał Jan, biskup Szegedynu, Tałosz, pan sławoński, Emeryk Marceli, marszałek dworu, i wielu innych magnatów.

Na spotkanie świetnego orszaku wyjechał w imieniu brata Kazimierz, z duchowieństwem i panami, a choć pora była resztkami zimy nachmurzona, z obu stron wesołość i ochocze bratanie się — kazały o tem zapomnieć. Stroje i uzbrojenia Węgrów, kilkunastu młodzieży, pięknej i bogato przybranej, której przewodził Michał Orszag, ściągały oczy ciekawych tłumów.

Grzegorz z Sanoka, który wśród dworu królewskiego wybitnego nie zajmował stanowiska, bo go nie pożądał, i unikał ściągania na siebie uwagi, mógł się tem śmielej i swobodniej przypatrywać wszystkiemu, szczególniej zaś wrażeniom młodego króla, który poczynał być dla niego zagadką.

W życiu Władysława przychodziła chwila przełomu, ochota wyzwolenia. Nie czuł się na siłach może do zupełnie samoistnego występowania, ale pragnął nareszcie mieć wolę swoją.

Zaledwie piętnastoletni, dojrzalszym był daleko, niż zwykle młodzieńcy bywają w tym wieku. Samo wychowanie pieczołowite rozwinęło go szybciej, a w tym roku osiągnięta pełnoletność, złożona przysięga czyniły go z prawa niezależnym.

Nic dziwnego, że korzystaćby chciał z tego. Lecz wszelkie pokuszenia to matka, to biskup starym zwyczajem odtrącali i unieważniali. W młodym panu rodziło to chętkę oporu i pewną niecierpliwość.

Przybycie posłów pochlebiało dumie z początku; po kilku dniach pobytu ich, gdy się rozsłuchał i rozpatrzył — choć król nie dawał tego znać po sobie, zdawało się Grzegorzowi z Sanoka, że dojrzał w jego twarzy jakieś zafrasowanie i zniechęcenie.

Młodzi Tarnowscy, młody Tęczyński, którzy z Węgrami mogli otwarciej się rozmówić, biesiadować i dowiedzieć czegoś więcej nad urzędowe ich sprawozdanie, donosili królowi, co słyszeli. Mniej świetne strony tego panowania na Węgrzech powoli występowały.

W kilka dni po posłuchaniu Grzegorz z Sanoka znajdował się przy królu na pokojach; po rozejściu się znaczniejszej części gości zamkowych Władysław jak-

by się zbierał coś powiedzieć mistrzowi, przeszedł się parę razy po izbie.

Widać było, że walczył z własną nieśmiałością, którą chciał pokonać.

— Wy mi sprzyjacie? — wy mi dobrze życzycie? — zawołał, stojąc naprzeciw Grzegorza i rękę ku niemu wyciągając — nieprawdaż?

— Miłościwy panie! — odezwał się jakby z wyrzutem mistrz.

— Ja wierzę w to — rzekł pośpiesznie Władysław — i ufam wielkiemu rozumowi waszemu. Jestem w niepewności wielkiej i rozterce sam z sobą. Na wojnę radbym z duszy, ale na to królestwo węgierskie?

Popatrzył na Grzegorza.

— Każą mi się żenić z Elżką, którąby matką moją być mogła — dodał król — z kobietą, która, wiem to, wcale mnie nie chce. Dwoje dzieci! Trzeciego się spodziewa! Ale ja nie chcę i nie myślę się żenić; ja chcę wprzódy zdobyć sobie imię i sławę, ja mam moje królestwo i innego nie pożądam! Część Węgrów jest za mną, to prawda, ale wpływowy i przewagę tam mający Dionizy, kardynał biskup ostryhomski, ban kroacki, Gara, Jan Secz i Ulryk Cilly są przeciwko mnie. Tej korony się ja będę musiał dobijać, przeciwko kobiecie i sierotom.

Zamilkł, patrząc na Grzegorza, który znalazł się w przykrem położeniu. To, co mówił król, on też myślał, ale królowa i nawet biskup Zbyszek sądzili inaczej.

— Miłościwy panie... ja się wcale temu, co mówicie, nie przeciwię... ale, jeżeli takie wątpliwości wam przychodzą, czemu ich nie objawiacie otwarcie królowej i biskupowi?

— Znajdujesz więc, że mogę mieć słuszność! — zagadnął król, zwracając się ku niemu, pilno a natarczywie patrząc mu w oczy.

— Tak! Są to słuszne przyczyny — odparł Grzegorz. — Ja, który na sprawach państw nie znam się i sądzę je po ludzku, powiedziałbym toż samo; ale ci,

co patrzą zgóry, co interes kraju więcej ważą, niż uczucia ludzkie, sądzą inaczej.

Z niecierpliwością jakąś król dodał poufalej:

— Powiadam ci, chce mi się dusznie na wojnę, ale serdecznie mi się nie chce być tym królem z łaski kobiety i ze szkodą jej dzieci. A jeśli królowa następcę męskiego na świat wyda?

Grzegorz milcząco skłonił głowę.

— Pamiętać jednak potrzeba o tem — rzekł — że ani wdowa, ani niemowlę, ani Cilly z kardynałem nie obronią Węgier od napaści tureckiej, że tam potrzeba dzielnego rycerza, a z nim rycerstwa, bo inaczej nie Węgry same, ale świat chrześcijański będzie zagrożony. Obok tej wielkiej sprawy ocalenia wiary... cóż znaczą inne? — co znaczy małżeństwo! osobiste względy i... i ofiara?

Władysław westchnął.

— Oni mi też to mówią ciągle — dodał król.—Lecz cóż przeszkadza, abym ja z rycerstwem polskiem poszedł w obronie krzyża, nie wiążąc się z tą kobietą?

— Miłościwy panie — przerwał Grzegorz, — korona już tak jak przyjętą jest, posłowie się tem cieszą, trudno będzie się cofnąć.

— Nie! nie! — rzekł namarszczony Władysław — ja się żenić z nią nie chcę. Pójdę, będę z Turkami wojować, będę im służyć rycersko, ale, tobie to powiadam tylko, jeżeli ożenienie będzie do korony warunkiem, żenić się nie chcę! nie mogę! nie ożenię!

Coraz gwałtowniej mówił pod koniec król, i jakby się sam uląkł swojej śmiałości i otwartości, zbliżył się do Grzegorza, na ramionach mu ręce położył i dodał:

— Chciałem mówić z tobą, nie zdradzajcie mnie! Widzę i czuję, że ty to tak czujesz i rozumiesz, jak ja! — Wydartej dziecku i kobiecie korony nie chcę!

Na Węgry pojedziemy! ale tam znajdę sposób uniknięcia małżeństwa i przywłaszczenia!

Szlachetne te uczucia młodego pana taką radością napełniły mistrza, iż ukryć jej nie umiał. Spojrzeniem jednem Władysław mógł się przekonać, że Grze-

gorz podzielał jego myśli, że je pochwalał. To mu dodało odwagi i czoło się wyjaśniło.

— Tak — powtórzył król. — Nieuniknioną już zdaje się podróż na Węgry. Posłowie pojechali do królowej... czekamy tylko ich powrotu. Biskup się oparł zawieraniu traktatu z Turkami. Ojciec św., cesarz Paleolog, Włosi nalegają; pójdziemy bronić chrześcijaństwo.

I wy ze mną? — dodał pośpiesznie wkońcu.

— Nacóż się ja tam przydam? — wtrącił mistrz.

— Abyście mnie dodali odwagi, a gdybym uwieść się dozwolił żądzą panowania i dumą, przypomnieli mi te słowa moje.

To pierwsze wylanie się przed Grzegorzem, niespodziane dla niego, otworzyło mu oczy. Inaczej poglądał teraz na swojego wychowańca. Nie znał go dotąd dobrze, i miał też za dziecko; objawił mu się w nim człowiek.

Pilno potem przypatrywał się mistrz postępowaniu jego z matką i biskupem, lecz dostrzec w nim nie mógł żadnej zmiany. Zdawało mu się, że Władysław, śmiały z nim, przed matką i opiekunem tracił odwagę i otwarcie się im nie przyznawał, co myślał.

Na dworze tymczasem zabawiano się wesoło i przyjmowano węgierskich panów. Biskupa Szegedynu ugaszczał Zbigniew, a prałat węgierski miał czas zjednać sobie Oleśnickiego, wystawiając mu potrzeby całego chrześcijańskiego świata i pokładane na Polsce nadzieje. Z każdym dniem Zbigniew więcej się skłaniał do tego, aby koronę przyjąć i dać dzielną pomoc Węgrom.

Z żywą niecierpliwością oczekiwano gońca z Węgier, który miał dać znać o spodziewanem wkrótce rozwiązaniu. Z każdą chwilą wyglądano stanowczej wiadomości, na którą i posłowie węgierscy, i królowa z trwogą oglądać się musieli.

Biskup, Jan szegedyński, jeden utrzymywał zawczasu, że gdyby nawet syn na świat przyszedł, nie mogło to zachwiać wyborem króla Władysława. Przewidzia-

nem to było i przeznaczono dla niego dział austrjacki i Czechy. Polski król miał pozostać razem węgierskim.

Jednej nocy wreszcie zastukano do wrót zamkowych. Straż, wołając o hasło, dowiedziała się, że goniec ów od tak dawna upragniony przybywał. Na Wawelu spali wszyscy, zbudzono tylko marszałka dworu, Ryterskiego, a ten z listy i słownem doniesieniem wszedł do Grzegorza z Sanoka, u którego jeszcze lampka się paliła, bo uczony ślęczył nad księgą.

Ryterski przychodził, w niepewności co czynić miał, spytać mistrza, czy wypadało budzić królowę dla posłańca z Węgier.

— Miły panie—rzekł, wstając z za pulpitu, mistrz jeżeli jej macie co dobrego zwiastować, budźcie; jeżeli złe, nie śpieszcie. Dowie się zawsze za wcześnie.

Cóż goniec przynosi?

Ryterski zżymnął ramionami.

— Narodził się pogrobowy syn Albrechtowi!

— Syn! — krzyknął Grzegorz. — Nie macie poco budzić królowę.

— Tak — odparł marszałek — wiadomość nie będzie pożądaną, ale trudno poradzić na to!

Jednym więc z pierwszych Grzegorz dowiedział się, że los, który zawsze ludziom na przekorę sprowadza to, czego sobie nie życzą, dał Elżbiecie syna po śmierci ojca. Dla biednej wdowy było to pociechą, dla królowej Sonki troską wielką.

Jak dzień komornik króla, który o brzasku wstawał i szedł swoje sokoły oglądać a konie, przybiegł do Grzegorza, Władysław go wzywał do siebie.

Zastał go w rannem ubraniu, z twarzą wesołą.

— Wiesz — zawołał — Elżka ma syna, a ja doskonały sposób mam do wycofania się. Dziecku jej nie mogę odbierać korony.

— Tak, miłościwy panie — rzekł mistrz — ale w układach, które przywiózł biskup z Szegedynu, stoi ten wypadek przewidziany, a wyście przyjęli warunki!

— Nie chcę ich! — przerwał król — nie chcę! Nie mogę!

Zaledwie zamienili tych słów kilka, gdy królowa Sonka, w sukni zaledwie narzuconej i chuście na głowie, ukazała się we drzwiach.

Oczyma zmierzyła ich obu. Grzegorz cofnąć się chciał, król skinął, aby został.

— Elżka ma syna! — poczęła królowa głosem drżącym. — Któż wie? Może go jej podłożono umyślnie. Ale to nic nie znaczy... nic.

— Owszem, dla mnie to znaczy wiele bardzo — śmiało odezwał się król, patrząc na mistrza, jakby go na pomoc wzywał. — Ja nie chcę dziecku odbierać korony, nie chcę!

Oczy królowej zapaliły się gniewem.

— Monarchowie i prości ludzie, a nadewszystko ci, co rycerzami się chcą nazywać — rzekła ostro — powinni dotrzymywać słowa! My i ty przyjęliśmy warunki, przywiezione przez posłów. Ten dzieciak weźmie sobie księstwo Austrji, no i Czechy, — dodała z niechęcią — a ty koronę węgierską!

Młody król zamilkł, lecz twarz mu się zmieniła. Miał wielkie poszanowanie dla matki, nawykł był do posłuszeństwa, lecz widziała, iż opór stawić będzie. Nie spotkała go dotąd u dzieci i rumieniec na twarz jej wystąpił. Przeszła się milcząca po izbie i zkolei ona też zwróciła się, jakby w pomoc powołując, do Grzegorza z Sanoka.

— Powiedzcież wy królowi — odezwała się — że co raz się przyrzekło, tego cofać nie można.

— Miłościwa pani — odparł mistrz — właśnie to mówiłem królowi przed chwilą, ale też powiedzieć muszę, że szlachetnego jego uczucia miłości dla sieroty i wdowy — żaden człowiek nie potępi.

— Co za wdowa, jaka sierota? — wybuchnęła Sonka. — Powinna się czuć szczęśliwą, iż takiego męża dostanie, a jej dzieciak takiego ojczyma! Niema się co użalać nad jej losem, ale go chyba zazdrościć!

Na to namiętne wystąpienie królowej trudno było odpowiedzieć, nie czekała też odpowiedzi i wyszła zagniewana.

Zwołano radę dnia tegoż, ale nim się zjechali panowie, królowa starała się wprzódy widzieć i mówić z nimi, aby ich sobie pozyskać. Pomimo to, w pierwszej chwili podzieliły się zdania. Niektórzy już wiedzieli, a raczej domyślali się królewskiego wstrętu, i szli za nim, inni z królową i biskupem. Na prawie równe dwa obozy rozłamała się rada.

Na Węgrach widać było niewymowny strach i niepokój. Groziły im nietylko utrata posiłków, jakich się w rycerstwie polskiem spodziewali, ale zemsta stronnictwa królowej Elżbiety i tych wszystkich, co z nią i Cillym Ulrykiem trzymali. Powstały lamenta i gwałtowne odwoływania się do zawartych umów.

Przez cały dzień ten nie ustawała niepewność. Król się opierał, ani matka, ani biskup niechęci jego do tego małżeństwa przełamać nie mogli. Unikał nawet mówienia o tem.

Oleśnicki powołał do siebie Grzegorza z Sanoka, o którym wiedział, iż bliskim był młodego króla.

— Wpłyńcie na niego — rzekł. — Nie godzi się dla jakichś względów podrzędnych spuszczać z oczów sprawy najwyższej wagi. Turcy opanowali już Adrjanopol, cisną się zalać i ujarzmić Europę, grożą cesarzowi w Konstantynopolu, grożą nam i całemu chrześcijaństwu, murem powinniśmy stanąć przeciw nim.

— Król gorąco tego pragnie — rzekł Grzegorz, — ale małżeństwem się brzydzi, a ja do niego namawiać go nie mogę.

Oleśnicki się zmarszczył.

— To są płoche względy — rzekł, — krzywda się nikomu nie stanie. Warunki zostały przyjęte.

— Ja na króla wpłynąć nie potrafię — przerwał Grzegorz, — to rzecz królowej matki i wasza, miłościwy pasterzu. Słowo moje nie zaważy.

Z tem odszedł mistrz. Wieczorem król trwał jeszcze nieporuszony w swem postanowieniu.

Królowa, widząc, że inaczej go nie pokona, rzuciła się w inną stronę. Zwołano rówieśników i towarzyszów króla: Tarnowskich, Tęczyńskich, Zawiszów.

Wszystkim im żal było tej rycerskiej wyprawy, na którą się gotowali wielkiem sercem. Im poleciła Sonka, aby króla nawracali.

Przez cały też dzień następny, otoczony zasmuconemi twarzami i utyskiwaniami swych rówieśników, król począł żałować tego, że na wojnę przeciwko niewiernym nie wyjdzie. Widać było wahanie. Szukał jakiegoś środka, któryby dozwolił i na Węgry iść, i małżeństwa nie zawierać.

Ta wojna z niewiernymi, która krucjatą być miała, sławną na świat cały, przez Rzym pobłogosławioną, zwycięską, miała tyle dla młodych uroku!

Unikając nalegania, którego się obawiał, król Władysław wyjechał na łowy, gdyż roku tego zima się przedłużała i trzymała ziemię pod śnieżną skorupą, chociaż zbliżała się już druga niedziela postu.

Pod niebytność króla wkońcu na radzie przewagę wziął biskup Zbyszek i posłów węgierskich uspokojono, że król przyrzeczenia dotrzyma.

Powracający Władysław, pomimo spóźnionej pory, zastał matkę oczekującą na siebie. Oznajmiła mu bez przygotowania, stanowczo, iż wolą było wszystkich, zdaniem rady, aby umowa utrzymaną została.

Zmarszczony, milczący Władysław wysłuchał tego wyroku. Nie mógł się razem matce i wszystkim sprzeciwić, lecz okazał, jak był nierad postanowieniu temu.

— Moje więc szczęście i przyszłość nic tu nie ważą? — odezwał się.

Z pieszczotliwym wyrazem, głaszcząc go pod brodę, zbliżyła się matka.

— Będziesz szczęśliwym, będziesz wielkim i sławnym! — zawołała. — Szczęście królów jest w ich potędze... i w błogosławieństwie ludów, a ciebie nie jeden naród, ale cały świat chrześcijański wielbić i wynosić będzie, bo mu poświęcisz siebie. Co dla ciebie znaczy ta kobieta!

Ruszyła ramionami.

Nazajutrz powtórzyło się to samo z biskupem

i przedniejszymi panami rady, którzy przyszli przekonywać, prosić, błagać, aby koronę przyjął.

Władysław był piętnastoletniem dzieckiem rycerskiem. Daleko silniejszej woli charakteru człowi k uległby był może takiemu naciskowi, natarczywości, domaganiu się, prośbom i pochlebstwom. Smutny, zawstydzony własną słabością król milczał i nie sprzeciwiał się już.

Głoszono, że przystał na wszystko. Wieść ta, rozpuszczona po mieście, złamała tych, którzy chcieli popierać Władysława.

Jeden Jan z Tęczyna sam przyszedł do króla ze współczuciem i żalem... a wychodząc od niego, spotkawszy biskupa Oleśnickiego, rzekł mu:

— Stanie się, jakoście chcieli, pasterzu, lecz pomnijcie słowa moje: bogdajbyście kiedyś nie żałowali tego, żeście gałązkę jagiellońskiego szczepu najdroższą z ziemi, na której rosnąć i krzewić się była powinna, wyrwali!

Nazajutrz była to druga niedziela postu; jakby chciano postanowienie uczynić nieodwołalnem biskup w katedrze na Wawelu zarządził uroczyste dziękczynne nabożeństwo. Biskup Jan z Szegedynu, wszyscy posłowie węgierscy, mnogi tłum ciekawością ściągniętych ludzi napełnił świątynię. Król młody, królewicz Kazimierz, królowa matka, dwór świetny i liczny znajdowali się, przytomnością swą uświęcając ogłoszone korony przyjęcie.

Z kościoła wszyscy wprost szli do sali białej na zamek, gdzie król na tronie miał przyjmować węgierskich posłów. Wcisnęli się do niej i ciekawi Turcy, oczekujący jeszcze na odpowiedź dla pana swego. Wymowniejszej nad to, co ujrzeć mieli, dać im nie można było.

Skończywszy przemówienie do Władysława, sędziwy biskup Jan dał znak swym towarzyszom i wszyscy padli na kolana przed młodym królem, błagając, aby ich nie opuszczał. To niespodziane upokorzenie się wzruszyło króla. Powstał z tronu, blednieją c i rumieniąc się naprzemiany.

— Bóg mi świadkiem — zawołał, podnosząc oczy, — iż nie dla żądzy panowania, nie dla ziemskich widoków przyjmuję ofiarowaną mi przez was dostojność, ale dla dobra chrześcijaństwa, dla obrony wiary.

Głos mu drżał i piękna twarz młodzieńca wyrażała taki jakiś zapał rzewny a smutny, brzmiało to taką ofiarą wielką a szlachetną, że nawet królowej Sonce, stojącej zdala na podwyższeniu, łzy się w oczach zakręciły.

Była to chwila uroczysta, w której niepojętym sposobem serca się wszystkim poruszyły jakiemś przeczuciem bolesnem. W głosie króla brzmiało jakby jasnowidzenie męczeństwa i poświęcenia.

W takiem uroczystem podniesieniu ducha, pocichu opuścili wszyscy salę i po chwili dopiero wybuchnęły zapał, radość i wdzięczność Węgrów.

Biskup Szegedynu nazajutrz powtórnie po wszystkich kościołach nabożeństwa dziękczynne odprawiać polecił.

Stało się, lecz Polacy, wyjąwszy młodzieży, rwącej się do boju i chciwej przygód, teraz dopiero, gdy młodego króla postradać mieli, nie wiedzieć na jak długo, poczęli przewidywać, że ciężkiem będzie dla nich osierocenie.

Własne sprawy domowe wymagały oka gospodarza, a młody król w chwili, gdy się miał z niemi oswoić i uczyć panowania, opuszczał kraj, oddając się innemu narodowi.

Zostawała królowa, biskup i po staremu panowie małopolscy do rządzenia, żadnej nadziei, aby się co zmienić mogło. Nie zbywało na tych, którym wielkorządy wojewodów nie były do smaku, a odwołanie się do pana pożądanem. Trwać więc miało bezkrólewie owo długie... bez końca!

Młodzież tylko widziała w tem wszystkiem zręczność popisu z rycerską dzielnością, zobaczenia świata, zdobycia imienia. Pomiędzy nią panował zapał nadzwyczajny, radość, gorączka, którą Węgrowie opowia-

daniami o kraju swym, jego bogactwie i piękności, podsycali.

Król nawet, z początku smutny, dał się ożywić i temu usposobieniu, które go otaczało, pociągnąć.

Przy pierwszej jednak zręczności, spotkawszy Grzegorza z Sanoka, uczuł potrzebę wytłumaczenia się przed nim ze zmiany.

— Kochany mistrzu — rzekł łagodnie, — nie potępiaj ty mnie. Uległem, prawda, idziemy do Węgier, ale wszystko się może obrócić inaczej. Ja żenić się nie będę potrzebował i do korony jeszcze daleko!

Grzegorz nie powiedział nic, porozumieli się wejrzeniem tylko.

Wybór w podróż, której towarzyszyć mieli najprzedniejsi z panów i szlachty polskiej, pomimo przynaglania i pośpiechu, nie mógł się odbyć tak skoro, jak żądano. Każdy z panów brał z sobą poczet znaczny, wozy i czeladzie, obfity rynsztunek wojenny, a wreszcie i bez grosza ruszyć nie mógł. Rozbiegli się wszyscy po dworach, zbierać, ściągać, układać, co z sobą mieć musieli.

Królowa nastawała, ażeby orszak syna jej był jak najświetniejszy i wielkie dał pojęcie Węgrom o bogactwach i potędze Polski. Sama ona z biskupem i królem dobierała osoby, które jechać miały do Węgier.

Tymczasem spiknęła się przeciwko pośpiechowi uparta zima, a raczej zbyt powolnie przychodząca wiosna, która się to obiecywała, to dawała zimie zwyciężać. Wody rozlewały szeroko, a lody stały i trzymały się jeszcze. Po odwilżach i deszczach chwytały mrozy silne. Podróż, zwłaszcza ku Węgrom, w okolicach górzystych, strumieniami a rzekami poprzerzynanych, stawała się niepodobieństwem.

Potrzeba było czekać, a w owym czasie zabobonów, gdy wszystko uważano za znak z nieba i przestrogę, spóźniona wiosna była jakby oznajmieniem, iż król jechać nie był powinien.

Takich złych wróżb naliczono później bardzo wiele.

Wszystko zdawało się przychodzić w pomoc Władysławowi, aby go uwolnić od korony, lecz za późno.

Goniec nadbiegł z Węgier, zawiadamiając o tem, że królowa w Komornie, otoczona doradcami austrjackimi, mająca z sobą Cillego i Garę, posłów Węgrów, których do niej wysłano z Krakowa, oznajmując o Władysławie, kazała uwięzić.

Było to wypowiedzenie wojny!

Za węgierskimi posłami wślad jadący do Elżbiety Polacy, Sędziwój Ostroróg, Jan z Koniecpola, dowiedziawszy się, co tamtych spotkało, przezornie zawrócili z drogi, nic nie sprawiwszy.

Powrót ich wywołał ogromną wrzawę. Królowa, mimo, że byli to jej pomocnicy i przyjaciele, przebaczyć im tego nie mogła, że się ulękli; dowodziła, że jechać do Komorna, bądź co bądź, byli powinni i starać się przekonać królowę Elżbietę.

Znowu parę dni zapanowała niepewność. Król wahał się, dowodząc, iż wszystko składało się przeciwko podróży. Węgrowie przy swojem stali, a co dziwniejsza, biskup Zbigniew trzymał z nimi i dowodził, iż byłoby słabością i sromem ulęknąć się i nie strzymać słowa. Wprawdzie królowa Elżbieta siłą postanowiła się bronić, ale stronnictwo jej było słabszem, król prowadził z sobą wojsko. Węgrzy, którzy go na tron wynieśli, stanowili także potęgę, z którą garść zwolenników królowej mierzyć się nie mogła.

Wyprawa jednak cała, która niedawno zdawała się pochodem zwycięskim, teraz już jawnie zapowiadała walkę o koronę.

Biskup, Jan szegedyński, zapewniał jednak, że dosyć będzie Władysławowi pokazać się tylko, aby sobie wszystkich pozyskać. Toż samo powtarzała matka, a rycerstwo, otaczające króla, domagało się walki właśnie i niemal nią cieszyło.

Wiosna zawsze się jeszcze opóźniała. Od granic przychodziły wiadomości o ogromnych wód wylewach, o niemożności przedarcia się tam. Wspaniały orszak, ciężkie ładowne wozy czekać musiały.

Na zamku, w podwórcach wyglądało wszystko tak, jakby jutro miano w imię Boże wyruszyć, ale nawet królowa, niecierpliwiąca się i pożądająca, aby syn co prędzej uzyskał koronę, nie śmiała namawiać do podróży.

Wiosna nie przychodziła.

III.

Przyszła nareszcie oczekiwana wiosna, lody puszczały, wody zbiegały, odsłaniał się błękit niebios i ptactwo przylatywało z południa...

Wyprawa na Węgry, pod jakąś niedobrą wróżbą, którą czuli wszyscy, choć nikt się do tego nie przyznawał, wyruszyć miała z Nowego Sącza... Tu wszyscy na króla oczekiwać mieli, który w części dla przyjęcia posła papieskiego, w części dla niewytłumaczonego jakiegoś ociągania się, którego sam sobie nie mógł wytłumaczyć, bawił jeszcze z bratem w Krakowie.

W chwili, gdy już miał kraj opuścić, chociaż rycerska ochota ciągnęła go, żal jakiś, tęsknota i niepokój wstrzymywały.

Dwaj bracia, choć parę lat wieku ich rozdzielało, zrośli tak byli z sobą razem, nigdy się prawie nie rozstając, nawykli do jednych zabaw, wspólnego życia, że teraz na myśl rozdziału obu im łzy prawie mimowoli wilżyły oczy...

Tysiąc rzeczy mieli do powiedzenia i do polecenia sobie.

Władysławowi ani Tarnowscy ukochani, ani inni towarzysze nie mogli zastąpić brata! Kazimierz czuł się także sierotą bez niego.

Jego miano wyprawić na Litwę, w której się wszystko burzyło, gdzie go czekali zazdrośni i niechętni.

Lecz matka rozkazywała, kraj tego po nich żądał, wiedzieli zawczasu, iż ich dostojność wielka była największą niewolą.

W Sączu oczekiwała już na nich matka, która wyprzedziła Władysława, aby go tam pożegnać raz je-

szcze, biskup Zbyszek, całe grono panów, którzy mieli pozostać, i tych, co mu towarzyszyć mieli.

Z widocznem ociąganiem się Władysław ruszył z Krakowa... W progu obejrzał się na stare zamczysko... to gniazdo, w którem wzrósł; potem szedł na Wawel pomodlić, potem pięknego dnia wiosny, z małą garstką wyjechali tak smutni, jakby się dla nich młodość na progu skończyła...

Grzegorz z Sanoka towarzyszył też królowi. Miał on prawdopodobnie powrócić jeszcze do Krakowa, ale i ten jechał pogrążony w jakichś przeczuciach czarnych. U wrót zamkowych stali ludzie, pragnący raz jeszcze zobaczyć młodego króla. Tu stała i pani Frączkowa z matką...

Mistrz, jadący w orszaku, opuścił go na chwilę i zbliżył się do nich... On, im był smutniejszy, tem zawsze mniej z ludźmi dzielił się tem, co mu dolegało. Uśmiechał się.

— Spodziewam się — rzekł z udaną wesołością do kobiet, które chustki przy oczach trzymały, — że z Węgier gościńca przywiozę pięknego. Ludzie głoszą, że tam się drogie kamienie po gościńcach walają.

— Wracajcie tylko sami cali i zdrowi! — zawołała Balcerowa, córkę wyręczając, — a już gościńca od was nie żądamy.

— Bóg łaskaw! — rękę wyciągając, dodał mistrz, i skinąwszy, orszak już oddalający się napędzić musiał.

Nie był on przesądnym wcale, naówczas jednak umysły nawet tak jasno widzące, jak jego, ulegały temu powszechnemu przekonaniu, iż Opatrzność ostrzega człowieka, gdy mu grozi niebezpieczeństwo...

Rzadko tyle się razem zbiega złych wróżb, jak przed tą królewską podróżą. Nie było prawie dnia, nie było przy wyborze wypadku, któryby się nie odznaczył jaką przeszkodą, zawadą, groźbą.

Konie króla chorowały, ludzie mieli przeczucie jakieś i wymawiali się od służby, nikt nie szedł ochotnie. Smutek ciężył na wszystkich... zaledwie wyjechawszy z zamku, król z bratem postrzegł zdaleka ciągnącą na

wozie trumnę, która mu drogę przejechała. Nie uszło to baczności towarzyszów jego. Wprawdzie, wedle ludowych przekonań, trumna i pogrzeb nie rokowały nic złego, lecz wrażenie czyniły przykre. Ani król, ani Kazimierz nie rzekli słowa, udali, jakby nie widzieli... Nie śpieszono też wcale...

Pierwszego dnia zaledwie dojechawszy do Wieliczki, Władysław stanął tam i zatrzymał się.

Zapomniano relikwij, które król miał wziąć z sobą i posłano po nie do Krakowa...

Drugiego dnia nocowali w Niepołomicach, tu napędził ich komornik z relikwiarzem... Ulubiony sokół Władysława zachorzał i zostawić go musiano. Ze zwieszoną głową, z najeżonemi piórami, nie chcąc jeść, siedział, jakby czekając śmierci.

Królowi tak go żal było, że stąd wyjazd do Bochni przyśpieszył.

Czwartego dnia znaleźli się w Sączu, który podobniejszy był do wielkiego obozowiska, niż do małego miasta...

Spodziewano się jednak daleko większego zjazdu. Na zamku dowiedział się Władysław, że bardzo wielu z tych, którzy mu towarzyszyć mieli, dotąd nie przybyło. Brakło tych prawie, na których najwięcej rachował. Królowa i biskup obstawali przy tem, aby poczet był jak najświetniejszy, a ci, co mu dodać mieli blasku, właśnie dlatego, iż kosztownie sztyftowali, gotowymi na czas nie byli.

Pomimo to dwór i wojsko, które miało przekroczyć granicę, było tak świetnem, pięknem i takim duchem ożywione, że wobec rycerstwa chrześcijańskiego wszech krajów Europy narówni z niem stanąć mogło.

Co było zacofanego, uboższego, mniej wytwornie uzbrojonego, pozostawało w kraju. Kwiat i wybór wychodził z młodym panem.

Smutne było pożegnanie; król ukląkł przed matką, aby mu pobłogosławiła, uściskał brata i milczący poszedł dosiąść konia, który zwykle łagodny i spokojny, zbliżyć się do siebie nie dawał.

Wszystko to miało w uroczystej chwili znaczenie...

Niewesoła była podróż do węgierskiej granicy i Kieszmarku, gdzie na opóźnionych oczekiwać miano... Tu Szymon Rozgon, biskup jagierski, który świeżo opanował i dla młodego króla osadził Preszów, przybiegł witać w poczcie znacznym węgierskich panów.

Ten pierwszy dowód, iż wybrany miał przyjaciół, którzy go wszelkiemi siłami na tronie utrzymać postanowili, jeżeli nie dla Władysława, to dla biskupa Zbyszka i innych był wielce pocieszającym.

Grzegorz z Sanoka, który starał się odgadywać uczucia, jakie króla ożywiały, nie dostrzegł w nim ani radości, ani nawet młodzieńczego ożywienia. Jakgdyby przeczuwał, co go czekało, był ciągle pogrążony w sobie i milczący.

Dla Węgrów potrzeba się było zatrzymać w Kieszmarku dla naganiających pocztów. Przez cały ten czas młody pan, posłuszny skinieniom biskupa Zbyszka, obracał się, wychodził, mówił, co mu doradzono, ale nie dał znaku własnej woli.

Drugiego dnia wieczorem, gdy się spodziewano spóźnionych, a szczególniej marszałka Ryterskiego, którego król mieć z sobą żądał, i Mikołaja z Szarleja, niespodzianie zjawił się poczet Litwinów. Ci dniem i nocą gnali za Władysławem, aby u niego się dopraszać wysłania co najrychlejszego brata Kazimierza na Litwę.

Wyjazd ten już był postanowiony, ale Litwini: Andruszko, Dowojna i Raczko, chcieli jak najprędzej mieć księcia, aby Michał nie zasiadł się w Wilnie. Malowali oni nierozważnie, gadatliwie stan Litwy tak groźnym, rozdwojenie, wojnę domową, tak niebezpieczeństwy brzemienną, że nawet biskup Zbyszek na chwilę się czuł tem zaniepokojonym.

Grzegorz z Sanoka miał sobie wyznaczoną izbę nieopodal królewskiej i zdziwił się, późno w noc widząc Władysława, który już był suknie z siebie zrzucił, w jednym kaftanie, wchodzącego do ciasnej komory, jaką zajmował.

Chmura jeszcze widoczniejsza, niż zwykle, okrywała czoło młodego pana.

— Cóż ty na to wszystko! — odezwał się od progu. — Nieprawdaż, mistrzu Grzegorzu, że uczynilibyśmy oba lepiej, zawracając nazad do Krakowa! Zważ, proszę: na Litwie się burzy wszystko, tam potrzeba kogoś... a mnie ślą na zdobycie królestwa nowego, w którem się nie utrzymam. Wierzę w rozum i radę zawsze zdrową biskupa Zbyszka, ale w tem go nie poznaję. Kazimierz sam na Litwie, nawet z pomocą dodanych mu, trudnoby sobie poradził. Młody jest i dobry. Nasby tam dwu nie było za wiele. Mam ochotę rzucić tę całą wyprawę, a! i powrócić do Polski!

Oczy mu błysnęły.

— Do Polski! do Krakowa! Poco mam wydzierać królestwo cudze, gdy we własnem tyleby było do czynienia! — dodał król, ręce ściśnięte zwieszając.

— Miłościwy panie — rzekł, odwracając się ku niemu, Grzegorz. — Wszystko to prawda, ale przychodzi za późno. Litwie, dla Boga, żadne nie zagraża niebezpieczeństwo!

Zmarszczył się król, słuchając.

— Nie o Litwę idzie — dodał mistrz, — ale wam srodze żal Krakowa!

— A, tak! I z tem się nie taję przed tobą — rzekł Władysław porywczo, — a sądzę, że i drudzy to rozumieją. Tak jest! Tęskno mi za Krakowem! Jam tu obcy... a nawet ten tak przyjazny biskup Szymon, co zajął Preszów dla mnie, nie taił, że mnie tu bój i walka czeka. Królowa ma za sobą Niemców, cesarza, Czechów i znaczną część węgierskich magnatów.

— A znaczniejszą jeszcze — odezwał się Grzegorz — wy, miłościwy królu, mieć będziecie, bo ich pozyskacie łatwo. Cofać się za późno! Ja tak, jak wy, więcej czuję wstrętu, niż powołania do tego zdobywania Węgier, lecz wrócić zawsze czas będzie. Teraz wyprawa postanowiona, pierwsze kroki uczynione... jesteśmy już na tej ziemi. Ludzieby tłumaczyli obawą powrót do Polski.

Władysław poruszył się cały.

— Obawą! Ja się nie lękam niczego — zawołał dumnie, — oprócz, bym przeciwko sumieniu własnemu nie wykroczył!

— Miłościwy panie — szepnął Grzegorz, — idźmy tylko z temi uczuciami, jakie dziś masz, a nie uczynimy nic przeciwko sumieniowi. — Węgry oddały ci się, bo się czują zagrożone, bo Niemców nad sobą mieć nie chcą; zaufaniu ich i miłości trzeba odpowiedzieć... ofiarą.

— Wielką i gorzką ofiarą — dodał król. — Jutro rada; spodziewam się mieć za sobą ludzi, których o strach posądzić nie będzie można. Będę milczał, lecz jeśli oni postanowią, że Polsce naprzód służyć nam należy, posłucham ich z radością i... powrócę.

Na samą myśl powrotu piękna twarz króla rozjaśniła się.

— Mistrzu mój! — westchnął — a! gdyby wrócić było można!

Nie mówili więcej.

Nazajutrz biskup Zbyszek przyszedł wziąć króla na naradę. Oprócz niego znaleźli już zgromadzonych w dolnej sali: Jana z Tęczyna, krakowskiego wojewodę, Przedbora z Koniecpola, Wincentego z Szamotuł, Piotra ze Szczekocin, Rafała z Obidzewa, Hinczę z Rogowa i innych.

Dowojna ze swym towarzyszem znajdowali się tu także, wywodząc już żale nad stanem Litwy i konieczność szybkiego ratunku.

Król wszedł poważny nad wiek, milczący zajął miejsce swoje.

Zamilkli wszyscy, spodziewając się, że Zbyszek zagai to posiedzenie, gdy król po małej chwili odezwał się sam:

— Czynię was sędziami tego, co najpilniejszem mi się widzi! Sądziliśmy, że wybór był zgodny; tymczasem widzimy już coraz dobitniej, że królestwa i korony orężem dobijać się potrzeba. Nielepiejżeby było

zaczekać, aż się Węgrowie zgodzą i wybór uznają, a teraz powrócić do Polski?

Spojrzał po przytomnych, którzy jakiś czas milczeli. Marszczył się biskup krakowski.

— Zaprawdę nie będę taił — wtrącił Jan z Tęczyna, — że ja zupełnie podzielam to zdanie. Czeka nas tu wojna... a król, co przelewając krew swoich poddanych, dobijać się musi panowania...

Nie dał mu dokończyć biskup krakowski.

— Garść warchołów jest przy królowej, wszystko co zacniejsze, z nami! — zawołał. — Mam ufność w Bogu, że tak, jak Preszów się poddał, inne miasta przyniosą nam klucze. Szymon, biskup jagierski, ręczy nam za to.

Za biskupem zaczęli odzywać się inni, potakując mu i twierdząc, że cofać się byłoby sromem i zawodem uczynionym narodowi, który Polsce i królowi jej zaufał!

Jeden tylko wojewoda krakowski i Przedbór z Koniecpola z królem trzymali. Władysław, raz wypowiedziawszy myśl swoją, nie odzywał się więcej. Słuchał, dając tylko znaki, iż mimo zdania większości, on pozostawał przy swojem.

Rada przeciągała się długo; na ostatku stanowczy opór biskupa Zbyszka zamknął ją postanowieniem, że na Węgry zmuszała iść cześć i dane słowo. Sędziwój z Ostroroga, wojewoda poznański, poparł to zdanie; Jan z Tęczyna i Przedbór z Koniecpola umilkli. Król powstał, nie odzywając się już, i salę obrad opuścił.

W dzień św. Florjana, patrona Krakowa, ruszył wreszcie król z obozem i dworem z Kieszmarku, tak ponury i milczący, jak tu przybył, smutniejszy może jeszcze.

W Preszowie obchodzono uroczystość św. Stanisława. Tegoż dnia niesłychanej wielkości grad spadł na obóz królewski, co w umysłach już potrwożonych było nową przepowiednią złowrogą. Mnożyły się te oznaki.

Dwór króla, pragnąc go rozerwać, nazajutrz po drodze do Rozgonu namówił Władysława, który myślistwo i sokoły lubił, aby z nimi na kaczki zapolował.

Ten, który pierwszy tę myśl poddał, ulubiony królowi pisarz jego Jan, syn Sęka z Sennowa, puścił się zapalczywie za sokołami ku rzece... i utonął.

Nie śmiano dać o tem znać królowi, który był do niego przywiązanym, lecz i zataić nie było podobna. Musiano się zatrzymać po drodze w Wisdowie dla uroczystego pogrzebu, na którym smutniejszy, niż kiedy, król sam się znajdował.

Z każdym dniem pochód się stawał mniej wesołym, a wszyscy mimowolnie czuli się ogarnięci jakąś trwogą i niepokojem.

Jedynym, co nigdy żartować i drugich rozśmieszać nie przestawał, był znany z niewyczerpanego humoru swojego Wincenty z Szamotuł, kasztelan międzyrzecki. Mąż poważny, wieku już dojrzałego, sam nie śmiejący się nigdy, odwagi i zimnej krwi niczem nie zamąconej nigdy, kasztelan miał taki sposób wyrażania się, że najsmutniejszych pobudzał, choć chwilowo, do śmiechu. Dodawano go też królowi do boku, aby czasem rzuconem słówkiem młodego pana rozchmurzył; lecz i to niewiele pomagało.

Droga wiodła do Budy, której wprędce spodziewano się dosięgnąć, gdy nadchodzące wieści o wyprawie hr. Cilly z pocztem zbrojnym dla opanowania jej rzuciły popłoch między Węgrów, towarzyszących królowi.

Szymon, biskup jagierski, Wincenty z Szamotuł, Jan z Sienna Wojnicki, Andrzej z Tęczyna i znaczny poczet Węgrów musiał poskoczyć przodem, aby się o posiadaniu Budy zapewnić.

Nie było tak dnia prawie bez wieści jakiejś zatrważającej, przeszkody, zwłoki i powodu do zniechęcenia. Król znosił to cierpliwie, lecz wszyscy widzieli, że coraz bardziej był pogrążony w sobie i jechał, jakby zmuszony tylko.

Jeden Grzegorz z Sanoka, któremu się zwierzał, wiedział tylko, co cierpiał i jak mężnie to znosił.

Pozostali przy nim panowie węgierscy mówili ciągle i gorączkowo o mającej natychmiast nastąpić w Budzie koronacji, przekonani, iż uroczysty obrzęd króla węzłem nierozerwalnym z krajem połączy.

W wigilję Zielonych Świąt przybył Władysław do Egier i stanął na zamku. Tu, jak wszędzie po drodze, znaczny poczet magnatów wystąpił na powitanie, lecz pomimo wysiłku ich, aby okazać radość, Grzegorza z Sanoka, również jak innych uderzyła ta okoliczność, iż wszyscy byli pomieszani wielce i jakby gniewni.

Pomiędzy przybyłymi a tymi, których na zamku zastali, wszczęły się szepty jakieś i najmniej wprawne oko dostrzec mogło, że jakaś wieść zła wszystkich zatrwożyła.

Grzegorz z Sanoka domyślał się najgorszego, to jest zajęcia Budy przez hr. Cilly, gdy, nieco już z językiem Madziarów oswojony, bo miał wielką łatwość wyuczenia się każdej mowy, usłyszał coś o koronacji. Jeden z panów węgierskich, z którym się poprzyjaźnił w podróży, zaledwie się na zamku rozłożyli, wpadł do niego blady z zaciśniętemi pięściami.

— Widzę, że się coś stało znowu dla nas niepomyślnego — odezwał się Grzegorz do niego; — mówcie otwarcie, abym w potrzebie króla do tego przygotował.

Węgier ręce podniósł do góry i począł z żywością krwi swej właściwą krzyczeć na głos cały:

— Stało się, stało się to, czego nikt na świecie spodziewać się, ani przewidywać nie mógł. Słuchajcie! Ten, co opowiada, wie to od naocznego świadka! Królowa Elżbieta wykradła koronę węgierską i dwanaście niedziel zaledwie mające dziecko w Białogrodzie ukoronowała. Łotr ten, kardynał Dionizy Szeii, dopełnił obrzędu. Za dziecko przysiągł hrabia Cilly! Ale co warta koronacja ta i przysięga... zdepczemy ją nogami!

Węgier był wściekły; Grzegorz z Sanoka przyjął nowinę, myśląc o królu. Wykradzenie korony, ukoronowanie pogrobowca dozwalało Władysławowi cofnąć się.

Zawahał się, czy ma z tem iść do króla, czy zdać na innych oznajmienie mu o wypadku, gdy już komornik wołał go do niego.

Z rozpromienioną twarzą stał młody król w otwartem oknie. Był sam, gdyż wiadomość o koronacji wszystkich od niego odciągnęła. Szli rozpytywać, radzić. Polacy byli oburzeni, Węgrowie miotali się gniewem wielkim, odgrażając na sprawców, a szczególniej na Garę, któremu straż korony była powierzona.

— Mistrzu Grzegorzu! — zawołał, zobaczywszy go król, prawie wesoło. — Widzi mi się, że ten raz już nas Węgrowie puszczą, bośmy im niepotrzebni. Mają trzymiesięcznego króla ukoronowanego, a korony, gdyby mnie chcieli wieńczyć, nie dostaną, bo ją królowa wykradła!

Z dziecinną prawie radością mówił to król. Grzegorz stał, jak zwykle, dosyć chłodny.

— Dlaczego się nie cieszysz ze mną? — począł Władysław. — Jawna rzecz, że zręczna pani... do tronu mi drogę zaparła, za co jej wdzięczen jestem. Możemy teraz powracać. .

Na te słowa wszedł Jan z Tęczyna, który w Kieszmarku głosował za powrotem do Polski, mocno zarumieniony i wzruszony a gniewny.

— Nie! Powracać już nie czas. Można było odepchnąć ofiarowaną koronę, ale dziś zagrabioną musimy dla czci waszej pozyskać. Jestem przekonany z tego, com słyszał i widział — dodał Tęczyński, — że to, co w przekonaniu królowej tobie, panie, przeszkodzić miało, pomoże właśnie i przyjaciół zjedna.

— Wojewodo — odparł Władysław, — wiecie dobrze, iż ja korony tej nie pragnę.

— I możecie się jej zrzec — dodał Jan z Tęczyna, — ale dziś ją odzyskać należy.

Drzwi stały otworem; towarzyszący królowi Marczelli wszedł z twarzą zaognioną, bijąc się ręką po piersi.

— Na naszą cześć nastała królowa — zawołał, — tak, jak wprzódy, na wolność naszą nastawała! Ale

Madziarowie nie dadzą ani z niepodległości i prawa rozporządzenia swym losem, ani ze czci ogołocić. Tego, któregośmy obrali, ukoronujemy! Koronę odzyskamy, choćby Wyszehrad przyszło w perzynę i kupę gruzów obrócić!

Tuż za Marczellim szli już inni panowie węgierscy, tłumnie, gwarno, zapominając niemal o czci królowi należnej, tak byli rozpaleni gniewem i zagrzani zemstą.

Wszyscy powtarzali za nim:

— Igraszkom kobiecym nie ulegniemy! Kardynał arcybiskup odpowie nam za to! Gara głowę dać musi! Cillym sobie przewodzić nie damy!

Król w milczeniu, poważnie przyjął te wszystkie oświadczenia, ani dziękując za nie, ani objawiwszy, co myślał.

Nierychło w noc cokolwiek się na zamku uspokoiło. Władysław, który się spodziewał, że koronacja pogrobowca zmieni zdanie biskupa Zbyszka i rady, przekonał się, iż wszyscy zgodnie głosili za tem, aby nie ustępować.

Grzegorz z Sanoka, który się już był do swojej izby wycofał, dumał, jak się to wszystko skończyć może, życząc dla młodego pana, aby mógł pożądaną odzyskać swobodę. Królestwo to wkładało na niego kajdany... i dotąd poiło go tylko goryczą.

Co się działo między magnatami, którzy się zamknęli osobno i długo wrzawliwie naradzali, a potem nocą kilku z pomiędzy siebie do Budy wysłali, w obozie polskim nie wiedziano. Niewzruszenie tylko głoszono, iż we czwartek po Zielonych Świętach król musi odprawić uroczysty wjazd do Budy...

Z Grzegorzem młody pan unikał rozmowy w ciągu tych dni, twarzą i postępowaniem okazując, iż ulega konieczności, nie zmieniając zdania swego. W oczach malowało się znużenie, obrażona duma i niecierpliwość...

Zapowiedziany wjazd uroczysty nie nastąpił wprzódy, aż w sobotę, w wigilję Św. Trójcy, gdyż z palatynem Hedrewarą potrzeba się było jeszcze o wydanie zamku

układać. Oczekiwał król na to do soboty i dnia tego dopiero statkami wraz ze dworem swoim popłynął Dunajem do Budy.

Na Sykańskiej górze czekały na niego konie i ludzie, przodem wysłani.

Miasto całe wysypało się na przyjęcie wybranego i chwila ta mogła choć w części nagrodzić wszystko, co Władysław doznał w tej nużącej podróży. Zakony, duchowieństwo, mieszczanie, chorągwie kościołów i cechów wystąpiły na powitanie... Tłum niezliczony okrywał przyległe wzgórza i ulice, do zygmuntowskiego zamku wiodące.

Władysław zsiadł z konia dla ucałowania relikwij i krzyża, skinął okrzykującemu go ludowi i dosiadłszy konia znowu, jechał w ogromnym orszaku na zamek...

W bramach miasta na trzy oddziały podzieleni stali ci, których król przodem wysłał przed sobą dla zajęcia Budy. Pierwszy z tych, w pełnych zbrojach, składał się z wyboru najprzedniejszej szlachty i panów, drugi z towarzyszów ich, także uzbrojonych, z kuszami, trzeci z samej młodzieży w szyszkach, z tarczami ozdobnemi i dzirytami. Wszyscy oni, poklęknąwszy przed królem, cześć mu oddali.

Przez otwarte naoścież wrota do zamku w Budzie, wspaniale przez cesarza Zygmunta przebudowanego i ozdobionego, wjechał Władysław w orszaku panów swych i rycerstwa na przyszłą stolicę...

Z okrzyków tłumu, z nacisku magnatów węgierskich, z oznak poszanowania wnosząc, można było rokować, że młodego króla witano tu, jako pożądanego opiekuna i obrońcę, przynoszącego państwu pomoc i sojusz rycerskiej Polski. Lecz baczniejsze oko, przenikliwszy umysł, który mógł przebić powierzchowne osłony, dojrzał za niemi łatwo zmącone dno niezgłębionych, tajemniczych ciemnic.

Na wszystkich tych dumnych twarzach magnatów i wojowniczych nawet biskupich obliczach, bo tu pasterze często pod rozkazami mieli pułki i dowodzili

oddziałami, można było czytać więcej rozdrażnienia, namiętności, niepokoju, niż radości.

Grzegorz z Sanoka, który za dziekanem Lasockim jechał w orszaku króla, nie mógł się oprzeć temu wrażeniu i szepnął po polsku do niego:

— Zaprawdę, wspaniałe to i piękne, lecz za wierność tych, co nas otaczają, nie chciałbym ręczyć. W oczach wielu błyska niechęć i grozi zdrada!

— Wszyscy to widzimy z wami zarówno — odparł Lasocki pocichu — lecz ufajmy w Bogu, że większość będziemy mieli za sobą, a ta garść warchołów i przekupionych przez wdowę Albrechtową nie da nam nic uczynić złego! Wszelako na wojnę się gotować potrzeba!

Z tem uczuciem i król, i wszyscy wjechali na zamek do Budy..... Cel zdawał się osiągnięty, bo tu już natychmiast poczęto wołać o koronację, aby dopełnieniem jej okazać, że pierwsza, na pogrobowcu spełniona, żadnej wagi nie miała.

Władysław w ciągu podróży, odbytej z Krakowa do Budy, jak się Grzegorz mógł przekonać z niewielu słów, które miał czas usłyszeć od niego, cudownym niemal sposobem dojrzał i spoważniał.

Wszystkie te przeciwności i wróżby, jakie spotkał na drodze, walka, na którą był wystawiony, nie tajone mu przez biskupa trudności i zawady, jakie miał do przełamania, podziałały na niego potężnie. Z chłopięcia i młodzieńca stał się mężem. Dzieją się takie cuda, i wypadki są czasem czarodziejską różdżką, która otwiera źródło myśli...

Na smagłej, a teraz trudem wewnętrznym duszy sposępniałej twarzy króla widać było, iż pracował nad sobą, stał na straży każdego słowa swego i postępku... Tysiące też oczów wpatrywało się w te jego rysy, tajemniczo przysłonione, aby w nich wyczytać, co na przyszłość obiecywały...

Nawzajem król, mało się wywnętrzając, pragnął odgadnąć, na kogo tu mógł rachować. W tem Grzegorz z Sanoka był mu pomocą wielką, bo miał większe do-

świadczenie i daleko lepszą zręczność przysłuchania się między swoimi i obcymi, co o kim trzymano.

Po przybyciu do Budy nie było prawie chwili spoczynku, tak wiele rzeczy do spełnienia zostawało. Biskup Zbyszek wziął na siebie wprawdzie największą część spraw drażliwych, lecz i młody król obcym temu, co go tak blisko obchodziło, pozostać nie mógł.

Na zamku wrzało i kipiało... Zjeżdżali się wszyscy dostojnicy państwa, urzędnicy wielcy, biskupi, a Władysław król z własnej woli zapewnił i obstawał przy tem, aby wszystkim nieprzyjaznym sobie były wydane glejty, poręczające bezpieczeństwa osób...

Był to najlepszy sposób zbliżenia się i przejednania, chociaż zwolennicy króla, magnaci, w myśli mieli użyć go podstępnie na pozbycie się swoich przeciwników.

Wśród tego natłoku panów, którzy już od blisko pięciuset lat do świata chrześcijańskiego należeli, widać i czuć było plemię, ze wschodu przybyłe i osiadłe z krwią gorącą i obyczajem, którego kilka wieków złamać, ni poskromić nie mogło.

W tym wieku nawet, który wogóle bujniejszym był i sprzeczności a wybuchów pełnym, Madziarowie Polakom wydawali się namiętniejszymi i gorętszymi, niż oni sami byli. Co chwila wśród narad występował jakiś zuchwały wniosek, który hamować musiał Zbyszek i polscy panowie.

Panowie węgierscy zjednoczenia i uspokojenia chcieli dokonać siłą, polscy i król szczególniej, łaskawością i dobrocią. Zgadzano się pozornie, ale Węgrowie w duszy pozostawali przy swoich przekonaniach...

Wśród tych wielu przybyłych tu Taloszów, Perenych, Orszagów, Paloczów, Czakich uderzał wybitną swą osobistością jeden mąż szczególniej, już wsławiony zwycięstwy wódz, którego postać rycerska, pełna szlachetnej powagi, odznaczała się bohaterskim jakimś majestatem.

Chociaż nie ubiegał się o okazanie swojego znaczenia i wpływu, widać było, że go uznawali wszyscy. Oglądano się na niego.

Mężem tym był Jan Huniady, który młodemu królowi i panom polskim przy pierwszem spotkaniu wydał się jakby głową i wodzem wszystkich. Wiedziano w polskim obozie, iż zdanie jego przeważało przy wyborze Władysława. Przy rozprawach i układach teraźniejszych Huniady nie występował czynnie i widocznie, był przedewszystkiem żołnierzem i dowódcą, zdala tylko patrzał na zabiegi duchowieństwa i świeckich ludzi, mając ich na oku.

Jednego dnia, gdy się właśnie najgorętsze o przyszłą koronację Władysława toczyły rozprawy, Huniady z rana wszedł do króla, który oddawna zbliżyć się do niego pragnął. Z zaufaniem i współczuciem jakiemś młody pan się zbliżył do niego, domyślał się w nim jednego z tych ludzi, z którymi sercem otwartem mógł się rozmówić.

Długie milczenie ugniatało mu serce, młoda pierś z trudnością znosiła zamknięcie...

Byli sami. Grzegorz z Sanoka znajdował się opodal nieco, umyślnie usunąwszy się, aby poufnemu zbliżeniu się ich nie przeszkadzał.

Huniady przystąpił z twarzą wesołą i jasną, spodziewając się może, iż w młodym panu znajdzie niedojrzałe pacholę, które lada czem zabawiać potrzeba.

— Miłościwy panie — rzekł — spodziewam się ja i wszyscy, co się tu witamy sercem wielkiem, że i kraj nasz i ludzie podobać ci się będą. Jestże na świecie piękniejszy? A jeszczeście wszystkich jego cudów nie oglądali.

— Kraj piękny — odpowiedział Władysław smutnie i poważnie — lecz wierzajcie mi, panie, że najpiękniejszy zawsze człowiekowi ten, w którym się on urodził... Gdybyście wy nasze lasy, drzewa i rzeki widzieli!

— Węgry przecie musicie sobie, jako ojczyznę, przyswoić i ukochać — rzekł Huniady.

— Tak, ale na to czasu potrzeba — odezwał się król powolnie, — a przyznacie mi, iż dotąd więcej wygląda kraj ten, jako zdobycz, o którą wojować potrzeba, niż jako podarek. Jechałem tu w innej nadziei,

z myślami innemi, przyznam się wam szczerze. Sądziłem, że zgodnie pożądaliście mi oddać koronę, a ja o nią z wdową i sierotą walczyć jeszcze muszę!

— Wy nie, miłościwy panie — rzekł Huniady — my dla was... Niestety! Zgoda u ludzi w rodzinie, w domu rzadka, cóż dopiero w kraju takim... w takie czasy.

Westchnął, podnosząc wzrok na Władysława, który słuchał go uważnie i bacznie, tak, że do mówienia wyzywać się zdawał.

— Królów korony i dostojeństwa są ciężarem, miłościwy panie — mówił Huniady — i myśmy wiedzieli, że nie lekką korona św. Szczepana dla was będzie, ale ją okryjecie sławą i chrześcijaństwu się zasłużycie. Wdowa i sieroty nie mogą wchodzić w rachunek, gdzie o losy narodu chodzi. Cóż znaczą prawa rodu wobec praw narodu? — Nie chcieliśmy i nie chcemy panowania wdowy po Albrechcie, bo nam tam groziły frymarki niemieckie ziemią naszą, krajanie jej dla potomstwa, rozdawanie na posagi... Kto wie, jakie kalectwo dla miłości cesarzów...

My nasz kraj, da-li Bóg, rozszerzać pragniemy, ale ani piędzi jego nie damy oderwać!

Huniademu oczy czarne zaświeciły, podniósł głowę.

— Wybraliśmy was, miłościwy panie, jako młodego rycerza krwi dzielnej, bo nam i dłoni młodej i serca potrzeba, a w królu wodza i żołnierza... Poganie leją się z Azji na kraje nasze i sąsiednie; my murem tu stać musimy, aby krzyża nie obalili i Europy nie obrócili w perzynę.

Nie skarżcież się, miły panie — dodał — bośmy was do wielkiego i sławnego dzieła powołali. Co znaczy płacz niewieści i pisk dziecięcy, gdy Chrystus woła na nas: brońcie znamienia mojego! Musimy być głusi...

— Miły panie — odparł Władysław — tem, prawda, serceście mi rozgrzali, ale niemniej jam tu przywłaszczycielem, dopóki wy nie jesteście zgodni, i nie królem — ale najeźdźcą, dopóki pół Węgier przy królowej stać będzie.

— Nie potrwa opór — przerwał Huniady. — Za koronację pogrobowca i kardynał Dionizy, i kroacki ban, który korony strzec był powinien, odpowiedzą. Ukoronujemy was i wszystko się skończy, gdy my złożymy przysięgę wam, a wy nam.

Władysław pozostał milczącym chwilę.

— Wspomnieliście — rzekł ciszej — o odpowiedzialności, do której pociągnąć chcecie arcybiskupa i bana; proszę was, jako o pierwszą mojej woli oznakę, abym mógł wszystkim przebaczyć...

Huniady, jakby te słowa odkryły mu nową stronę charakteru młodego pana, zmierzył go oczyma.

— Piękną jest łaskawość — rzekł zimno, — lecz wierzajcie mi i pomnijcie to, rodzi ona niewdzięczników, uzuchwala nieprzyjaciół, odwleka koniec. Surowym być musicie i my także, mniej ofiar padnie. Pobłażanie rozplenia złych!

Mówiąc to, spoglądał spokojnie, lecz Władysław mógł poznać, iż mąż ten nieustraszonej odwagi był zarazem człowiekiem dobrowolnie i z przekonania nielitościwym.

— Zostawcie nam — dodał Huniady — rozprawienie się z tymi, którzy się sprzeniewierzyli krajowi.

Rumieniec oblał twarz śniadą Jagiełłowego syna.

— Poleje się-li krew — rzekł z siłą wielką — ja korony nią skalanej na skroń moją nie włożę!

To pierwsze zbliżenie się do najdzielniejszego z wodzów węgierskich było początkiem stosunków, które wprędce poufalszy przybrały charakter. Król znalazł w nim doradcę i pomocnika, choć mu się mężnie sprzeciwiał, budził wiarę w siebie i poszanowanie.

Jeszcze narady o koronację przyszłą nie były skończone, gdy nadbiegła wieść o wzięciu Jawryna i pojmaniu Fryderyka hr. Cilly, wuja królowej, którego w krzakach na wyspie wśród Dunaju zbiegłego pochwycono.

Prawie razem z gońcem, który oznajmił o tem, przyprowadzony został do Budy i sam jeniec skrępowany.

Węgrzy z radosną wieścią o tem przybiegli do Wła-

dysława i sądzili, iż się on też ucieszy pojmaniem jednego z najczynniejszych pomocników królowej, lecz król cznajmienie to przyjął milcząco, chmurno i wejrzeniem, rzuconem na przytomnego Grzegorza z Sanoka, okazał tylko, iż mu to przyczyniło frasunku.

Odgrażano się przeciw hr. Cilly, jako zdrajcy.

Nim pierwsza wrzawa, tym wypadkiem obudzona, ustała, Władysław wydał rozkaz, aby przyprowadzono do niego więźnia do wielkiej dolnej sali zamkowej.

Hr. Cilly był tak przelękły i niepewien losu, jaki go czeka, że we drzwiach, idąc, zachwiał się, o mało nie padłszy. Dumna jego twarz, ogorzała, okryta pyłem, zmęczone oczy, poszarpane suknie, skrępowane wtył ręce, cała postać pańska, a nielitośnie przez żołdactwo sponiewierana, obudzała litość. Ludzie, którzy go prowadzili, gdy się zachwiał, zmusili paść na kolana przed królem, lecz dumny hrabia podniósł się prędko sił ostatkiem.

Król, poruszony, pośpieszył mu na pomoc i podźwignął.

Cilly, któremu ten dowód niespodziewany sympatji trochę wlał nadziei, niezrozumiałemi kilku słowami powitał króla, mierząc go oczyma, w których razem nienawiść, trwoga i zdumienie się malowało.

Król stał przy nim i naprzód dał rozkaz, ażeby go rozwiązano.

Wszyscy oczekiwali odezwania się Władysława, a w twarzach Węgrów pewien niepokój widać było.

Władysław począł łagodnie:

— Bracie i przyjacielu — rzekł — nie zasłużyłem na to, abyście nieprzyjacielem mi się okazali. To, co cierpicie dziś, nie jest moją winą, ale waszą. Na wybór mój wyście sami zezwolili, położyliście na nim pieczęć własną i złamaliście słowo... Waszej radzie królowa i ja zawdzięczamy wojnę.

Wiecie najlepiej sami, żem ja pierwszy nie pożądał, ani się o królestwo ubiegał. Na wasze naleganie przybyłem tu, a jeśli nie zgodzicie się na wybór mój, w każdej chwili gotów jestem do mojego królestwa powrócić.

Cilly powiódł ręką po czole, chciał coś mówić, ale głosu dobyć nie mógł. Słowa króla odbiły się tylko przykro na przytomnych Węgrach, którzy spojrzeli po sobie. Pierwszy to raz tak głośno i stanowczo mówił o opuszczeniu Węgier i powrocie do Polski. Czuć było, że nie wyrzekł tego lekkomyślnie i napróżno.

Cilly, gdyby był chciał i mógł, nie znalazłby środków tłumaczenia się. Po chwili król, odstąpiwszy kilka kroków, rozkazał swoim Polakom odprowadzić go do izby, w której oni na straży pozostać mieli.

— Chcę — rzekł do Hinczy z Rogowa — abyście z więźniem obchodzili się, jak jego dostojność wymaga; krzywdy mu nie czyńcie, los mu ją już wyrządził.

Węgrzy nalegali o kajdany, aby z pomocą przyjaciół, jacy się w Budzie znaleźć mogli, nie uszedł, król nie dozwolił na nie.

Narady, dosyć burzliwe ciągle, z różnym skutkiem przeciągnęły się do św. Piotra i Pawła. Wygodniejszem znajdowano odbywać je w klasztorze św. Jana u braci św. Franciszka w wielkim ich refektarzu.

Przez cały ten czas król bywał na nich przytomnym, lecz więcej słuchał, niż się odzywał. Grzegorz z Sanoka, który teraz, po śmierci Jana z Sennowa, często przy panu pisarza zastępował, śledził w nim skutków tych narad i wrażeń. Znajdował tylko zniechęcenie coraz większe.

Pytany, król poruszał ramionami i myśli swej nie tłumaczył.

Widać było jednak ze wszystkiego, że to królestwo go nie cieszyło i że nie myślał się dobijać o nie.

O powrocie do Polski mówił często ze swoimi. Biskup Zbyszek tymczasem pilno się właśnie o to starał, aby koszta, mozoły i nadzieje nie zostały stracone. Z nim król, nawykły do poszanowania i uległości, nie wchodził w spór żaden.

W dzień św. Piotra i Pawła, gdy się wszyscy znowu gromadnie zebrali, a nikt się nie spodziewał, ażeby król głos miał zabrać, zarumieniony młodzian powstał z siedzenia. Oczy wszystkich zwróciły się ku niemu.

Począł mówić. W początku gwar, który się jeszcze nie uciszył i głos słaby nie dawał usłyszeć słów króla, lecz wprędce sama ciekawość sprowadziła milczenie.

Prostemi słowy przemawiał do nich od serca, że rzucając kraj swój, spodziewał się, powołany głosy wolnemi, znaleźć zgodę, pokój i porządek na Węgrzech. Dla nich się poświęcając, opuścił Polskę i Litwę, która właśnie jego przytomności potrzebowała, będąc po śmierci Zygmunta zakłóconą. Powtórzył, że o własnym koszcie, z wielkim wysiłkiem przybył ze znacznym pocztem na głos ich i powołanie, a nie dla żądzy panowania.

— Opierałem się długo; zmuszony zostałem prośbami waszemi, nie przewidując, co mnie spotkać miało. Zastałem wasze zdania podzielone, kraj w rozterce. Proszę was i błagam, nie pomnijcie na mnie, nie uwodźcie się żadnemi względami, czyńcie, co się wam zda lepszem dla kraju. Ja, jakom przybył chętnie, tak chętnie i bez żalu ustąpię.

Taką była treść przemówienia króla, który, coraz się więcej ożywiając, sam poruszony, wszystkich też poruszył szlachetnem tem odezwaniem się, które wywołało zdumienie.

W słuchaczach widać było szczere i serdeczne współczucie dla tego młodzieńca, który korony gotów się był wyrzec dla sumienia.

Wszyscy podzielili się na gromadki, powychodzili niektórzy, widać było gorące i żywe rozprawianie i narady, i w parę godzin dopiero palatyn Hedrewar wystąpił z odpowiedzią w imieniu zgromadzonych.

Wytłumaczył, jak i dlaczego we Władysławie sobie obrali pana, dla silniejszej od pogan obrony, jak zgoda zdawała się zapewnioną, bo i wdowa po Albrechcie przystała na nią. Wkońcu wybór ten pierwszy a niezmienny dzisiejszym okrzykiem zgodnym potwierdził.

Palatyn mówił długo, gorąco, zapewniając króla o wierności, o gotowości do poświęcenia, aby koronę niepodzielną osiągnął. Ofiarowano przysięgę wierności i posłuszeństwa.

W czasie mowy palatyna ani jeden głos się nie odezwał przeciwny, owszem ciągłemi okrzykami słowa jego potwierdzano, a całe zgromadzenie podnosiło ręce i zdawało się ożywione uczuciem wdzięczności i gotowością fiary.

Król zaledwie kilku cichemi słowy podziękował, prosząc, aby nie doznał zawodu.

— W obronie i dla dobra kraju tego, nie będę szczędził trudu! — rzekł wkońcu.

Dionizy, arbybiskup strygoński, przyniesiony krzyż ucałował pierwszy na znak przysięgi ze wszystkimi towarzyszącymi mu biskupami. Po nim ślubowali wierność palatyn Gara i wszyscy inni.

Starym obyczajem pochwycono potem króla na ręce i podniesiono po trzykroć do góry, z wołaniem wielkiem wiodąc do kościoła, gdzie arcybiskup dziękczynną pieśń zanucił.

IV.

Wprzódy jeszcze, nim król na zamek powrócił, mistrz Grzegorz w towarzystwie Węgra Paloczego, z którym dobrą czasu podróży zabrał znajomość, wyszedł z kościoła, aby świeżem odetchnąć powietrzem.

— Dzięki Bogu, wszystko teraz skończone, choć długośmy na to czekali — rzekł Paloczy, który i Polaków, i młodego pana, obcując z nim dłużej, polubił bardzo. — Mistrzu Grzegorzu, myślcie teraz, abyście sobie tu gniazdo usłali takie, by po Krakowie nie tęsknić. Nie puścimy was już do Polski.

Spojrzał nań Grzegorz z Sanoka.

— Wszystko to jeszcze są słowa — odpowiedział naprzekór Paloczemu, drażniąc go. — Myślicie o koronacji, a korony nie macie; my zaś nie damy naszego pana uwieńczyć inaczej, jak tą pobłogosławioną, której królowa Elżbieta wam nie da!

Paloczy dziwną minę zrobił.

— My na to sposób znajdziemy! — rzekł zagadkowo.

— Jaki? Chyba poślecie Polaków Wyszehrad zdobywać? hę? — odparł, uśmiechając się, Grzegorz. — Razem z koroną potrzebaby zdobyć i królowę, a tej ani nasz pan, ani my dla niego sobie nie życzymy.

— I bez wyszehradzkiej znajdzie się poświęcana korona — rzekł Paloczy.

— Nie słyszałem, abyście mieli zapaśną — przerwał Grzegorz.

— Przecież widzieliście dziś na zgromadzeniu własnemi waszemi oczyma Władysława Garę, któremu straż koron powierzoną była. Mamy go w ręku, musi nam albo koronę dać, lub...

. Tu Paloczy powiódł ręką po gardle.

Grzegorz chciał w żart obrócić to, co Węgra w gniew wprawiało.

— Choćbyście Garze głowę ucięli — rzekł, — korony przez to nie odzyskacie!

— Musimy ją mieć, albo inną, którąby tej była warta — dodał Paloczy, żywemi ruchami popierając mowę swoją — bo koronacja nieuchronna, tem śpieszniej i konieczniej, ażeby pierwszą niemowlęcia Albrechtowego zniweczyć.

— Pamiętajcie tylko — począł Grzegorz z Sanoka, poważniejąc — gdyście poznali młodego pana — że korona, którąbyście krwią zmazali, lub gwałtem dla niego zdobyli, na jego czystej skroni nie spocznie. Mieliście zręczność rozumieć go wy sami; my powiedzieć możemy, że teraz go dopiero poznajemy bliżej i lepiej, bo w oczach naszych jak kwiat się rozwinął; jest to natura bohaterska, piękna, szlachetna, brzydząca się gwałtem wszelkim i przeniewierstwem. Banowi Garze daliście listy żelazne, zaręczające mu bezpieczeństwo; raczej Władysław zrzecze się korony waszej, niż dozwoli, ażeby mu tu włos spadł z głowy.

Namarszczył się Paloczy.

— Bądźcie pewni — rzekł, — że na wszystko radę znajdziemy, a koronacja rychło nastąpić musi.

Grzegorz z Sanoka poruszył ramionami i chcąc dłuższego sporu uniknąć, zamilknął.

Nazajutrz, jak Węgier przepowiedział, panowie węgierscy napadli na bana Władysława Garę, stróża korony, o sprzeniewierzenie się, i, nie pytając króla, natychmiast go uwięzić dali — za osobę jego czyniąc odpowiedzialnymi Szymona, biskupa jagierskiego, palatyna i Mikołaja z Frysztadu.

Król, zaledwie wstawszy, ubierać się począł, gdy mu Tarnowski Gratus wiadomość tę przyniósł.

Powolny w innych sprawach, gdzie o cześć jego chodziło, Władysław uniósł się wielką niecierpliwością i gniewem. Nie chciał czekać przybycia panów, którzyby mu o tem oznajmili; posłał Gratusa, aby Huniadego i kilku przedniejszych do niego natychmiast prosił.

Nie widzieli go jeszcze nigdy tak poruszonym przyboczni, do jego łagodności i dobroci nawykli.

Zaledwie Huniady z kanclerzem ukazali się w progu, gdy król żywo podszedł ku nim z brwiami ściągniętemi.

— Nie chcę wierzyć temu, co mi przyniesiono — rzekł dumnie. — Prawdali, żeście bana Władysława uwięzić kazali?

Huniady wystąpił pierwszy.

— Tak jest, miłościwy panie — odparł stanowczo i śmiało. — Ban miał powierzoną straż insygnjów królewskich, był odpowiedzialnym za nie. Wydał je, lub niedbalstwem swem dozwolił je królowej przywłaszczyć. To ułatwiło śmieszną koronację pogrobowca, a drugą koronę królowa zastawiła cesarzowi i za okup jej wojnę prowadzić będzie. Słuszna rzecz, żeby stróż za skarb odpowiadał.

— Z tego, com słyszał i wiem — rzekł król — widzę, że królowa i jej służba więcej winna, niż Gara. Ale, winien czy nie, ban ma list żelazny, za którym, słowu mojemu ufając, tu przybył; nie dozwolę go więzić i zatrzymać.

— Listy dane były, gdy wina jego nie została dowiedzioną — przerwał kanclerz. — Nic one nie znaczą!

— Słowo moje — zawołał król — droższe mi jest,

niż korona. To jedno powiedzieć wam chciałem i uroczyście oznajmić, iż, Bóg świadek, jeżeli ban nie zostanie uwolniony, ja koronować się nie chcę, nie będę i natychmiast do Polski powracam!

Młody król wyrzekł to z taką mocą, głosem podniesionym i, skończywszy, z dumą taką, cofnął się w głąb izby, dając czuć, że dłużej o tem rozprawiać nie myśli, iż Huniady i kanclerz odpowiadać nie śmieli.

Po chwili milczenia Władysław zwrócił się do Huniada.

— Bądźcie posłem moim, to ostatnie słowo.

Skinął i wszedł do sypialni.

Kanclerz z towarzyszem, nie zwlekając, zwrócili się do izby, w której obradowano, odnosząc wyrok królewski.

Do dalszych uchwał, tyczących się koronacji, król mieszać się nie chciał, bo mu wcale o przyśpieszenie jej nie chodziło. Unikał nawet dowiadywania się o nie.

Zato Grzegorz z Sanoka, który nie miał do czynienia wiele, bo go poniekąd z umysłu, niedowierzając mu i lękając się niezależnego charakteru, o który go posądzano, zastępowano przez dziekana Lasockiego — stosunki pozawiązywawszy z Węgrami, nauczywszy się już ich języka, przestając ciągle z nimi, najprędzej był o każdej czynności uwiadomionym.

Wszystko, co się tu działo, nie było mu po myśli. Żałował Władysława, przeczuwał, że mógł się stać w rękach ludzi ofiarą swego szlachetnego charakteru.

Biskup Oleśnicki zaraz po koronacji, o którą nalegał wraz z Węgrami, chciał i musiał powracać do Polski. Na swem miejscu, jako *alter ego,* zostawiał Lasockiego, a dla większego bezpieczeństwa byłby chętnie zabrał Grzegorza z Sanoka. Wszystkie śmielsze odezwania się króla, słusznie czy nie, jego wpływowi przypisywano.

Nim na dworze wiadomem było, co panowie postanowią w sprawie koronacji, Paloczy biegł już do mistrza.

— Tym razem — rzekł, siadając zdyszany — skończone wszystko, zaprawdę! Dla sprawdzenia, że korona wykradzioną została, posyłają do Wyszehradu braci Jaczków; a w miejsce tej, którą królowa sobie przywłaszczyła, mamy świętszą jeszcze i ubłogosławioną, tę, która spoczywa na głowie św. Stefana.

— Jakto? — zakrzyknął Grzegorz, łamiąc ręce. — Z grobu, ze zwłok chcecie świętokradzko porwać koronę, aby nią koronować... jakby na śmierci przepowiednię! Na Boga! Pomyślcież, godzi się to? Z grobu? z trupa?

Paloczy ruszył ramionami.

— Jest to najdroższa relikwja nasza! — zawołał — a któraż korona nie spoczywała na umarłych skroniach? Nie możemy młodemu panu dać lepszego dowodu miłości naszej, jak uznając go godnym tej korony, która na głowie apostoła Węgier czekała na niego!

— Nie potraficie przecież odjąć i jemu, i nam tej myśli, że wy go nie koroną żywych, ale umarłych uwieńczyliście, jakby był sam na śmierć przeznaczonym! — odparł Grzegorz z Sanoka, wzdychając.

— Władysław Gara jedzie z Jaczkami zdać Wyszehrad królowi — dodał Węgier — Koronacja naznaczona w Białogrodzie na dzień świętego Aleksego.

Wszystko to mniej obchodziło mistrza; w myśli jego utkwiło jedno to, że koronę z grobu brać musiano. Nie mógł się oprzeć tej smutnej wróżbie, jaką z sobą niosła, a więcej nad wszystko obawiał się, aby na królu wiadomość o tem nie zrobiła przykrego, odrażającego wrażenia. Ale temu podejmował się zapobiec biskup Zbyszek, który miał Władysławowi ukazać koronę św. Stefana, jako ubłogosławioną i błogosławieństwo przynoszącą relikwję.

Grzegorz z Sanoka wcale nie śpieszył się oznajmywać królowi, czekając raczej, aby on mu pierwszy o tem powiedział i swoje zdanie zwierzył. Zwykł był bowiem król, najczęściej gdy dzień się urzędownie skończył i wszyscy porozchodzili, powoływać do siebie mistrza i poufale z nim rozmawiać, radzić się, lub użalać.

Być może, iż poufne te, ciche rozmowy, o których komornicy Władysława wiedzieli i donosić o nich musieli, niebezpiecznemi się wydawały biskupowi Oleśnickiemu, na miejscu Grzegorza z Sanoka żądającemu widzieć Lasockiego. Tego król chętnie też słuchał i nim się posługiwał, lecz skłonności do zwierzenia mu myśli swoich nie okazywał.

Wieczorem, jak zwykle, znalazł się Grzegorz dla odczytania modlitw w sypialni królewskiej.

— Wy wszystko wiecie naprzód i prędzej, niż ja— odezwał się do niego Władysław — więc i o koronacji pewnie już wam wiadomo.

— Naznaczono ją na dzień św. Aleksego — rzekł Grzegorz — słyszałem o tem.

— Dali mi dowód czci swej niemały — dodał król; — najdroższą relikwję, koronę św. Stefana przeznaczając na ten obrzęd.

Grzegorz czekał, co król o tem powie i przekonał się, że to, co go uderzyło, owa przepowiednia grobowa, na umyśle Władysława wcale się nie odbiła. Widział tylko świętość korony. Uradował się temu prawie, iż on sam tylko doznał uczucia przykrego, które młodemu panu pobożność jego nie dozwoliła podzielać.

— Tak więc — mówił król z pewnym smutkiem — dokonać się ma to, co mi było przeznaczonem. Tyś świadkiem, żem nie pragnął brzemienia tego, nie mogłem się mu bronić. Potrafię-li ja dźwignąć je?

— Miłościwy królu — rzekł, pocieszając, Grzegorz z Sanoka — już ten pośpiech i gorąco ść, z jaką cię na tron wiodą, wróżą, że u boku twego dostoją wiernie. Zatem, w Bogu nadzieja.

Zamyślony Władysław nie odpowiedział nic; rozpoczęto wieczorne modlitwy.

Nazajutrz Gratus Tarnowski, dwaj Zawiszowie i kilku młodzieży, pragnący znużonego króla rozerwać, z rana do łowów się z nim przysposobili.

Były one rozrywką dla niego, ale nie taką namiętnością, z jaką się im ojciec oddawał. Z sokołami szczególniej Władysław jeździć lubił; a tu mu na nich nie

zbywało. Codzień prawie przynoszono je w podarkach, tak, że sokolniczych do nich nastarczyć było trudno.

Dzień się obiecywał skwarny. Konie już stały w podwórcu zamkowem, gdy dała się słyszeć wrzawa jakaś w izbach, poprzedzających królewskie. Rozeznać w niej mogli łatwo głosy krzykliwe, spór jakiś i wołanie Węgrów, stojących z Polakami u drzwi na straży.

Codzień prawie trafiało się coś podobnego, więc wagi do tego nie przywiązywano; Gratus z Tarnowa wybiegł się dowiedzieć o przyczynie sporu, i po chwili wrócił blady, a zaniemiały.

Król wstrzymał się z wyjściem, choć już rękawicę ptaszniczą miał w ręku.

— Cóż to za wrzawa? — zapytał.

— Zaprawdę, — bąknął Gratus pomieszany — nie wiem! Człek jakiś dobija się do króla, chcąc go widzieć koniecznie... straże nie puszczają. Krzyczy umyślnie, aby się dał słyszeć.

— Któż to? pokrzywdzony może? potrzebujący sprawiedliwości? — odparł król, posuwając się naprzód.

Gratus zastąpił mu drogę.

— Miłościwy panie, włóczęga jakiś. Ks. Lasocki na rozkaz wasz wspomoże go jakim datkiem, nie wychodźcie.

— Ale ja chcę go widzieć! — przerwał Władysław, marszcząc się i zlekka usuwając Tarnowskiego.

Stał w progu sali wielkiej król, gdy w drugim jej końcu wyrywający się z rąk dwom drabom mężczyzna ogorzały, silny, wielkiego wzrostu, w odzieży potarganej, z odsłonioną piersią obrosłą, krzycząc, wcisnął się, a ujrzawszy króla, rękę podniósł i wołał:

— Muszę z królem mówić! muszę!

— Puszczajcie go! — zawołał Władysław.

Nim ten rozkaz spełniono, już poza nieznanym człekiem znaleźli się niespokojni o bezpieczeństwo królewskie: Huniady, Orszag i kilku innych.

Puszczony rzucił się wprost, oczyma szukając króla. Domyślił się go z postawy i oblicza. Padł na kola-

na, lecz nie mógł mówić, bo walka ze strażą i jakieś roznamiętnienie oddech mu zatamowały.

Tymczasem Huniady i inni nadbiegający stanęli tuż.

Klęczący na ziemi obłąkanemi oczyma wodził dokoła, potem rękami począł dobywać coś z za sukni i worek skórzany, w którym brzęczało złoto, rzucił na podłogę. Podniósł ręce ku królowi i mówić począł żywo, niezrozumiale, bełkotliwie, po madziarsku.

— Oto złoto — krzyknął, — które mi dali słudzy królowej z jej rozkazu za to, abym cię zabił, panie! Tak, przysięgam na to... chciano mnie kupić, wysłano z tem... i oto przychodzę ci wyjawić! Nie będę zbójcą!

Król nie uląkł się wcale, lecz pobladł i czoło zmarszczył. Nie miał czasu odpowiedzieć, rzucić pytanie, rozmyśleć, co czynić z winowajcą, już za nim dał się słyszeć krzyk i na znak Huniada porwała się na niego straż węgierska, schwyciła, jeden za gardło go ścisnął i na rękach prawie miotającego się wynieśli.

Na rozkaz króla pobiegli zaraz Polacy, lecz Węgrzy byli tak rozjuszeni i wściekli, że niepodobna było do nich przystąpić, ani mówić z nimi.

W mgnieniu oka znikł i ten człowiek, i ci, co go porwali. Cisza zaległa w podwórcach.

Król wstrzymał się z wyjazdem. Cały dwór polski zbiegł się w jakiejś trwodze o pana swego. Stało się to w chwili, gdy o żadnem niebezpieczeństwie nie marzono nawet i nie przypuszczano.

Napróżno wyglądał Władysław, ażeby mieć jakąś wiadomość o człowieku tym i przygodzie... nikogo na zamku znaleźć nie było można do południa.

Nadchodzący biskup Zbyszek nie wiedział o niczem. Nierychło wreszcie zjawił się Huniady z tą twarzą, jaką miewał zawsze, nawet gdy wszyscy się roznamiętniali... poważną i chłodną. Przystąpił do króla z pokłonem i uprzedzając jego pytanie, rzekł spokojnie:

— Wrzawa niepotrzebna. Człowiek szalony, jak się zdaje. Skwar słoneczny przepalił mu czaszkę, — plótł od rzeczy. Niema o czem mówić.

— Cóż z nim uczyniono? — przerwał król.

— Zapewne, jako szalonego, zamkną go — dodał obojętnie Huniady.

Nic więcej dowiedzieć się już nie było można. Panowie węgierscy dali sobie słowo zapewne, iż toż samo będą wszystkim powtarzać.

Grzegorz z Sanoka, który nie był wypadkowi przytomny, dowiedział się o nim dopiero od jednego z Tarnowskich. Natychmiast poszedł na zwiady, ale Paloczego, na którego najwięcej rachował, nie znalazł. Gdy się już nad wieczorem zjawił, miał oblicze nachmurzone. Zapytania mistrza zbywał z początku, tak samo jak inni, tłumacząc przygodę szaleństwem i usiłując ją lekceważyć. Lecz Grzegorza z Sanoka niełatwo oszukać było.

— Kłamcie sobie przed królem, co chcecie — rzekł — ja wam nawet w tem dopomagać jestem gotów, ale dla siebie chcę wiedzieć prawdę.

— Kiedy pono nikt jej tu się już nie dowie — szepnął po naleganiu Paloczy. — Człowiek albo istotnie przez sługi Elżbiety przekupionym był, bo ta, co koronę dla dziecka wykradła, mogła dla niego i na zabójstwo się ważyć... albo kłamał dla zyskania nagrody.

— Przecie wkońcu pod grozą kary przyzna się — rzekł Grzegorz.

Paloczy ręką zamachnął i szepnął cicho:

— Ja tam nie byłem. Brali go na męki! brali! kleszczami go rwali, piekli!

Dokończył ruchem tylko znaczącym.

— Żyw? — zapytał Grzegorz.

— Rozszarpać go kazano — odparł Paloczy jeszcze ostrożniej i, oczy podnosząc, dodał:

— Któż ich wie? może ci, co się obawiali, aby ich nie wydał, śmierć mu przyśpieszyli!

— Zewsząd więc jeszcze otacza nas niebezpieczeństwo! — łamiąc ręce rozpaczliwie, wykrzyknął Grzegorz. — O! ten biedny młodzian nasz, poco jemu i nam było leźć w to gniazdo osie!

Utajono przed królem los, jaki spotkał winowajcę,

czy szaleńca, o którego nazwisku sami nawet Węgrowie nie wiedzieli. Pastwiono się bowiem nad nim z wściekłością taką, z takiem zapamiętaniem, że nie badając prawie, życie mu wzięto.

Tajemnicą więc na wieki okryte było to wrzekome targnięcie się na życie króla, a domysł tych, którzy przypuszczali, że nasłanego zbójcę zadławiono, aby ohydę czynu od królowej odwrócić... może nie był bez podstawy. Wpośród tych, co Władysławowi przysięgali wierność i służyli mu, znaczniejsza część potajemnie sprzyjała wdowie.

Nadszedł w ostatku dzień ten uroczysty, w którym na skroń młodzieńczą polskiego króla miano włożyć koronę św. Szczepana.

Wszystko, co otaczało Władysława w Peszcie, pociągnęło do Białogrodu. Tu naprzód wobec Jaczków i panów polskich okazano rozbitą skrzynię, z pieczęciami złamanemi, z której korona wykradzioną została. Znalazły się w niej berło, jabłko i ów podwójny krzyż, który w r. 1000 papież dozwolił nosić przed królem Węgier, gdy mu koronę, dla Bolesława polskiego przeznaczoną, oddawał.

W niewielkim kościele białogrodzkim zaledwie celniejsi panowie, dostojnicy i duchowieństwo pomieścić się mogło. Tłumy oblegały go dokoła. Arcybiskup Dionizy dopełniał obrzędu.

Szaty, w które przybrano króla, stojącego przed ołtarzem, były też same, które się od tysiącznego roku przechowywały, ze starości wytarte i zszarzane, ale starością swą samą uświęcone.

Z kościoła po nabożeństwie i obrzędzie, w którym Zbigniew Oleśnicki uczestniczył, poprowadzono w pełnym ubiorze królewskim Władysława do grobu Giejzy i Adelajdy.

Wspaniała uczta, turnieje i zabawy wśród radości powszechnej zamknęły ten dzień pamiętny.

Teraz mógł Paloczy powiedzieć w istocie przyjacielowi, że wszystko skończone zostało.

Władysław przed ołtarzem wziął ślub nierozerwany z państwem, za które wojować musiał. Był panem dwóch królestw, a biskup Zbyszek po skończonym obrzędzie, z rozrzewnieniem go witając, rzekł mu słowa, które w duszy młodej wypiętnowały się jak wyrok i przepowiednia.

— Spełniły się wróżby. Bóg ci dał potęgę. Dwakroć namaszczono skroń twoją! Apostolski krzyż niesiono przed tobą, stałeś się rycerzem Chrystusowym, obrońcą świata chrześcijańskiego na granicy, którą szczerbi miecz pogański. Walcz za wiarę w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

— Amen! — szepnął król pocichu.

Od dnia, w którym przebył granicę, aż do tej chwili wielkiej, rozstrzygającej o posłannictwie jego, Władysław rósł w oczach wszystkich i dojrzewał cudownie. Dawało się to najwięcej czuć w porównaniu z rówieśnikami, z którymi wyjechał z Polski, stojąc na jednym stopniu, czując się im bratem. Dziś i on, i oni sami codzień się przekonywali, że przerósł ich głową i sercem. Zdawał się duchem pracować nieustannie, aby odpowiedzieć temu wielkiemu przeznaczeniu wodza chrześcijańskiego, które na niego włożyły losy.

Dokoła nieustannie słyszał to powoływanie, to wzywanie na wodza, na obrońcę. Do ostatka w pokorze i obawie wzdragał się wziąć brzemię nad siły, lecz gdy raz uczuł, że wyrok był nieodwołalny, starał się dorosnąć do swych przeznaczeń.

Po dniu tym nabożeństwa i znużenia, gdy Grzegorz wszedł po wszystkich innych powitać go i winszować mu, znalazł złamanego trudem niezmiernym, ale z obliczem rozjaśnionem.

— Nie winszuj mi — rzekł — ale mi życz, abym godnym był tego, co otrzymałem... krzyża i miecza poświęconego! Teraz dopiero poczyna się życie moje, które promienieć powinno cnotą i sławą!

Podniósł ręce do góry i twarz sobie zakrył niemi.

— Grzegorzu mój — szepnął poufalej — gdybyś ty był w sercu mojem, a wiedział, co się w niem działo

dnia tego i co przesunęło się przed oczyma mojemi! Czułem, jak moc jakaś wchodziła we mnie z tych szat apostoła, z tej korony świętego, z tych modlitw i pieśni! Łzy mi na oczach stawały... a za niemi widziałem Polskę naszą, której się stałem niewiernym.

— Abyś służył sprawie Chrystusa — dodał również wzruszony Grzegorz — Chrystusa, którego ta nasza Polska jest córką!

— Kiedy ja ją zobaczę? — westchnął król. — Kiedy się dowiem, co się z nią, z matką i Kazimierzem dzieje?

— Biskup powraca do Krakowa — odezwał się Grzegorz, uspokajając — posiłki też z Polski są potrzebne, bo Turek około Białogrodu stoi. Nie opuszczą nas tutaj.

W kilka dni potem Władysław powracał do Budy, dokąd napozór pomyślna przyszła wiadomość, że królowa Elżbieta, dowiedziawszy się o koronacji, zrozpaczona, we łzach cała, przeklinając wiarołomnych Węgrów, z Presburga wyjechała do Austrji, udając się pod opiekę cesarza Fryderyka wraz z synem.

V.

Najprzewielebniejszemu panu, opiekunowi najłaskawszemu, ojcu Wincentemu, z Bożej łaski arcybiskupowi gnieździeńskiemu, Grzegorz z Sanoka, sługa najmniejszy, zdrowia i powodzenia życzy:

Buda, 10 grudnia 1442 roku.

Najmiłościwszy Panie i Ojcze!

Przez powracającego z Krakowa ojca Klemensa, który miał to szczęście miłość waszą oglądać i z nią obcować, otrzymawszy zlecenie, abym o tem, co się tu z nami, a najbardziej z królem, naszym panem najmilszym, dzieje, listownie doniósł, śpieszę rozkaz miłości waszej spełnić tem ochotniej, że tą spowiedzią jakobym zrzucił z serca ciężar i brzemię, które często je ugniata.

Aczkolwiek jest nas tu niemało swoich, a i obcych przyswojonych nie braknie, nie wszystko można i godzi się zwierzyć, bo słowo jest jako lekarstwo, które zarazem trucizną być może, gdy się je nie w porze i nie w pełni zdrowia ludziom zadaje.

Myśmy zaś tutaj, przewielebny ojcze, wszyscy bez mała chorzy, a w nieustannej gorączce trwający, i jednemu dziwić się przychodzi, że lat oto już trzy bezmała słabując, jeszcze się przy życiu trzymamy.

O pierwszych, jakieśmy tu mieli do przezwyciężenia, trudnościach nie potrzebuję donosić przewielebności waszej, albowiem one powszechnie są znane.

J. M. ks. biskup krakowski, powracając z Budy po koronacji, najlepszą z tego zdał sprawę, co oglądał, przebył i w czem brał udział wielki.

Zdawało się ludziom płytkiego umysłu, że z tem uwieńczeniem pana naszego tak uroczystem, koroną apostolską Stefana świętego, wszystko szczęśliwie dokonanem zostało. Powieźli tę wiadomość królowej pani do Sanoka ks. biskup krakowski i wojewoda. Aliści rozpoczęły się tu dopiero ze zwolennikami matki i syna nieskończone utarczki, branie i odbieranie zamków, ściąganie coraz nowych oddziałów z Czech i Niemiec, wszelkiego najemnika, który zbroje dlatego przywdziewa, aby żądzy łupiestwa i mordu zadośćuczynił.

Co król nasz pod te czasy od nieustannych zdrad ucierpiał, od tych właśnie, którym żywot i cześć łaską swą darował, od Cillych, od Gary, od innych panów węgierskich, tego opisywać nie chcę, ani mogę. I jakom ja też za posiłkami do Polski jeździć musiał i ich się dopraszać na zjeździe, o tem miłość wasza wiecie dobrze.

Z jednej strony mając oddziały najemników królowej Elżbiety, z drugiej pogan od Adrjanopola na granice i w same wnętrzności niemal państwa tego wkraczających, a okrucieństwy swemi i zuchwalstwem zagrażających, król musiał do Polski się odwoływać o ludzi, aby dwojakiemu nieprzyjacielowi podołać.

A jako ten pan nasz, przez wszystek czas upłyniony, monarszym swym obowiązkom, mimo młodego wieku, krewkości i złości ludzkiej, cudownie podołał, tego tu wszyscy świadkami są, jednogłośnie wychwalić się go nie mogąc. Jedno mu tylko Węgrowie, szczególniej wojewoda Huniady zarzuca, iż zbytnią łaskawością złych uzuchwala. Ale do srogości go nawet własne niebezpieczeństwo skłonić nie mogło, gdyż wziął to sobie za godło, iż monarchy przywilejem najdroższym jest życzliwość.

Widzieliśmy go też i widzimy, ilekroć tylko może, przebaczającego, a nie zdarzało się go nam widzieć domagającego się kary.

Ta dobroć króla, choć mu wiele serc pozyskała, nie potrafiła jednak wojny ukrócić i królowej wdowy skłonić do układów, wielekroć przedsiębranych.

Zbliska będąc przy królu ciągle, a często powiernikiem myśli jego, najlepiej poświadczyć mogę, jak go boli, iż go Węgrowie postawili w takiej ostateczności, że świat cały, nawet ojciec św. Eugenjusz IV i zachodni monarchowie Europy widzą w nim przywłaszczyciela i wydziercę korony, komu innemu należnej.

Niemal krwawemi łzami nieraz opłakiwać mu to przyszło, iż się skłonić dał do przyjęcia korony, którą mu gwałtem narzucono, a z nią razem potwarzą okryto. Stokroćby się jej był rad wyrzec, a do Polski powrócić, ale tu go związano przysięgą, i musi bronić nietylko Węgier, ale chrześcijaństwa całego, do których one są jakby wrotami dla pogan.

Na straży więc bramy tej, na której wierzchołku krzyż Chrystusowy jest utkwiony, stać musi ten wielki duchem, choć młody wiekiem pan nasz.

Walk tych z Turkami z jednej strony zwycięsko wiedzionych przez walecznego wodza Huniada, z drugiej przez ochotników naszych polskich, opisywać nie będę.

Wiadomem miłości waszej, jak ciężko dotknięty jest Kościół i cały świat chrześcijański tą rozterką, która ojca św. Eugenjusza IV, papieża, z soborem poróż-

niła i skłoniła do wyboru Feliksa V, przez co rozdwojoną została zwierzchnia nad Kościołem władza w chwili, gdy ona całą siłę swą przeciw poganom obrócić była powinna.

My tutaj, nie rozstrzygając sporu tego, aczkolwiek akademja krakowska za nowo obranym Feliksem V się oświadczyła, w Węgrzech pozostaliśmy wiernymi dawnemu panu. Z obu stron też do króla naszego i cesarza wyprawione zostały poselstwa w celu pojednania i zawarcia pokoju, aby tem skuteczniej przeciwko poganom uderzyć było można całą siłą.

Od Feliksa V wysłany biskup trydencki, patrjarcha akwilejski, książę Aleksander mazowiecki, rodzony wuj króla naszego, nie bez myśli, iż węzłem krwi z nim połączony, skuteczniej na myśl jego wpłynąć może.

Ze strony Eugenjusza IV wybór posła niemniej był trafny i szczęśliwy, padł bowiem na dawno w Polsce znanego i oswojonego ze sprawy i ludźmi naszemi najprzewielebniejszego biskupa sabińskiego, kardynała Juljana Cesarini. Komukolwiek posłowie oba bliżej znani byli i kto ich na dworze cesarskim oglądał, łacno mógł zawczasu przewidzieć, przy kim z nich będzie zwycięstwo.

Nie odmawiając ani powagi, ani innych przymiotów kardynałowi Aleksandrowi, żadną jednak miarą porównać go do biskupa sabińskiego nie było można. Wszystko, na czem zbywało akwilejskiemu patrjarsze, Cesarini posiada w najwyższym stopniu. Wielką znajomość ludzi i spraw, bystrość i żywość umysłu niezrównaną, pracowitość niezmordowaną, dar wymowy nadzwyczajny, naostatek w podobnych okolicznościach najniezbędniejszą śmiałość i wiarę w siły własne.

Już na cesarskim dworze zauważonem było, że patrjarcha akwilejski w tropy Cesariniego wchodził, sam drogi swej niepewny, co przewidywać dozwalało, że mężowi takiej rzutkości i śmiałości, a przenikliwości wielkiej podołać nie może.

Węgry też, jako stały wprzódy przy Eugenjuszu IV, tak wiernemi mu być postanowiły.

Można rzec, że przybycie biskupa sabińskiego do Budy i króla naszego nowe jakoby życie w nas wlało. Zwątpiliśmy już byli o możliwości pokoju i układów z królową Elżbietą, a wojna z nią walkę z poganami hamowała.

Cesarini, przybywszy tu, odrazu natchnął nas nadzieją, niemal pewnością tą, że królowa wdowa pojednać się musi z panem naszym, będąc do tego zniewoloną zupełnem wyczerpaniem skarbu i straconą nadzieją, aby cesarz Fryderyk miał jej i synowi być pomocnym. Zabrał on wprawdzie sierotę i koronę jego, ale zagarnął razem austrjacki dział nań przypadający i dochody z niego, a królowej wszelkiego posiłku odmawiał.

Przybywszy tu w czerwcu, kardynał Cesarini ani chwili nie stracił, namawiając do pokoju i zgody. W panu naszym znalazł do nich takie usposobienie, iż lepszego pożądać nie mógł. Do niczego bowiem od wstąpienia na tron król Władysław nie wzdychał, tylko do przejednania się z wdową Elżbietą. O ile mu niewłaściwe dla wieku małżeństwo z nią zawsze wstrętnem było, o tyle układ jakiś, bodaj z ustępstwem części swych praw, upragnionym.

Częstokroć tygodni kilka zostawał kardynał w Jawrynie, powracając do Budy z niczem, ale z umysłem niezachwianym, nigdy nadziei nie tracąc.

Przywiedziona do ostatka wdowa, widząc, jak pokój był potrzebny nietylko Władysławowi, ale światu całemu, twarde stawiała warunki, z godnością, dostojeństwem, nawet czcią pana naszego nie dające się pojednać.

Stojąc przy tem, że syn jej był dziedzicem królestwa, wymagała, aby Władysław zrzekł się tytułu królewskiego i praw z nim połączonych, rządy zaś królestwa sprawował w imieniu jej syna, aż do dojścia jego do pełnoletności, to jest lat piętnastu.

Za poniesione koszta ofiarowała wprawdzie królowa ziemię spiską i sumę na Śląsku, a gdyby syn jej zmarł przedwcześnie, następstwo po nim przyznawała Władysławowi i obie swe córki dwu braciom (Kazimierzowi młodszą) oświadczała dać w małżeństwo; ale warunki te przyjęte być nie mogły i z oburzeniem przez panów węgierskich odrzucone zostały.

Przeciągnęły się te rokowania nadaremne do miesiąca grudnia.

Tu na słuszną pochwałę pana mojego powiedzieć muszę, iż wcale latom swym i dostojeństwu niezwykłą okazał cierpliwość i krew zimną.

Nie zwykliśmy monarchów młodzieńczego wieku widywać tak powolnymi zrządzeniom losu, tak łagodnymi w przeciwnościach, tak łaskawymi dla ludzi, którzy na nich nastają i nalegają.

Nie można bowiem, uwielbiając wielką umiejętność obchodzenia się z każdym, zaprzeczyć temu, iż kardynał natarczywością swoją, argumentami króla niejako w oblężeniu trzymał przez kilka miesięcy. Tyleśmy, mogę powiedzieć śmiało, pokoju mieli, póki siedział w Jawrynie, a częstokroć dopiero wolnośmy oddychali, gdy nas opuścił, nalegać i boleć poprzestał.

Ale naówczas zastępował go dziekan Lasocki, mąż, którego nauki, powagi i wielkiego umysłu będąc czcicielem, niemniej przyznać muszę, iż królowi i nam stawał się często przez natarczywość swą nieznośnym. Albowiem nie było dnia i godziny, u stołu i przy rozmowach, abyśmy nie słyszeli zawsze tej samej pieśni, jako pokój był pożądanym dla Kościoła, chrześcijaństwa i kraju, a sławy pana naszego.

Jeżeli nam kardynał nie śpiewał tego hymnu, nucił sekwencję o tem dziekan Lasocki. Na co my pobożnym responsem chórem odpowiadaliśmy:

— Bóg daj!

A przyszło-li potem z panami węgierskimi mówić, burzyli się i wołali, że jakikolwiekby pokój był, oni go ze sromotą dla siebie i z uszczupleniem granic kraju zawierać nie mogą.

Przybył wreszcie, zmiękczywszy już królowę, kardynał, wielce uradowany tem, co przywoził, w grudniu, oznajmując, iż królowa gotową była osobiście z Władysławem widzieć się w Jawrynie i sama z nim to pojednanie układać.

Małą się to rzeczą zdala wydawać może, przecież było wielkiem nad umysłem królowej odniesionem zwycięstwem. Albowiem wiedzieć potrzeba, jakośmy tego mieli dowody, iż królowa dawniej nienawiścią i chęcią zemsty najgorętszą przeciwko panu naszemu pałała, a nietylko na oczy go przypuścić, ale imienia jego przy sobie nie dawała wspomnieć bez obelżywych dodatków. Nie obeszło się więc bez łez, bez wielkich wysiłków, bez upokorzenia, zanim umysł jej dumny i serce goryczą przepełnione skłonić się dało do tego ustępstwa.

Niektórzy z panów węgierskich ulękli się tak samo zasadzki jakiejś i zdrady, jak królowa Elżbieta, która (co się później okazało), spodziewając się przybycia Władysława, znaczną liczbą Czechów i Austrjaków zamek zawczasu obsadziła.

Węgierscy panowie zrazu króla do Jawrynu puścić nie chcieli, pomimo poręczeń kardynała i zaklęć jego. Powiadali, że po królowej, która już nie jeden raz na życie Władysława czyhała i zabójców nań nasadzała, wszystkiego się spodziewać można.

Lecz w tem król sam, mąż wielkiego zawsze serca i szlachetności takiej, że nikogo o nieszlachetność posądzać nie umiał, rozstrzygnął. Zgóry zapowiedział, że królowej ufa i z małym pocztem pojedzie tak bezpieczny, jakby do własnego domu.

Ofiara to była dla Kościoła i sprawy całego chrześcijaństwa.

Poczet królewski, dosyć liczny dla dostojeństwa jego, był jednak za małym, aby obawę jaką mógł obudzić. Na zamku też, gdy bronę podniesiono, ujrzeliśmy dwór rycerski Elżbiety i panów, którzy jej służyli, dosyć okazale przystrojonych i zbrojnych. Szło jaw-

nie o to, aby niedostatek i zubożenie nie okazało się przed obcymi.

Szliśmy wszyscy z królem przed kardynała prowadzeni po wschodach do górnej sali zamkowej.

Czekała tu na nas królowa Elżbieta, której Władysław nigdy w życiu nie widział i spotykał po raz pierwszy. Ja, com ją w podróży niegdyś z Pragi do Znaimu, jadącą przy ojcu Zygmuncie, oglądał zdala, naówczas młodą, świeżą i kwaśną, zaledwie poznać mogłem w niewieście przed czasem zwiędłej, postarzałej, cery woskowej, wychudłej, a takie cierpienie całą postawą wyrażającej, iż w sercu nieprzyjaciela nawet litość obudziłaby dla siebie. Pomimo to miała wielką powagę cesarskiej córy i resztki piękności.

Gdy król Władysław wszedł na salę i ukłon oddawszy, nieśmiało się przybliżył, wpatrzywszy się wprzódy w twarz jego, która dobroć wyrażała, jakby wewnętrznem wzruszeniem skłoniona do tego, królowa podała mu obie ręce.

Tak się odbyło pierwsze powitanie dosyć milcząco, ale pomyślnie, a kardynał, zabrawszy głos za oboje, zbliżył ich mową zręczną, do której był przygotowany.

Wpłynęło to na zachowanie się wzajemne osób do dworu należących, które niedowierzająco i ostro na siebie spoglądały, a później zaraz przyjaźniej obchodzić się z sobą zaczęły.

Tego dnia, jak sądzę, do żadnych układów nie przyszło... zaledwie do wzajemnego przybliżenia i porozumienia. Przyjmowano nas bez przepychu, ale tak, jak przystało królowej, i na niczem nie zbywało, a o pomieszczenie na zamku nie było trudno. Całe jedno skrzydło oddane nam zostało, a choć kardynał poręczał bezpieczeństwo, przecież polska straż królewska przez całą noc naprzemiany czuwała. Uważaliśmy też, że i Czesi tak samo z czat nie schodzili i nie zasypiali.

Następnych dni, rokowania bowiem nie poszły prędko ani łatwo, cokolwiek z tych zbytnich ostrożności z obu stron pofolgowano, zawsze jednak nad królem czuwać było potrzeba.

Władysław po przezwyciężeniu pierwszej obawy przy spotkaniu z królową, aby zbytniemi wyrzuty go nie trapiła, odzyskał swobodę umysłu, a jako się pragnął okazać, czem w istocie był, tak sądzę, że dopiął tego. Królowej też oblicze, pierwszego dnia chmurne i posępne, stopniowo się rozpogadzało. Można było widzieć na niem i czytać, że skutek rokowań obiecywał się pomyślnym. Jakoż ostatniego dnia, gdy na następny wyjazd był zapowiedziany, w kościele jawryńskim zawarty układ odczytano dla wiadomości wszystkich, w języku węgierskim, polskim i niemieckim.

Gdy przyszła chwila odjazdu, król, królowa, kardynał, wszyscy my, najlepszej myśli byliśmy, ciesząc się zawartym pokojem i obiecując sobie z niego przyszłość szczęśliwą.

Ja, który tak dawno przy osobie królewskiej zostawać mam czas i szczęście, wyznać muszę, żem go tak dawno wesołym, tak uradowanym, tak ożywionym nie oglądał. Miałem sobie do wyrzucenia, iż, dziwnem usposobieniem wewnętrznem, czułem się smutnym i niespokojnym, jakgdybym w tej chwili właśnie zawód jakiś i nową klęskę przeczuwał.

Nieprzewidziane są wyroki Boże. Gdyśmy Jawryn opuszczali i żegnali królowę, widzieliśmy ją wszyscy, acz znużoną, bladą i niezbyt krzepką, lecz zupełnie zresztą zdrową i na żadną dolegliwość się nie uskarżającą.

Tymczasem w cztery dni potem goniec z Jawryna nadbiegł z tą wiadomością nie do wiary, że królowa Elżbieta nagle, trzeciego dnia po wyjeździe naszym, zmarła.

Opisać miłości waszej tego przerażenia i podziwu, jaki nas opanował, ani boleści i żałości króla, rozpaczy niemal biskupa sabińskiego, którego dzieło, trud kilkumiesięczny marnie przepadły, słowy słabemi nie potrafię.

Przyczyna tego zgonu tak nagłego, jednemu Bogu Najwyższemu wiadoma, pozostanie pono na wieki za-

krytą. Było to może wyroków Opatrzności zrządzeniem, lecz po ludzku sądząc, mogło też być sprawą złych ludzi, którzy się spodziewają dla siebie korzyści z zamieszki. Sędzią nie chcę być, bom świadkiem nie był, lecz cesarzowi Fryderykowi pokój nie był na rękę, równie jak zaciężnym Czechom. Mogli się znaleźć tacy, co z Elżbietą chcieli i traktat zawarty przez nią pogrzebać.

Kardynał zaś, chociaż zmarłej żałował, chwili nie stracił. Widział jasno, że na zawarty układ wcale rachować nie było można i że natychmiast na nowo musiał rozpocząć traktowanie z cesarzem Fryderykiem, opiekunem pogrobowca, z którym daleko ciężej było dopiąć celu. Cesarz bowiem od początku przy prawach następstwa obstawał i skłonić go do zupełnego pokoju nawet kardynał się nie spodziewał, ograniczając się już tem, aby rozejm na lat kilka zabezpieczyć.

Biskupowi sabińskiemu zaprawdę, sprawę chrześcijaństwa mającemu na widoku, nie szło nigdy o interesa pana naszego, byleby wyprawę przeciwko Turkom uczynić możliwą. Coby później po odniesionych zwycięstwach nastąpić mogło, o tem nie myślał zawczasu. Ani mu też za złe brać się nie godzi, iż nasby poświęcić gotów dla obrony krzyża.

Bogu wiadomo, czy kiedy w przyszłości porachuje nam to historja, żeśmy własnego kraju zabywszy, własnej zaprzawszy się sprawy, stali na rubieżach, za krzyż Chrystusowy walcząc. A ten młody pan nasz, który wszelkich rozkoszy wieku swojego się zrzekłszy, zbroją odziany, czeka tu, rychło-li mu znak dadzą, aby szedł w bój... i trwa posłuszny na tych czatach żołnierza Chrystusowego, ażali nie godzien najwyższej chwały?

Co z nami wygnańcami, w służbie przeciw nieprzyjaciołom krzyża, stanie się i jako obróci dola nasza, jeżeli żyw będę, miłości waszej, panu mojemu najgodniejszemu. nieudolnem piórem nakreślić nie zaniedbam. Całuję nogi miłości waszej, modlitwom Jej niegodnego polecając sługę.

VI.

Grzegorz z Sanoka, jak z listu tego widzimy, nie opuszczał króla Władysława, chociaż, jak w kraju, tak i tu, nie odgrywał przy nim żadnej ważniejszej roli, bo więcej zawsze unikał jej, niż się o nią starał.

Nie był on stworzonym do tych zabiegów ruchliwych, w których trzeba było często twarzą i słowy przypochlebiać się, prawdę zakrywać, kroki mierzyć i, jak łowiec do zwierzyny, iść ostrożnie do celu.

Kunszt ten wysoko ceniąc w kardynale, biskupie sabińskim, i prawej ręce jego, dziekanie Lasockim, chętnie im z miejsca ustępował, a nawet nad umysłem Władysława dozwolił osiągnąć władzę wielką.

Wszystkich ogarniał zapał, który dokoła siebie szerzył kardynał, mając jakby od Boga zesłane natchnienie, wieszczym głosem zapowiadając, że Władysław urośnie na pierwszego bohatera swych czasów. Król tak codziennie podżegany, trwał w zapale, młodzież polska i węgierska, otaczająca go, uczucia te podzielała. Nieodstępny towarzysz, skarbnik, pisarz, mentor i pośrednik, dziekan Lasocki, wtórował wiernie kardynałowi.

Zjednany tym samym widokom, wsławiony już zwycięstwy, chciwy nowych bojów i dostojności, rycerz mężny i wódz najlepszy, Jan Huniady, ile razy przybył do Budy, prawił o walkach z niewiernymi i o możności odzyskania na nich zdobyczy, wygnania z Europy.

Zdawało się, że rozpocząć tylko potrzeba było wojnę, iść i zwyciężyć.

Kardynał Cesarini ofiarował się też z krzyżem w ręku razem ciągnąć i stawać na placu boju. Obiecywano posiłki zewsząd, przyrzekano pieniądze, ale owi pielgrzymi zbrojni z Niemiec, z Włoch i z innych krajów przybywali bardzo skąpo, a byli to po większej części odarci i licho zbrojni łotrzykowie, którzy gdzie indziej miejsca i chleba znaleźć dla siebie nie mogli.

Lata, które tu przebył nasz Grzegorz z Sanoka, wysyłany czasem do Polski, powoływany przez króla nazad, nieopuszczający go prawie, choć tak jak bezczynny, wzbogaciły jego doświadczenie, nauczyły go ludzi poznawać, lecz nie podniosły ani na stopień wyższy, ani położenie zmieniły.

Nauczył się języka węgierskiego tak, jak wprzódy niemiecki sobie zupełnie przyswoił; przyjaciół zjednał wielu, nikogo z tych, których miał, nie stracił i pozostał widzem ciekawym tego, co się dokoła zawiązywało, plątało i gotowało na przyszłość...

Kardynał Cesarini wysoko cenił uczoność jego, łacinę, podziwiał zdolności do języków, bo Grzegorz z podróży włoskiej i italskiej mowy przywiózł znajomość, lecz nie znajdując w nim tak posłusznego narzędzia, jakiego potrzebował, wcale go do niczego nie używał.

W zdaniach też różnili się często. Kardynał Cesarini jeden tylko cel miał na oku, dróg do dojścia do niego nie wybierał, dla niego wiele gotów był poświęcić, siebie zarówno, jak i młodego króla, co mu Grzegorz miał właśnie za złe. Z Grzegorzem więc miłą zabawiał się pogadanką, ale w sprawach ważnych zamykał się z Lasockim i naradzał, jego posyłał, nim się wysługiwał.

Po długich zabiegach około cesarza Fryderyka, owego pana „małego serca", który własne interesa zawsze stawił przed innemi, udało się nieznużonemu kardynałowi zawrzeć nie już pokój, ale rozejm dwuletni i to na niekorzystnych warunkach.

Było to raczej pozorne, niż rzeczywiste zabezpieczenie się od domowej wojny, bo najemne Czechy z Giskrą pozostawały na tyłach. Lecz niecierpliwość była tak wielka, tak rozdrażniona oczekiwaniem, że król ani Huniady nie wahali się natychmiast, pomimo spóźnionej pory i nadchodzącej jesieni, w listopadzie wyruszyć w pole.

Wszystko stało wpogotowiu tak, że gdy kardynał

przybył z powrotem, zawrzało w Budzie... i wnet pułki wyciągać zaczęły.

Władysław był niewypowiedzianie szczęśliwy. Wieczora tego, gdy wiadomość przyszła, powitał Grzegorza, jak zwykle, powołanego do modlitw wieczornych, okrzykiem:

— Idziemy nareszcie! idziemy!

Oczy mu pałały, drżał cały.

— Ty stoisz zimny — dodał z wyrzutem, — jakgdyby ci sława moja drogą nie była!

Mistrz podniósł ręce obie.

— Królu mój! — zawołał — także to o mnie sądzisz?

— Przebacz, mój drogi — odezwał się Władysław — ty ducha tego wojowniczego nie masz... ja czuję, żem powołany do boju! Wszystko się tak składa, abym w rękę Opatrzności i jej zrządzenie wierzył. Ona mnie woła i popycha! Stanie nas w polu, Bogu dzięki, czterdzieści tysięcy żołnierza, które łatwo podwójną siłę turecką zmóc potrafią! Huniady sam zebrał dwadzieścia pięć, mamy Czechów na żołdzie papieskim, mamy ochotników, mamy krzyżowców z Niemiec i Francji, Serbów i Włochów.

— I co najlepsza — dodał Grzegorz, — Polaków, którzy za ciebie, królu nasz, ostatnią krwi kroplę wylać są gotowi!

— Zwyciężymy! — krzyknął król z zapałem niezmiernym — a ty, mój mistrzu, nieprawdaż, wierszem łacińskim podasz potomności sprawy nasze?

— Pozwolisz więc miłość wasza — dodał Grzegorz — abym, opiewać mając, oglądał je?

— Jakto! chcesz być z nami? — dodał król radośnie.

— Jeżeli kardynał Cesarini towarzyszyć się wam nie waha, jakżebym ja, jałmużnik i spowiednik wasz, miał pana swego opuścić?

W ten sposób Grzegorz z Sanoka zaciągnął się także na tę krzyżową wyprawę i razem z innymi wdział krzyż na piersi.

Oprócz niego, prócz młodego dworu i nieodstępnych towarzyszów, szli z królem polscy panowie: podkanclerzy, Piotr ze Szczekocin, Piotr Nałęcz z Szamotuł, Paweł z Sienna Wojnicki, Jan z Tarnowa, Mikołaj z Chrząstkowa, Mikołaj Różyc z Zakrzowa, Hinka Toporczyk z Balic, Michał Lasocki, Stanisław z Pleszowa i wielu a wielu innych. Wszystko rycerstwo najdzielniejsze, którego widok sam mógł trwogę wrazić w nieprzyjaciela. Z Węgrów, co przedniejszego, brało ochotny udział w wyprawie.

Mniej pokaźne stawiły się pułki zaciężne i obce, ale te tak rozkładano, aby na oczach nie były.

Przy królu jechał z krzyżem w ręku przez krucyfera poprzedzany kardynał Cesarini, który na siebie rachował najwięcej, aby wojsko zagrzewać i nie dopuścić mu ostygnąć, dopókiby śmiertelnego nieprzyjacielowi nie zadało ciosu.

Pochód po uroczystem wyjściu z Budy, przy okrzykach, pieśniach, biciu w dzwony i modlitwach po kościołach, posuwał się w takiem ducha podniesieniu, z tak ognistym zapałem, że, gdyby w tej pierwszej chwili nieprzyjaciel stawił czoło, jak burza zniósłby go ze szczętem.

Z nadzwyczajnym pośpiechem przebywszy Dunaj, wojsko oskoczyło mury Zofji. Gród nie mógł mu się opierać, poszedł w perzynę, a zaciężni żołnierze mężnie się na rabunek rzucili. Wszystkich ożywiał ten duch, który płynął z młodego króla. Pierwszy on dodnia dosiadał konia, kładł się na spoczynek ostatni, jakby gorączką jakąś trawiony.

Nie dawał też mu ostygać kardynał, równie bojowniczego ducha. Nic się oprzeć nie mogło zwycięskim zastępom, a każda walka dodawała męstwa.

Turcy czynili zasadzki, napadali zboku, czatowali po wąwozach, lecz rzadko znaczniejszy ich oddział wychodził do walki.

Turcy nie śmieli już wyjść w pole, ale osaczali przejścia, kryli się za skałami, z wierzchołków gór zasypywali strzałami.

Wśród tych szczytów, okrytych śniegiem, po drogach zeszklonych od lodu, położyło się wojsko na krótki spoczynek w przededniu wigilji Bożego Narodzenia. Zwycięski pochód, nieustanne utarczki pomniejsze, nie dające chwili do rozmysłu ani na spoczynek, utrzymywały wojsko całe w tym stanie roznamiętnienia rycerskiego, który zaślepiał na następstwa i nie dawał widzieć niebezpieczeństwa.

Dnia tego, gdy na noc obóz rozbito w dolinie wśród białych gór, z których wiatr dął śniegiem i mrozem, król do nędznego wszedł namiotu, aby jeśli nie zdjąć, to choć zwolnić na ramionach zbroję.

Starsi z jego towarzyszów, których konie po drodze popadały, widząc brak żywności, nadchodzącą zimę, pozamykane wąwozy, w których głębinach Turcy siedzieli, pierwsi poczęli się domagać odwrotu. Dalej posuwać się nie było podobna.

Ale kardynał Cesarini, który sam chlebem suchym i roztopionym śniegiem żyć był gotów, pędził naprzód i o odwrocie mówić nie dawał.

W gołem polu, na śnieżnej zamieci, pootulani opończami, nieopodal stali, cicho radząc, rycerze polscy, starszyzna: Jan z Bobrku, Piotr Nałęcz, Paweł z Sienna i inni. Gwarzyli pocichu, ale z żywością wielką, gdy Piotr ze Szczekocin nadszedł z Grzegorzem.

— Do króla chodźmy — rzekł, przystępując, podkanclerzy.

O kilkanaście kroków był namiot Władysława z prostych wojłoków, mały i ciasny. Świeciło się w nim trochę, a przez co chwila uchylane opłotki widać było ciżbę we wnętrzu. Młodzież napełniała namiot.

Czeladź tymczasem u ognia chudego zamarzłe zagrzewała wino i resztki skostniałego od mrozu mięsa.

Władysław stał pośrodku, hełm zdjąwszy ze skroni, z włosami rozpuszczonemi, z oczyma błyszczącemi, z czołem promieniejącem. On, Tarnowscy, Zawiszowie żywą prowadzili rozmowę. Kardynał znajdował się obok w drugim namiocie na modlitwie.

Gdy starszyzna ukazała się u wnijścia, rozstąpili

się młodsi; król, zobaczywszy ich gromadą wciągających, zmarszczył się trochę.

Podkanclerzy zdjął szyszak i głos zabrał.

— Przychodzimy do miłości waszej — rzekł — z obowiązku sług wiernych. Szliśmy naprzód, nie zważając na nic, lecz dalej chyba kości położyć przyjdzie. Wojsku żywności brak, konie padają, mróz ściska; Turcy nas osaczają, a zima i śnieg dobiją. Miłościwy panie, myśmy ginąć gotowi, ale tobie, młodemu i do wielkich przeznaczonemu zwycięstw i dzieł, nie możemy dać tu zastrzęgnąć marnie. Zwycięzcami byliśmy, ale czas powracać... czas!

Wszyscy za podkanclerzym potakująco wtórowali.

Król drgnął z niecierpliwości.

— Na Boga! — zawołał. — Wracać? wracać, gdyśmy na progu zwycięstwa?

— Tego progu nie przestąpimy — rzekł podkanclerzy. — Ludzie padają jak muchy. Nie przed Turkiem ustąpimy, ale przed mrozem i śniegiem, przed głodem.

Mruczenie i kilka głosów potwierdziło słowo Piotra. Król stał widomie zafrasowany...

Wtem zboku podniosła się ścianka i kardynał w sobolowej szubce wcisnął się do namiotu. Twarz jego zbladła wyrażała przestrach, oczy niespokojnie biegały.

Król, jakby na pomoc wzywając, wejrzał ku niemu. Cesarini podnosił już ręce.

— Mówicie o odwrocie — zawołał, — teraz, w tej chwili, gdy... krok dalej, a hordy te pierzchną strwożone przed nami?... Chcecie laur zwycięski zedrzeć ze skroni waszego króla?

— Wasza przewielebność — począł powoli Paweł z Sienna — nie widzieliście, jak my, co się z wojskiem dzieje. Z głodu i zimna giniemy tu wszyscy. Koni połowa padła, w każdem obozowisku zostawiamy trupa, nie od strzał nieprzyjaciela, ale od chorób i wysiłków. Litość mieć potrzeba nad ludem tym.

Cesarini zamilkł, spuściwszy głowę.

— Próżne obawy — szepnął cicho, — opieka Boża

nad nami. Opatrzność nie da zginąć żołnierzom Chrystusowym.

Szmer dał się słyszeć między rycerstwem.

— Wasza przewielebność modlić się za nas racz; ale o wojsku dozwól nam myśleć, bo to nasza sprawa — rzekł trochę szorstko podkanclerzy. — Daliśmy dowody, że nam na męstwie nie zbywa, ale nie z obawy ustąpić chcemy, lecz z musu.

Wtem król, który słuchał zmieszany i smutny, wyciągnął ręce ku nim.

— Piotrze — odezwał się do podkanclerzego, — zaklinam cię i was na wierność waszą dla mnie, jutro wigilja do godów... jutro... tylko pozwólcie. Wiem i czuję, że wielką walkę zwycięską stoczymy.

— Potem — dodał ze smutnem westchnieniem, — jeżeli rada wojenna postanowi, pociągniemy do Budy!

Wszyscy zamilkli; skłonił się podkanclerzy.

— Niech się stanie wola wasza — rzekł spokojnie — lecz pojutrze najdalej musimy wracać, jeżeli choć część wojska miłość wasza do Budy chcesz doprowadzić.

Późną już nocą pokładli się, kto mógł, na spoczynek krótki, ledwie rozdziewając ze zbroi.

Zaledwie szarzeć poczęło, w obozie wszystko się poruszyło. Czaty na otaczających dokoła górach dostrzegły ćmy pogan, którzy obrawszy sobie stanowisko ponad wojskiem, zabierali się zasypać je strzałami. Gdzie niegdzie okrzyki, pisk i nawoływania dzikie słychać było.

Król, wdziawszy już zbroję, konia niecierpliwie dosiadał i rwał się prowadzić swoich. Oddziały ściągano, namioty składano, dowódcy ludzi gromadzili, podnoszono chorągwie.

Jeden z pierwszych, Cesarini, siedział na koniu, zdążając za królem, lecz Władysław, który naprzód z młodzieżą wyruszył, prosił go, aby przy obozie pozostał.

Równo z dniem, nie z jednej strony, ale naokół zawrzał bój straszliwy. Zdawało się, że Turcy czuli, iż

nieprzyjaciela sam pochód i zwycięstwa wysiliły, spadali więc z gór zuchwale i walczyli wściekle. Lecz brzmiała już Bogarodzica, polskie pułki z królem rzuciły się na pogan, a przed ich żelaznym zastępem kupy dzikie pierzchały.

Grzegorz z Sanoka stał za kardynałem, który, z konia nie zsiadając, modlił się i błogosławił. Patrzał na króla swojego, który, uniesiony przez konia, zniknął mu z oczów wśród tłumu wijącego się i wrzeszczącego. Strzały tureckie sypały się, jak grad, i słychać było zdala dźwięczenie ich na zbrojach.

Dwa działka małe, które król miał z sobą, ustawione zboku, nabite drobnemi kulami, wsypywanemi w nie, dały się słyszeć zdala i huk ich rozległ się po górach. Tam, gdzie padł ich strzał, motłoch pierzchał. Wślad za nim biegli konni.

Lecz zaledwie jedną kupę rozegnano, druga się z gór spuszczała, jakby w ich wnętrzach niezliczone się tłumy lęgły.

Dzień stał się wielki, biały, ale z nim razem zerwała się zamieć śnieżna, która z wąwozów buchała obłokami i zakrywała walczących.

Całe wojsko z niezmierną zajadłością walczyło z poganami. Przy wozach i w obozie zaledwie kto pozostał, bo i ciury zagrzane do boju biegły. Ponad tem śnieżnem bojowiskiem, jakby jeden krzyk ogromny, ryczało głosów tysiące.

Nadeszło południe. Na chwilę z za przelatujących obłoków ukazało się blade słońce i znikło.

Walka nie ustawała. Cesarini modlił się, upatrując króla, ale go już dojrzeć nie było można. Z wiernym orszakiem swoim znajdował się w pierwszych szeregach.

Z południa już pieszo, straciwszy konia, ranny w twarz, bo hełmu nieostrożnie uchylił, ukazał się nakuliwający Lasocki.

Grzegorz z Sanoka pośpieszył ku niemu.

— Co się z królem dzieje? — zawołał.

Zwrócił się kardynał ku niemu.

— Z królem? — odezwał się Dołęga. — Nie wiem już, ile strzał w nim uwięzło i czy go nie raniła która, alem widział, gdy pędził naprzód i rozbijał a siekł pohańców! Podkanclerzy hamował go napróżno. Ustąpić nie chciał, choć na góry te wdrapać się za nimi nie można; na karki nam spada ta szarańcza.

Cesarini pobladł. On sam nareszcie dojrzał niebezpieczeństwo i strwożył się o króla.

— Weźmijcie konia mojego — odezwał się, — a jeśli siły macie, jedźcie ku królowi, zaklnijcie go, aby powracał. Na lepsze czasy zachować mu się potrzeba.

Mrok zaczynał padać, gdy wkońcu wojsko, które na pierwsze wyniosłości cudem męstwa się spięło, zadawszy Turkom niemało ciosów, bo stoki były nimi usłane, zwolna dla nocy samej cofać się zaczęło.

Grzegorz z Sanoka upatrywał króla; Cesarini niecierpliwszy jeszcze wyjechał naprzeciw niemu. Na górach widać było uchodzące Turków gromady, kryjące się w wąwozach i na płaszczyznach śnieżnych leżące pomostem trupy. Powracające pułki nuciły pieśń zwycięską, którą wiatr, zrywając, roznosił. Górą niebiosa z za białych obsłon, wieczornym lazurem przyćmionych, zapowiadały nocne wypogodzenie i mróz.

Gwiazdy, co dnia tego w Polsce uroczystą odmówiły wieczerzę z chrześcijańskim obyczajem łamania się poświęconym chlebem, tu świeciły powracającym z boju wygłodzonym, rannym, znużonym, ale rozpromienionym zwycięstwem.

Podkanclerzy i ci wszyscy, co wczoraj domagali się powrotu, dnia tego dokazali cudów, wojsko, oprócz zaciężnych papieskich żołnierzy i cudzoziemców, do zimna nie przywykłych, skostniałych, biło się bohatersko. Król wracał ranny w rękę, mnóstwem strzał wśród dnia rażony, z których żadna zbroi jego i koszuli nie przebiła, oprócz jednej.

Rana ta, nieznacząca, tocząca się z niej krew radowała młodzieńca. Spoglądał na nią z dumą, pokazywał ją szczęśliwy. Była to krew za wiarę wylana!

Z podniesionym hełmem jechał teraz, śmiejąc się i żywo z Tarnowskimi rozmawiając, tak jak niegdyś na krużgankach zamku krakowskiego swawoląc z sobą, drażnili się wzajemnie.

Ponad głowami ich powiewały górą podziurawione od strzał chorągwie św. Wacława, Jerzego i królewska. Starsi rycerze jechali poważni i zadumani. Mieli słowo króla, że to była bitwa ostatnia. Dalej posuwać się nie było podobna. Przewidywali jednak, iż upojenie bojem dnia tego odwrót utrudni.

Podkanclerzy naradzał się ze swymi. Postanowiono, jakby wczorajszy rozkaz króla spełniając, gotować się do rozwinięcia obozu.

Z wesołą twarzą Władysław powitał mistrza Grzegorza, ukazując mu ranę swą, pogiętą zbroję i cały pęk strzał, które wiózł giermek, wyjąwszy je uwięzle w królewskim rynsztunku.

— Bogu najwyższemu dzięki, dzień mieliśmy dobry i szczęśliwy! — zawołał król, wstępując do namiotu z Grzegorzem.

— Miłościwy panie — odezwał się mistrz śmiało — Bóg pobłogosławił pobożnemu orężowi waszemu, ale to ostatni dzień boju. Mamy zięcia Amuratowego w niewoli, poległ Begler-bey Rumelji, Turków padło dosyć, grodów i zamków obrócono w perzynę wiele, chorągwi nabrano tyle, że niemi sklepienie kościoła w Budzie zawiesić będzie można. Czas powracać!

Władysław odwrócił się smutny. Cesarini, który już był może dnia dzisiejszego doświadczeniem nawrócony, milczał.

Wkrótce potem nadeszli wodzowie węgierscy i polska starszyzna. Wszyscy zgodnie nalegali, aby się dalej poza ten wąwóz Isladi nie posuwać.

Ludzi chorych, koni rannych było bezliku, część wozów dalej iść już nie mogła, żywność była wyczerpana. Król, choćby z Cesarinim może chciał zwyciężyć przeszkody i choć w zmniejszonej garści naprzód się posuwać, nie mógł iść przeciwko zdaniu wszystkich.

Nazajutrz więc, w sam dzień godów, po odprawionych pasterkach pod namiotami, do których się cisnęło rycerstwo, zaczęto robić przygotowania do podróży.

Wstąpiła otucha we wszystkie serca na tę wiadomość, że rozkazy dano do zwijania obozów i odwrotu.

Wczorajsi wojownicy, Turcy, zasaczeni po górach, spoglądali z nich na te przygotowania, nie rozumiejąc, co znaczyły.

Król spoczął przecież dnia tego. Lekką ranę przewiązano i zalano balsamem, który miał z sobą Cesarini. Resztki zapasów jadła zastawiono pod namiotami dla rycerstwa, lecz ta uczta na pobojowisku była prawdziwie rycerską i mniszą i zaledwie głód doskwierający zaspokoić mogła.

Drugiego dnia godów pułki ruszyły z wąwozów, wyciągając nie bez ostrożności, gdyż przewidzieć było można, że Turcy z zasadzek wypadać będą i próbować, czy znużony nieprzyjaciel, który się cofał, nie postradał męstwa i siły.

Zaraz też drugiego dnia pogaństwo, ściągnąwszy się do kupy, rzuciło się z wrzaskiem zwykłym na tyły i tabory, sądząc, że łatwo uchodzących i zmęczonych pokona.

Spalenie wozów, pozabijane konie, krwawa bitwa ostatnia kazały się domyślać, że wojsko słabem się czuło.

Zaledwie król usłyszał pisk dziczy i znany świst a szelest strzał, nic go utrzymać nie mogło. On, jego młodzież, starszyzna polska, inne też pułki zwróciły się ku nieprzyjacielowi z taką gotowością do boju i zapałem, że Turcy zmieszani, zaledwie ujrzawszy ich, tył podawać zaczęli.

Władysław z młodzieńczem zuchwalstwem puścił się w pogoń za nimi i ze swoimi pięciuset Polakami, składającymi jego straż przyboczną, wbił się klinem w pośrodek tego pogaństwa.

Można się było obawiać, ażeby go nie osaczono, lecz taka była obawa chorągwi tej i tego hufca zwy-

cięskiego, iż Turcy w wąwozy i parowy cisnęli się i, uciekając, wkrótce zniknęli.

Króla podkanclerzy, konia mu za cugle pochwyciwszy, ledwie mógł powstrzymać, aby dalej się nie zapuszczał, gdyż zasadzka zdradliwa grozić mogła.

Tak się dokonała ta pierwsza wyprawa zwycięska, która imię Władysława szeroko po świecie roznieść miała.

Turcy, jeżeli nie całkowicie pokonani, to przerażeni zostali. Stracili oni ludzi i chorągwi mnóstwo, a straty ich były nieskończenie większe, niż wojska chrześcijańskiego, bo lud był gorzej zbrojny i wojował bezładnie, siebie nie oszczędzając, przez dowódców też nie szczędzony.

Kardynał wysłał przodem gońców, wyprawiono listy głoszące, że wojsko laurami okryte powraca. Nim ono do Budy dociągnąć mogło, już i tu, i wszędzie, gdzie wieść doszła radosna, sposobiono się króla i kardynała przyjmować, jak triumfatorów.

Polacy też, którzy dali niemałe dowody dzielności, przyznawali sobie słusznie wielką część w tem zwycięstwie, a większą jeszcze męstwu i rycerskiemu duchowi młodego króla. Od króla szedł tedy zapał, jego słowo i przykład zagrzewały.

Budziło to zazdrość Węgrów. Oni doświadczeniu, rozumowi i kierunkowi swojego wodza, Huniada, gotowi byli więcej jeszcze przypisywać i w powrocie spory się o to wszczynały niemałe, chociaż sam król młody oddawał swojemu pomocnikowi sprawiedliwość, a zasługi mu nie odejmował.

Huniady w istocie, znając kraje te i Turków lepiej daleko, był niezbędnym, lecz naczelnictwo w boju wszędzie przy królu zostawało.

Z pewnością też i kardynał Cesarini rościł prawa do triumfu, do którego zagrzewał, chociaż posiłki, przez niego przywiezione, najmniej się na tej wojnie odznaczyły.

Przez kilka dni musiało wojsko spoczywać w Bia-

łogrodzie, dopókiby się oddziały rozproszone i opóźnione nie pościągały.

W Budzie przygotowywano się na uroczyste, świetne przyjęcie zwycięzców. Dzień to był wielki, jeden z tych, które się w pamięci żywych wrażają na zawsze i przechodzą do potomności na kartkach dziejów. Rycerstwo przybrało się w szaty i zbroje najświetniejsze, wozy z łupami, chorągwie zdobyte szły za niem. Król z pokorą chrześcijanina obyczajem starodawnym, szedł pieszo wprost do kościoła Panny Marji, aby tam na ołtarzu złożyć trofea swoje.

Duchowieństwo, mieszczanie, cechy, chorągwie, przy biciu dzwonów wystąpiły na spotkanie. Obok króla szedł z krzyżem Cesarini, współwojownik i zwycięzca.

Lud witał okrzykami radosnemi, które wprędce aż na krańcach Europy odbić się miały.

Jak Jagiełło chorągwie krzyżackie na Wawelu, tak syn jego tureckie zawiesił u Panny Marji w Budzie, oprócz tego na pamiątkę dzielnych swych towarzyszów broni polskich i węgierskich, rozkazał odmalować dwanaście herbów polskich i węgierskich. Umieszczono pomiędzy niemi herb, kardynalskim kapeluszem okryty, Cesariniego i celniejszych krzyżowców.

Grzegorz z Sanoka, niemy świadek tej wyprawy, powracał z niej szczęśliwy do pana swojego, lecz przewidując wcześnie, że zwycięstwo to upoi i oślepi, i przywiąże króla do tego teatru wojny, na którym pierwsze swe zdobył laury.

Listy, które odbierał z Polski, przybywający z niej Polacy, wiadomości, które tu przynoszono, dla mistrza Grzegorza czyniły powrót Władysława do kraju pilnym i koniecznym.

Lecz polska i jej sprawy malały i nikły, ćmione interesem chrześcijaństwa. Co znaczyło owo wołanie szlachty, zgromadzonej na obrady w Sieradzu lub Korczynie, gdy głos Eugenjusza IV i Paleologa je głuszył?

Na naleganie mistrza odpowiadano niecierpliwie, że biskup Zbyszek i wielkorządcy starczą w Polsce i Litwie, że Kazimierz zastąpi brata w Wilnie.

Tymczasem kardynał Cesarini, którego pragnienie zawojowania pogan wyprawa ta więcej wzmogła, niż zaspokoiła, umiał z właściwą sobie zręcznością wypotrzebować triumf ten, jako bodziec do nowej walki.

W umysłach zagrzanych jedna myśl się powtarzała, przechodziła z ust do ust, stawała się hasłem:

— Teraz chwila nadeszła, która złamie potęgę turecką! Na pogan! na pogan!

Pewność zwycięstwa każdy nosił w piersi.

Jeżeli w tak nieszczęśliwych warunkach, zimą, z garścią niewielką otrzymano tyle zwycięstw, cóż dopiero gdy z całej Europy przybędą posiłki, gdy się najdzielniejsze rycerstwo skupi pod chorągwie młodego bohatera!

Cesarini listy pisał i rozsyłał, nawołując.

Z ciasnej komórki swej patrzał na to i przysłuchiwał się wszystkiemu mistrz Grzegorz, a że widział jasno i chłodno, wiele pięknych widm, które w oczach innych takim jaśniały urokiem, dla niego wyglądały szaro i smutno.

Często o to walki staczał z dziekanem Lasockim, którego kardynał sobie całkiem zniewolił i pozyskał.

Zapomniano, że Władysław był zarazem królem Polski. Grzegorz, ile razy był z nim sam na sam, miał sobie za obowiązek mu to przypominać. Po takiej cichej z nim rozmowie król tęsknił znowu, niepokoił się, nieśmiało wnosił przed kardynałem, że radby, choć na krótki czas, jechać do kraju, który przytomności jego wymaga.

Mozolnie przygotowany dnia jednego grunt nazajutrz, jak burza, Cesarini i ks. Lasocki pustoszyli.

Domyślano się wkońcu, że wpływ jakiś działa potajemnie i sprowadza te zwroty w usposobieniach.

Przez cały dzień król był pod wrażeniem rozmów o wojnie i marzeń o przyszłej olbrzymiej wyprawie, której pożądał. Zgóry układano plany. Wprost ude-

rzyć na Adrjanopol i pogan do morza wrzucić, zniszczyć, wytępić. Sile krzyża, potędze męstwa bohaterskiego nic oprzeć się nie mogło. Wyobraźnia przedstawiała już chorągwie z krzyżem powiewające na szczytach wież, nad któremi księżyc się unosił. Władysław widział się pogromcą tej nawały, która zagrażała Europie.

Wszystko znikało z oczów w blasku tych świetnych marzeń, któremi karmił Cesarini.

Wieczorem, rozgrzany jeszcze, powracał król do swej sypialni, gdzie znajdował mistrza Grzegorza z jego książeczką modlitw, z twarzą wypogodzoną, spokojną i smutną.

Naówczas wszczynała się zawsze rozmowa o Polsce, o Litwie, o tem wołaniu i wzywaniu, wyciąganiu rąk do króla.

Z Polski tej dochodziły głosy:

— Myśmy ci pierwsi dali koronę, tyś nam winien opiekę... Opuściłeś nas...

Grzegorz z Sanoka stawał się tłumaczem miłości, tęsknic ludu, jego próśb i przynaglań. Władysław słuchał i w duszy budziło się niezgasłe, ale przyćmione przywiązanie do własnej ziemi. Czuł, że tam powoływał go święty obowiązek.

Tu otaczała go wrzawa, sława, pochlebstwa, ale tam ręce wyciągała Polska, matka, brat, Litwa i utracone prowincje. Książęta mazowieccy, Litwa, Ślązacy, najazdy, zatargi... czekały na króla.

Ponawiane przypomnienia obowiązków dla Polski uczyniły wreszcie na Władysławie wrażenie silne. Otwarcie począł mówić kardynałowi, iż radby pojechać do kraju. Cesarini uląkł się. Groziło to ostygnięciem, któż wie? może zupełną zmianą usposobienia?

Huniady na wodza nie starczył. Europa nie znała go tak dobrze, jak króla, opromienionego urokiem bohaterskiej młodości.

Puścić go z rąk, z oczów, znaczyło tyle, co stracić.

Sama zwłoka groźną się zdawała. Turek przerażony mógł ściągnąć z Azji siły nowe.

W izbach królewskich kardynał dnia jednego spotkał się z unikającym go Grzegorzem z Sanoka i przywitał z tą słodyczą, która zawsze przepowiadała u niego jakąś walkę i potrzebę pozyskania człowieka.

— Wśród tej wrzawy wojennej — odezwał się do niego kardynał z uśmiechem, — wy, kochany poeto, musicie się tu nader czuć obarczonym... Cześć Muz potrzebuje spokoju...

— Pożegnałem też te boginie — odparł Grzegorz, — i służę Marsowi, razem z przewielebnością waszą.

— Tak, o wszystkiem musimy zapomnieć, pomnąc tylko na tę świętą wojnę — dodał Cesarini.

I, chwilkę pomilczawszy, rzekł znacząco:

— Król, który dotąd zapałem nam wszystkim dawał przykład, od niejakiego czasu zdaje się tęsknić do Polski. Uważaliście to?

— Tak i znajduję to słusznem a naturalnem — odezwał się Grzegorz. — Dał już dowody, że do ofiar jest gotów, ale jako król polski ma obowiązki, których zaniedbywać nie może. Wiąże go tam przysięga.

— Wyżej wszystkich stoi przysięga na chrzcie Krzyżowi Pańskiemu — zawołał kardynał gorąco.

— Lecz obie się godzą z sobą — mówił spokojnie mistrz.

Zmarszczony i chmurny Cesarini zdawał się tracić cierpliwość.

— Posądzam was, kochanv poeto, że wy to w królu budzicie tę niewczesną tęsknotę do kraju.

— Nie wstydziłbym się tego i przyznał, gdybym to czynił — rzekł Grzegorz, — lecz młody król nie potrzebuje, aby mu jego obowiązki przypominano.

Wtem Cesarini za rękę go pochwycił.

— Ojcze kochany — zawołał. — Wszystko na świecie jest względne, obowiązki mają hierarchję i stopnie. Dla najwyższych trzeba podrzędne umieć poświęcić. Nie wątpię o miłości waszej dla pana, ale służycie mu źle, chcąc go uczynić maleńkim polskim królem, gdy my go pragniemy mieć wielkim bohaterem chrze-

ścijaństwa. Polska się nim pochlubić będzie mogła przed narodami!

Grzegorz z Sanoka skłonił głowę.

— Pozwolisz mi, przewielebność wasza, przypomnieć sobie, że już jedna królowa polska, Jadwiga, poświęciła się dla Kościoła i ochrzciła całą Litwę białą ręką swoją!

— Kościół pewnie jej tej zasługi nie zapomni — odparł lekceważąco kardynał. — Dziś chrześcijański świat wyrządza wam tę cześć, że waszego króla wybiera na wodza, a wy...

— A my — przerwał Grzegorz, — skłaniamy głowy! Ale wolno nam rzec, że czynim ofiarę.

Ułagodzony znowu, przysunął się do mistrza Cesarini i, poufale rękę mu kładąc na ramieniu, szepnął na ucho:

— Nie psujcie mi króla, proszę, nie ostudzajcie!

Grzegorz milcząco skłonił głowę, a kardynał, już spostrzegłszy kogoś potrzebnego sobie, oddalił się, pozdrawiając go miłym uśmiechem.

Tak samo ks. Lasocki zabiegał około starszyzny polskiego rycerstwa, którą wiadomości z kraju niepokoiły. Wszystko się składało, aby upoić i nie dać ostygnąć.

Wiadomość o zwycięstwach Władysława, o tej pierwszej wyprawie krzyżowców, zwiększona może oddaleniem, doszła do wszystkich dworów Europy.

Pierwszy uradował się nią papież Eugenjusz IV i natychmiast wyprawił legata do Budy z powinszowaniem i błogosławieństwem. Wiózł on Władysławowi kosztowny obraz w podarunku i miecz poświęcany przeciwko niewiernym.

Na stalowej głowni jego stało złoconemi głoskami pod krzyżem:

„In hoc signo vinces".

Przyjęcie legata było uroczyste, publiczne, połączone z tą wystawą i przepychem, które Władysława tu ciągle otaczały.

Tak wkrótce potem przyjmowano posła króla Fran-

cji, Anglji, Hiszpanji, Aragonu, ks. Filipa burgundzkiego, książąt Medjolanu i innych włoskich dzielnic, rzeczypospolitej weneckiej, florenckiej, genueńskiej.

Stroje i języki wszystkiego świata zbiegały się tu u tronu Władysława, a posłowie przywozili listy, głoszące chwałę jego, zagrzewające do boju. Mógł młody zwycięzca czuć się dumnym i zapragnąć pić z tej czary, z której kto raz skosztował napoju, wiecznem się palił pragnieniem.

Oprócz pochwał i życzeń, niektórzy posłowie przywozili obietnice pomocy, zaręczenia posiłków. Czcze słowa, które później okazały się zwodniczemi.

Wśród tego rozgorączkowania kardynał Cesarini wymógł na królu, bo miał nad nim przewagę wielką, że Polakom wzywającym do Polski odpowiedziano zwłoką, a zwołano do Budy wielki zjazd na św. Jerzego.

Miał on na celu wyprawę nową.

Na ten dzień zawezwano i Giskrę, dowódcę zaciągów zmarłej królowej i miasta, które trzymały stronę pogrobowca.

Młody pan był zawsze tym samym wspaniałomyślnym, rycerskim mężem wielkiego serca, co przebaczył i oswobodził niegdyś hr. Cilly i Władysława Garę. Bo, gdy na zjeździe przeciwko Giskrze zmówili się węgierscy panowie, aby jego i wspólników buntu a niepokoju sprawców pochwycić, mimo listów żelaznych i poręczeń, król, dowiedziawszy się o tem potajemnie Giskrze ułatwił ucieczkę, jemu i towarzyszom ocalając życie. Mężny na placu boju, burzył się na samą myśl przeniewierstwa.

Zjazd uchwalił pobór ogólny na wojnę, bo skarb był wyczerpany do dna.

VII.

W mieszkaniu swem na zamku, bo kardynał jak najmniej się od króla oddalał, siedział za stołem zadumany Cesarini. Wieczór się zbliżał i komnata, dosyć ciemna we dnie, cała już była mrokiem posępnym

okryta, ale oblicze Włocha gęstsze jeszcze powlekały ciemności. Przy ludziach nigdy na tej twarzy, po której przechodziły błyskami wrażenia przelotne, poznać nie było można, jakie uczucie panowało w duszy. Kardynał jak zwierciadło odbijał to, co go otaczało; zdawał się odczuwać wszystko, lecz siebie nie zdradzał. Ruchoma ta maska była zagadkową przez to właśnie, iż się zmieniała co chwila. Taką ją czynił temperament włoski. Umiejętność życia okrywała nieprzebitą zasłoną.

Lecz w tej chwili, gdy sam z sobą nie potrzebował się ukrywać, ani baczyć na siebie, Cesarini zmarszczoną, posępną, nasrożoną niemal twarzą wypowiadał wielkie cierpienie. Poruszał się machinalnie, bez myśli, jakby nim krew rzucała, powstawał, siadał, podpierał się i ręce to zacierał, to łamał, to tarł niemi twarz i rozrzucał już przerzedzone włosy.

Niekiedy spoglądał niecierpliwie na drzwi, jakby oczekując na kogoś, i znowu wpadał w zadumę, która sprowadzała rozdrażnienie jeszcze większe. Walczył z sobą.

W progu ukazał się dziekan Lasocki, idący cicho, mierzonemi krokami, z również zafrasowanem obliczem.

Dwaj ci ludzie, pod wrażeniem jednych myśli, pod ciężarem wspólnym, niepodobni byli do siebie, jak te dwa plemiona, których krew mieli w sobie. Włoch miał krew zburzoną, Polak z zimną krwią zabierał się do boju. Ale Włocha bój miał ostudzić i uczynić rozważnym, gdy Polak właśnie dopiero na placu mógł się rozgorączkować.

Różnica ta natychmiast najaw wyjść miała. Na widok dziekana Cesarini obliczu kazał milczeć, a Lasocki mimowoli poddał się przykremu wrażeniu, które z sobą przynosił.

— Tak jest — odezwał się cicho do kardynała. — Niestety! nie ulega to wątpliwości! Jerzy, despota Rascji i Jan Huniady bez wiedzy króla, podstępnie, tajemnie weszli w układy z Turkami. Owoc tylu usiłowań

stracony... zawarli pokój... to jest zmuszą króla do zawarcia go. Warunki są... korzystne... Ustępstwa, jakich się nigdy po Amuracie spodziewać nie było można!

Kardynał ręce załamał.

— Nieszczęście! — zawołał.

— Iść przebojem — dodał pocichu, — na nic się nie zdało... Walczyć w tej chwili przeciwko pokojowi niepodobna... Gra musi być inną...

Lasocki patrzał i zdawał się czekać na wytłumaczenie, niedobrze rozumiejąc jeszcze.

— Wysadzeni z siodła — dodał Cesarini, — musimy iść przy koniu i głaskać go, dopóki się nań wsiąść nie uda.

Przerwał i dodał, szepcąc, obiema rękami robiąc ruch, jakby rozdzierał coś w nich:

— Pójdzie ten pokój w kawałki!

— Lepiejby go nie dopuścić — rzekł Lasocki równie cicho.

— Niepodobna! — przerwał niecierpliwie kardynał. — Kopano dołki pod nami, wpadliśmy w nie... wprowadzim zkolei kopaczy...

Położył palec na ustach.

— Słuchajcie mnie, proszę; nie sprzeciwiamy się pokojowi, pomagamy do niego...

Poruszył ramionami żywo.

— Tak, ale wyprawa przyjdzie do skutku i będzie świetną, będzie zwycięską... daję na to głowę moją. Pamiętajcie, jesteśmy za pokojem!

Przeszedł się po izbie raz i drugi kardynał, pociągając mucet i poprawiając czapeczkę na głowie.

— Wiecie warunki? — zapytał — ja się ich domyślam. Despocie oddaje zapewne Turek zabrane zamki i miasta... a Huniady?

— Huniademu oddaje Jerzy to, co z nadania Alberta i Władysława na Węgrzech posiadał...

— Panowie pamiętali, że pierwsza miłość od siebie! — rozśmiał się kardynał. — Nie dziwuję się despocie, ale nie pojmuję wojewody! Huniady! ten nasz wódz i bohater!

— To też pokój nie jest jego sprawą, ale despoty. On Huniada namówił, wciągnął, zbałamucił, opętał. Wielki wódz dał się omamić!

— Tak, wyprawa, którąśmy przeciw niemu sposobili i która przyjdzie do skutku — sierdzisto i z naciskiem rzekł Cesarini — napędziła mu strachu. Despota skorzystał.

— Oprócz tego mówią, że Karaman, syn chana Tatarów, z ogromnym tłumem zbierał się iść na Natolję — dodał Lasocki. — Niewola Czelebiego, klęski poniesione, wszystko to dumnego najeźdźcę zmiękczyło.

— I Huniady, Huniady dał się omamić — wtrącił kardynał, a po chwilce dodał: — Rozumie się, że i my jedziemy do Szegedynu!

Spojrzał na dziekana, który lekkiem głowy skinieniem zgadzał się na wszystko.

Cesarini wieczora tego, pod pozorem choroby, nie wyszedł na pokoje do króla. Nie chciał okazać zbytniej nawet ciekawości, niepokoju i pośpiechu.

Jeden z pierwszych dowiedział się Grzegorz z Sanoka o pokoju zamierzonym i nawpół już dokonanym przez potężnego Huniada.

Dla niego była to wiadomość pomyślna bardzo. Lękał się wyprawy przeciwko Turkom, na której tak niezmierne pokładano nadzieje... radby był króla widzieć w Polsce. Nadzieja zawarcia pokoju uradowała go, lękał się tylko wpływu kardynała i wojennej żądzy Władysława, a drżał z niepokoju.

Dnia tego wcześniej, niż zwykle, poszedł do sypialni królewskiej, tak bardzo pragnął się z nim widzieć. Króla tu jeszcze nie było, pomimo że godzina spoczynku zwykłego nadeszła. Nierychło dał się słyszeć szybki chód jego i żywa z towarzyszącym mu Gratusem Tarnowskim rozmowa.

Król wszedł niespokojny i zasępiony. W progu pożegnał się z towarzyszem i zobaczywszy Grzegorza, wprost zmierzył ku niemu. Blady był i poruszony.

— Wiesz — zawołał — słyszałeś! Huniady pokój z Turkiem umówił!

Załamał ręce.

— Wszystkie nasze najświetniejsze nadzieje rzucone w błoto! Nigdy drugi raz nie nastręczy się już taka zręczność zgładzenia potęgi pogan! Starania kardynała, wysiłki Paleologa, pomoc wszystkich panów chrześcijańskich przyrzeczona. I wojewoda siedmiogrodzki, mój najlepszy wódz, ten prawdziwy bohater, prowadzi nas do tego upokarzającego układania się z tym rozbójnikiem okrutnym! do traktatów z pogany! Srom i hańba!

Wykrzyku tego mistrz wysłuchał spokojnie i dawszy ostygnąć królowi, począł zwolna:

— Ja w tem nie widzę nic tak dla nas nieszczęśliwego a, uchowaj Boże, sromotnego. Prędzejbym się radował z tego końca, jeśli warunki pokoju korzystne.

— Pokój każdy teraz jest zgubą i hańbą! — przerwał król. — Cała Europa ma na nas obrócone oczy i na mnie pokłada nadzieje. Miałżebym zawieść oczekiwania i okazać się tak małodusznym?

Grzegorz zmilczał nieco.

— Królu mój — odezwał się, umyślnie ociągając z odpowiedzią — za porywczo bierzecie to wszystko. Cała Europa karmi cię obietnicami, listami pochwalnemi i pochlebstwy, i za twą krew daje piękne słowa. Gdzież są te obiecane zastępy i te ślubowane posiłki pieniężne? Przysłano nam garść włóczęgów, których w obozie wstydzić się i kryć z nimi było potrzeba. Polacy i Węgrowie walczyli sami. Krzyżowców niemieckich i włoskich niema co wspominać. Na przyszłą wyprawę nie dadzą więcej.

— Mylisz się — przerwał król.

— Bogdajbym się mylił — rzekł Grzegorz. — Pokój kilkoletni dałby czas urządzić sprawy polskie, przygotować się powoli, a silnie do ostatecznej rozprawy.

Huniady jest mąż odważny, baczny, świadomy potęgi, z którą walczyć będzie do wojny; ja w sumieniu

mem pokój doradzam i modlę się do was, jeżeli słuszny, a godny... nie odpychajcie go!

Złożył ręce, w których trzymał książkę modlitw, i stał tak przed królem, patrząc mu w oczy.

Władysław zdawał się nieco wzruszony, lecz wprędce wróciło mu usposobienie, z którem przyszedł; tęsknota za sławą, za wojną, za tą aureolą rycerza chrześcijańskiego, której pożądał.

— A — zawołał — ty dobrze wiesz, czem mnie złamać możesz! Przypominasz mi Polskę i pierwszy względem niej obowiązek. Widziałeś sam, byłeś świadkiem, że go spełnić żądałem, że chciałem jechać, żem postanowił.

— A kardynał to jednem słowem wniwecz obrócił! — wtrącił Grzegorz.

— Nie kardynał! Wszyscy, wszyscy mnie błagali, abym pozostał — odparł Władysław. — Ta wyprawa ma być stanowczą i ostatnią!

— Losy wojny niepewne — odezwał się mistrz smutnie. — Największe nadzieje zawodzą. Jeżeli pokój możliwy, królu...

Tu Grzegorz przykląkł na jedno kolano.

— Zaklinam cię.

Władysław uchwycił go za ramiona.

— Grzegorzu mój, ojcze kochany — rzekł. — Ty wiesz, ja nie zależę od siebie. Papież, ojciec nasz, Paleolog, królowie, książęta... żądają tego po mnie. Zaszczyt to, cześć dla mnie i dla Polski naszej.

Grzegorz uczuł, że w tej chwili nalegać byłoby próżnem; spuścił głowę, rozłożył książkę, zaczął szukać modlitw wieczornych. Król też nie wznowił rozmowy, ale widać było, że rzucone przez Grzegorza słowa na opokę nie padły.

Nazajutrz rano panowie węgierscy, którzy odebrali listy od wojewody i despoty, po naradzie weszli uroczyście i tłumnie do króla, domagając się posłuchania. Kardynał wiedział zawczasu o tem, że w Budzie nie było prawie jednego człowieka, któryby się nie cieszył

nadzieją pokoju... pokoju, żądanego przez samych Turków!

Już i to samo, że oni go pragnęli i wzywali do niego, pochlebiało dumie... a wewnętrzny stan kraju nakazywał z tego korzystać.

Kardynał wobec tak jednomyślnego domagania się, obrachowawszy, że oprócz Lasockiego, nie znajdzie poparcia w nikim, przybrał zagadkową postawę... stawił się neutralnie. Wiedzieli wszyscy, że podżegał do wojny, że uwodził obietnicami wysłania floty, która miała pilnować na morzu i nie dopuścić, aby posiłki z Azji dla Turków przybyły; nie udawał więc, że zmienił zdanie (temuby nikt nie uwierzył!)... przybrał postać złamanego, zwyciężonego i ulegającego przeważnej sile człowieka. Król, widząc, że nawet kardynał jawnie oporu stawić nie myśli, zachwiał się.

Węgierscy panowie, przybywszy tłumnie, wymownie i gorąco wyrazili zgodne zdania swe, aby pokoju nie odrzucać. Kraj był wycieńczony, ogłodzony, znękany wojną, a sławy miał dosyta.

Na to poselstwo, przemawiające natarczywie, nie mógł król inaczej odpowiedzieć, jak milczeniem przyzwalającem.

Kanclerz państwa i inni dopraszali się, aby Władysław, nie zwłócząc, udał się do Szegedynu, gdzie posłowie tureccy przybyć mieli.

Naglono tak o pośpiech, domagano się tak gorączkowo, iż opierać się nie było podobna. Kardynał, który dotąd zawsze głos zabierał i gotów był walczyć z przeciwnikami, zapewne rozrachowawszy ich liczbę, milczał. Oblicze jego pochmurne, niemal szyderskim jakimś uśmieszkiem skrzywione, stało, jak groźba niema ponad roznamiętnionymi.

Dawszy szeroko się wytłumaczyć Węgrom, do których panowie polscy się nie mieszali, stojąc na uboczu, król wtrącił tylko:

— Pomnijcie, że Turek z chytrości i przeniewierstwa słynie. Być może, iż nas uwodzi pokojowemi nadziejami dlatego, aby nasze przygotowania wojenne

wstrzymał. Gdybyśmy nawet do Szegedynu jechać mieli, to nieinaczej, jak wyprawiwszy część wojska, którą gotową mamy, aby stała w polu i groziła mu wtargnięciem.

Kardynał po raz pierwszy mocno poparł króla.

— Najprostsza ostrożność i rozum doradzają to — rzekł. — Nie wprzódy jechać, aż wojsko wyciągnie. Jeśli pokój ma w istocie stanąć, ono go poprze najdzielniej.

Panowie węgierscy, widząc, że król stawił to jako warunek, spojrzeli po sobie i zgodzili się.

Król nawzajem podróży się nie opierał.

Łatwiej napozór daleko, niż się spodziewali, panowie, zdobywszy to, czego sobie życzyli, widząc kardynała milczącym, nie próbującym nawet oporu i sprzeciwiania się... nie mogli zrozumieć, jak się to stało.

Cesarini dotąd nigdy takiego nie okazał umiarkowania.

Wychodząc z posłuchania od króla, jeden ze znanych dobrze Grzegorzowi magnatów, spotkawszy go w podwórcu, a widząc, że mistrz niebardzo z Włochem był w przyjaźni, począł, śmiejąc się, chwalić odniesionem zwycięstwem.

— Wiesz, ojcze, cud się stał! — zawołał do królewskiego kapelana. — Kardynał zaniemiał. Triumf odnieśliśmy niespodziany.

— Sądzicie? — przerwał szydersko mistrz. — Nie cieszcie się zawczasu, a nie dowierzajcie. Człowiek ten, gdy milczy, niebezpieczniejszym jest, niż w rozprawie. Dopóki on tu mieszka, wierzajcie mi, jest panem i was wszystkich przemoże, jeżeli nie rozumem, to przebiegłością.

— Ależ król jedzie do Szegedynu! — zawołał Węgrzyn.

— A pokój nie zawarty jeszcze! — szepnął Grzegorz. — Więcej powiem... gdyby zawartym był, ja i temu nie zaufam.

Zmarszczył się magnat, ale, ręką uderzywszy po szabli i zakląwszy w swoim języku, rzekł:

— Jeden przeciwko wszystkim nic nie dokaże!...

Rozeszli się tak.

Król, złamany domaganiami się Węgrów, przymuszony traktować o pokój, obawiał się spotkania sam na sam z Cesarinim i wymówek a użaleń, które go ominąć nie mogły.

Gdy po odejściu panów weszli razem z nim do pobliskiej komnaty, król tak był zmieszany i upokorzony, że na kardynała spojrzeć nie śmiał.

Wielką moc mający nad sobą Cesarini w pierwszej chwili nie okazał nic nad smutną rezygnację.

— Padam ofiarą — odezwał się — mojej wiary w Węgrów, ale spodziewam się, że oczyścić się potrafię. Niestety! za nierozważnie, za pośpiesznie zaręczyłem, że wyjdziemy w pole! Zawiadomiłem o tem papieża, księcia Burgundji, Wenetów i Genueńczyków, którzy z flotami w pomoc nam śpieszą. Okrutny, sromotny zawód dla mnie, lecz Bogu go ofiaruję! — dodał pokornie.

Król, ujęty bólem tym, starał się go pocieszyć.

— Nic się jeszcze nie stało — rzekł — nic może się nie dokona... Znacie moje uczucia, wiecie, żem gotów... lecz...

Kardynał przerwał, dając znak ręką, że mówić nie potrzebuje.

— Cierpliwości... tak, miłościwy panie, burzę tę przetrwać potrzeba; nie przekonamy ich. Milczmy na teraz, patrzmy, czekajmy! Ja zostanę ofiarą, ja ogłoszony będę kłamcą i lekkomyślnym, ale czas to naprawi, wyjaśni i oczyści mnie.

Kardynał złożył obie ręce na piersi, oczy podniósł ku niebu, westchnął i ułożył tak twarz swą, że się wydawał prawdziwym męczennikiem.

Król, poruszony mocno, uściskał go.

Postanowiona podróż do Szegedynu nie cierpiała zwłoki. Panowie, obawiając się, aby jej co nie stanęło na zawadzie, wzięli się zaraz do przygotowań. Wojskom dano rozkazy wyciągania pośpiesznego nad granicę, dwór sposobił się do podróży. Król sam prosił Cesari-

niego, aby go nie opuszczał, kardynał też wybierał się mu towarzyszyć. Dwór polski, młodzież, niektórzy z panów, Grzegorz z Sanoka, dziekan Lasocki, wszyscy jechali za królem.

W Szegedynie czekali Węgrowie, bardzo licznie zebrani, wszyscy, którym szło o to, aby pokój zamierzony stanął w istocie.

Czasu tego, który upłynął od pierwszych gońców wojewody siedmiogrodzkiego do zjazdu w Szegedynie, kardynał używał bardzo oględnie, lecz zręcznie.

Publicznie wcale nie występował przeciwko traktatom. Pytany bolał tylko, że sprawy węgierskie zmuszały do tego kroku, który w Europie, po świecie surowo mógł być sądzony. Gdziekolwiek rozmowa o pokoju rozpoczęta została wobec liczniejszych świadków, Cesarini wcale w niej nie brał udziału. Okrywał się wielce znaczącem milczeniem.

Na osobności z młodzieżą polską i węgierską odzywał się z wielkim żalem, że rycerstwu wydzierano chwałę, którą się okryć miało. Przemawiał gorąco, a że słowo jego działało na umysły, do których z dziwną zręcznością było zawsze zastosowane, odchodzili od niego gorętsi z żalem w duszy, z niechęcią przeciw starszyźnie, która dała się pieniędzmi i mamiącemi korzyściami uwieść do sromotnego kroku.

Tak pokątnie tylko działając, Cesarini publicznie przeciw układom nic nie działał... był świadkiem bezczynnym przygotowań do nich.

Wszystkich, a najbardziej Grzegorza z Sanoka, to zachowanie się kardynała w zdumienie wprawiało. Mistrz Grzegorz nie krył się z tem wcale, że pokoju dla króla pragnął i popierał go wszelkiemi siłami.

Lasocki równie był zamknięty i milczący, jak ten, który nim władał.

Młody król walczył z sobą. Mistrz, mający jego zaufanie, bo przed nikim się z taką otwartością nie wywnętrzał, jak przed nim, najlepiej wiedział, co się w tej młodej, zburzonej duszy działo. Wieczorem czasem znajdował go na modlitwie cichej, ze łzami na oczach.

Jednego dnia poddawał się konieczności, drugiego wracał do żalów swych i pragnień.

— W pół drogi do celu... zaparto mi ją! Los złamali... przyszłość tak świetna, zgubiona na wieki!

— Królu mój! — wołał Grzegorz — nie masz lat dwudziestu... przeciwko Tatarom i Turkom we własnym kraju będziesz mógł walczyć i wsławić się. Ten pokój — to palec Boży! Kardynał jest zaślepiony... nie obwiniam go, bo wiem, że sam gotów jest z życia uczynić ofiarę; ale rachuby jego mylne, zaufanie w pomoce płoche, nieprzyjaciela za lekko ceni.

Król bolał niewymownie.

Kilka dni oczekiwano na posłów tureckich. Wiadomem już było, że na czele poselstwa ma się znajdować Grek, renegat, o którym Arkadjusz mówił, zapierając się z nim znajomości, jakoby ze słuchu tylko, lecz drudzy utrzymywali, że dwaj jednoplemienni byli z sobą w tajemnych stosunkach. Głoszono go, jako przebiegłego wielce i chytrego człowieka. Wstręt zawczasu budziło to, że przechodząc do służby tureckiej, zaparł się dla niej Boga i przyjął mahometańskie wyznanie.

Grek, przeciw któremu przodem wysłano mały poczet dla bezpieczeństwa, dodając Arkadjusza za tłumacza, nadciągnął w sto koni, bogato i wspaniale strojnych i objuczonych. Sułtan dodał mu kilkunastu janczarów, dla świetności orszaku.

Z Szegedynu wysypało się, co żyło, dla zobaczenia tego wjazdu, który się odbył w milczeniu, ale z uroczystością wielką.

Od granicy już, wedle zwyczaju, podejmowano Turków, dostarczając im żywności, wyznaczając gospody, a w Szegedynie czekały na nich domy opróżnione i tłuste barany, któremi się wyżywić mieli.

Turcy wieźli dla króla podarki kosztowne, koni kilka najpiękniejszych, materyj, tkanin różnych i klejnotów.

Na dzień następny pierwsze posłuchanie naznaczone było.

Dla Greka Rodokosa i tych, co się z nim królowi przedstawić mieli, zawczasu posłano, zwyczajem wschodnim i u nas zachowywanym, szuby sobolowe, jedwabiem kryte i suknie kosztowne, które, wdziawszy, poselstwo sprawiać mieli.

Młody król przyjmował Turków na tronie, otoczony co przedniejszymi ze dworu swojego panami, z całym majestatem monarszym. Przy tronie stali trzymający chorągiew, miecz wielki obnażony, laski i godła pańskie urzędnicy węgierscy.

Grek, po turecku przyodziany, w szubie nawierzch, którą mu podarowano, przykląkł przed królem i w krótkich słowach powitał Władysława. Zagaił tem, że pan jego pokój z sąsiadem zawrzeć jest gotów.

Rodokos miał powierzchowność niepowabną, czarny był, oczy mu biegały niespokojnie, ruchy miał dziwne i dumą nadrabiał, czując, że podłym się wydawać musi. Z twarzy jego niewiele się dawało wyczytać, wejrzenie skośne przypominało dzikie zwierzę, w ustach było coś złego. Naprzemiany, uniżony do zbytku, jakby potem przypomniał sobie od kogo i z czem przychodził, rwał się zuchwale.

Po tem posłuchaniu wielkiem rozpoczęły się dopiero z wyznaczonymi panami węgierskimi umowy o pokój. Turek tak skłonnym był do zgody, że prawie bez sporu oddawał wszystkie zamki, zagarnięte w Rascji, część Albanji dla despoty. Bułgarów tylko chciał zatrzymać dla siebie.

Przytomny Jerzy, despota Rascji, który najwięcej miał korzystać z tej powolności Turka, rzucał się na kolana, błagał i zaklinał, aby nie opuszczano tak szczęśliwej zręczności odzyskania twierdz i grodów obronnych, które niegdyś wiele krwi kosztowały, a dziś darmo zwrócone być miały. Panowie też węgierscy obstawali równie gorąco za pokojem.

Kardynał zdala patrzał, słuchał, marszczył się, lecz przeciwko prądowi ogólnemu nie mógł wystąpić. Nie chciał opierać się nadaremnie i być pokonanym, a czuł, że nie zwycięży.

Oprócz króla samego, który smutnie przyjmował warunki te, nie mogąc zaprzeczyć, że były korzystne, prócz kardynała i dziekana, wszyscy zdawali się zgodnie cieszyć pokojem, który na lat dziesięć miał być zawarty.

Jęki i błagania despoty, który oprócz zamków miał odzyskać dwóch swoich synów, będących w ręku Amurata, przyczyniały się też wielce do przyśpieszenia układów.

Grek zdawał się nad wszelkie przewidywanie powolnym, godził się na warunki już wprzód oznaczone, wymagań nowych nie stawiał.

Trzeciego dnia Lasocki dał znać Cesariniemu, że pokój był już tak jak zawarty. Kardynał pobladł, ale nie rzekł ani słowa. Wyszedł, jak zwykle, do króla i ani spytał go o nic, ani wymówek mu nie czynił.

Traktat ów dziesięcioletni z obu stron miał być poprzysiężony, przez Turków na Alkoran, przez króla na Ewangelję.

Rodokos, w chwili, gdy o tem była mowa, obstając mocno, aby przysięga jak najuroczystszą była i jak najsilniej obowiązującą, wniósł, ażeby król ją na poświęconej Hostji u ołtarza złożył, na tem, co dla chrześcijan najświętszem było.

Nie bez przyczyny Grek się tego domagał. Wiedział on dobrze, iż przy królu byli ludzie, którzy przeciwko traktatowi mieli go podżegać i do złamania namawiać.

Na pierwszą wzmiankę o tem Grzegorz z Sanoka, który się w izbie znajdował, podniósł głos z gwałtownością wielką:

— Nigdy w świecie być to nie może! — krzyknął. — Przysięga na Hostję niesłychana u nas, zwyczaj żaden jej ani dopuszcza, ani uświęca! Byłoby to profanacją! Na to dozwolić nie można.

Grek obstawał przy swojem.

Oburzony wybiegł mistrz wprost do króla, przy którym znalazł kardynała z zaciętemi usty i piorunującemi oczyma.

Pomiędzy Cesarinim a Grzegorzem z Sanoka

w ostatnich dniach przychodziło codzień do sprzeczek i sporów często w rzeczach małej wagi, jakgdyby Cesarini oprzeć się nie mógł niechęci swej do tego człowieka.

Gdy mistrz ze zmienioną a gniewną twarzą wpadł na pokoje, kardynał zmierzył go wejrzeniem złośliwem.

— Miłościwy panie — odezwał się Grzegorz z zapałem.—Grek bezbożny domaga się rzeczy niegodziwej, niemożliwej... Chce przysięgi na Hostję! Byłoby to profanacją! Tego dopuścić się nie godzi!

Władysław porwał się z siedzenia, ale nie odpowiadając, spojrzał na kardynała, jakby go wyzywał. Cesarini się skrzywił ironicznie.

— Jeżeli pokój robicie i króla do przysięgi nań zmuszacie — odezwał się — dlaczegóżby i na Hostję nie miał przysięgać? Zwyczaju tego niema, ale i zakazu niema! Taka czy inna przysięga będzie nieważna!

— Jakto? — wykrzyknął Grzegorz, cofając się zdumiony. — I to, wasza przewielebność, mówicie? Wy? książę Kościoła? Dopuścilibyście, aby dla sprawy ziemskiej Boga samego używać i czynić świętość narzędziem?

— Przysięgamy na Krzyż i Ewangelję — odparł kardynał — dlaczegoby nie na Hostję? *).

— Nigdy w świecie nie dopuścim tego! — zawołał Grzegorz.

— Powtarzam wam — wtrącił Cesarini — że nie widzę w tem ani profanacji, ani nic nadzwyczajnego... a ta przysięga...

Lekceważąco ręką potrząsnął.

— Heretykom i poganom ani wiary, ani przysiąg nie jesteśmy obowiązani dotrzymywać — dodał kardynał.

Grzegorz się wzdrygnął.

— I to miałoby być chrześcijańską nauką? — zawołał gwałtownie — nauką tego Zbawiciela, który nie-

*) O tym sporze z Cesarinim Kallimach opisuje w życiu Grzegorza z Sanoka. P. A.

przyjaciół miłować kazał, a za złe dobrem odpłacać? Który w Ewangelji swej nikogo z pod prawa miłości nie wyjął?

Cesarini spojrzał z rodzajem politowania na mistrza Grzegorza, ramionami poruszył i odwrócił oczy w inną stronę.

Grzegorz podszedł do króla.

— Miłościwy królu — rzekł z powagą i namaszczeniem — chociaż przytomny tu legat ojca świętego zdaje się być za tą niesłychaną formą przysięgi, której Turek, a raczej chytry Grek, jego poseł, wymaga, ja, jako stary twój sługa i stróż sumienia, błagam cię, warunku tego nie przyjmuj.

Byłem i jestem za pokojem — dodał — ale taką okupionym ceną... nigdy!

Kardynał pilnie patrzał na króla. Być może, iż popierając przysięgę na Hostję, chciał jej zapobiec i pokój ten zniweczyć w chwili, gdy już był bliskim zawarcia. Domyślał się, iż pobożny Władysław pójdzie za radą mistrza. Jakoż król okazał jawnie, że na te wymagania przystać nie może.

— Nie będę im przysięgał inaczej, tylko wedle obyczaju — rzekł stanowczo. — Nie bój się, mistrzu mój, świętokradztwem się nie skażę.

Uśmieszek przebiegł po ustach Cesariniego; milcząc, spojrzał na Grzegorza, który stał jeszcze.

— Mam odnieść tę odpowiedź króla? — zapytał.

— Tak, powiedz im, że jeżeli mi nie ufają, przysięga żadna wiary nie wzbudzi — odparł Władysław.

Grzegorz zwycięsko spojrzał na Cesariniego, który w obliczu miał coś szyderskiego, i oddalił się.

Na pokojach króla czekano potem rozwiązania tego sporu o przysięgę dosyć długo. Trochę zniecierpliwiony niepewnością tą, Cesarini wyprawił Lasockiego na zwiady.

Dziekan powrócił, przynosząc wiadomość, że Grek upierał się przy swej przysiędze na Hostję, ale widocznem było, iż ulegnie i od warunku tego odstąpi, ograniczając się Krzyżem, Ewangelją i ołtarzem.

Kardynał, posłyszawszy to, spochmurniał; ostatnia nadzieja zerwania układów znikała.

Nazajutrz król poprzysiągł zawarty traktat dawnym obyczajem, a Turcy zamki w przeciągu ośmiu dni wydać się zobowiązali.

VIII.

Milczenie i cierpliwość, obojętność, z jaką kardynał Cesarini patrzał na zawarcie pokoju w Szegedynie, podżeganie dziwne, gdy szło o przysięgę, lekceważenie jej... dla tych, co, jak Grzegorz z Sanoka, znali Cesariniego, niepojętem się wydawało.

On, co był duszą i sprężyną wyprawy przeciwko Turkom, co czuwał tu tylko nad tem, aby wojnę krzyżową przeciw niewiernym uczynić nieubłaganą i ostateczną... w chwili zawarcia dziesięcioletniego pokoju zachował się tak, jakby w istocie już nie miał najmniejszej nadziei skłonienia do walki. Nie pozostawało mu nic więcej, jak powracać do Rzymu, gdyż pobyt jego na dworze króla Władysława nie miał celu.

Nie mówił wcale jednak o odjeździe, a w drodze do Budy, jak w Szegedynie, zachował się z tą samą obojętnością. Grzegorz z Sanoka, który śledził każdy ruch tej zagadkowej postaci, przekonał się tylko, że przy każdej zręczności sam na sam z królem i z tymi, których znał usposobienie rycerskie, kardynał starał się obudzić żal, iż pokój ten odbierał im laury sławę, zasługi, niweczył wszystkie ich nadzieje.

Król też był smutny i zamyślony. W podróży na jednym ze spoczynków, nie oglądając się na to, że Grzegorz był przytomnym, Cesarini począł te żale rozwodzić.

— Zaprawdę — mówił do króla — nigdy Turek nie dał dowodu większego przewrotności a rozumu, jak teraz. Czuł i wiedział dobrze, że siły całego chrześcijaństwa zbierają się przeciwko niemu, że im nie podoła. Dlatego zgodził się na wszelkie warunki, jakich-

by nigdy inaczej duma pohańca przyjąć nie dozwoliła! Przeszła wojna, w której wy, miłościwy panie, okryliście się taką sławą, nauczyła go, czego ma się spodziewać po drugiej wyprawie! Nieszczęsny ten pokój drogo opłacie. Nie mówię o sobie, com się zobowiązał za was w obliczu Europy, bom wyszedł na kłamcę... wszakci Chrystusowe dzieci w oplwanych sukniach powinny się nauczyć chodzić! Znoszę to z pokorą... Żal mi większy was, bo wam palmę z rąk wydarto!

Król wzdychał.

Toż samo utyskiwanie powtórzyło się w Budzie...

Dnia jednego kardynał z taką mówił gorącością, z takiem przejęciem, że łzy niemal młodemu panu wycisnął.

— Ojcze mój — wyrwało się z ust Władysławowi — nie krwawcie mi serca. Stało się, przysięgę złożyłem — jest przysięga!

Cesarini ruszył ramionami.

— Przysięga niewiernym, nieprzyjaciołam Chrystusa! Podchwycona, przynaglona przez Huniada i despotę? Co warta taka przysięga? Nic! Papież i ja rozgrzeszylibyśmy, gdyby ją złamać przyszło.

Król pobladł i drżeć zaczął.

— Ojcze mój — odparł wychowany w poszanowaniu nietylko przysięgi, ale danego słowa młody Jagiellończyk — wybyście może mnie rogrzeszyli, ale moje sumienie nigdy!

Na ten raz, nie popierając swego zdania, Cesarini skrzywił się pogardliwie i zamilkł.

Wieczorem król ułamek tej rozmowy powtórzył Grzegorzowi z Sanoka, który, słysząc to, zadrżał i ręce załamał.

— Kólu mój — rzekł — przysięga każda jest świętą... poganom, czy wiernym dochować jej potrzeba. Kardynał jest uniesiony wielką myślą zagłady nieprzyjaciół krzyża Chrystusowego, ale się myli. Zapał mu nie daje widzieć jasno prawdy! Na Boga! nie dajcie się zwieść z prawej drogi.

Tymczasem, zaledwie król do Budy powrócił, ów

tak napozór uspokojony kardynał, który z początku utyskiwał tylko, począł już nie własne żale, ale nadchodzące zewsząd pisma i podżegania do wojny przynosić.

Pierwsze listy, które nadeszły, były od kardynała Franciszka tytułu św. Klemensa, dowódcy papieskiej floty z doniesieniem, iż okręta jego oraz połączone z niemi statki Wenetów i Genueńczyków stały wpogotowiu do wyjścia, że mogły wprędce wyruszyć na morze, aby Turkom zaprzeć przeprawę do Natolji i posiłków nie dopuścić.

W listach tych, wyprawionych wprzódy, nim się dowiedziano o zawarciu pokoju, naglono króla, aby, wedle danego słowa, ze swej strony pośpieszał do Romanji i wojnę rozpoczynał.

Kardynał przybył do króla z pismami temi szydersko uśmiechnięty, ironiczny i, rzucając je na stół, wybuchnął już wcale innym tonem, niż wprzódy.

— Ani ojciec święty, ani rzeczypospolite, ani książę Burgundji nie wiedzą, — zawołał — że my tu pokój zawarliśmy. Floty są gotowe. Europa na nas rachuje. Co za srom! jakie upokorzenie, jakie niebezpieczeństwo dla sprawy chrześcijaństwa, którą opuściliście!

Król słuchał przerażony.

— Pokój was wiąże, ale Europy nie obowiązuje... ona go znać nie chce. Ojciec święty poczynił takie ofiary, kardynał Franciszek czeka, a my tu... z założonemi rękami...

— Widzieliście konieczność, mój ojcze — rzekł król.

— Widziałem nie konieczność, ale upór despoty i Huniada — odparł żywo Cesarini — a teraz widzę wiarołomstwo wasze względem papieża. Przyrzekliście, ale złamaliście słowo wasze.

Król rzucił się z załamanemi rękami ku Cesariniemu.

— Możecież mi to zarzucić? — wykrzyknął.

— Zaprawdę! zaprarwdę! — wołał, rozogniając się, kardynał. — Papieżowi i panom chrześcijańskim da-

liście przyrzeczenie, słowo rycerskie, a teraz... wystawiamy je na sztych...

— Ojcze mój, litości! — odezwał się król błagająco. — Widzieliście postępowanie moje, — byłem zmuszony!

— Więc cóż warta wasza przymusowa przysięga? — przerwał triumfująco kardynał.

Nie umiał Władysław odpowiedzieć na to, lecz z piersią uciśnioną, przerażony, smutny wyszedł i zamknął się w swej sypialni.

Kardynał był, jak wprzódy, rozgorączkowany. Nie ograniczył się na tem nawracaniu króla; zaniósł pismo kardynał do kanclerza, do panów polskich, wszędzie toż samo powtarzając i usiłując zawczasu przygotować do tego, że zawarty pokój i złożona przysięga nie miały żadnej wagi.

Przyznać trzeba ognistemu kardynałowi, że umiał sprawę swą popierać wymownie i przekonywająco.

Przed kanclerzem węgierskim starał się okazać, że na naród spada hańba za to przeniewierstwo.

— Króla nie obwinią — mówił. — Młodzieniaszek, niedoświadczony, mógł się wam dać uwieść i przekonać. Hańba czeka Węgrów za zdradę Chrystusa... Na was świat cały rzuci winę i słusznie! Wy w obliczu historji dźwigać będziecie hańbę tego zawodu. Ojciec święty wam tego nie przebaczy.

Pismo to pierwsze poruszyło już umysły... Wielu z Węgrów i niemal wszyscy Polacy szemrali przeciwko pokojowi.

Kardynał coraz głośniej dowodził, że traktat ten nie miał żadnej wagi, a przysięga króla — znaczenia. Mówił głośno wszystkim, a coraz natarczywiej powtarzał, że gotów jest wziąć złamanie przysięgi na swe sumienie i króla uroczyście z niej rozgrzeszyć.

Zaledwie wyrzeczone słowo to doszło do Grzegorza z Sanoka, który z oburzenia i gniewu wpadł w zapamiętanie, począł równie głośno wołać, że nikt, nawet ojciec święty, od dobrowolnie złożonej przysięgi uwolnić nie może.

— Sam Pan Bóg — krzyknął w zapale — tego, co było spełnionem, nie może unicestwić! Co się stało, źle czy dobrze, stało się, i człowiek dźwiga następstwa. Niech Bóg uchowa, aby króla kto śmiał namawiać do złamania przysięgi! Skalać tem tego czystego, bohaterskiego pana naszego! Nigdy!

Jeszcze wrażenie po liście kardynała nie ostygło, gdy z Konstantynopola przyniesiono list błagalny od cesarza Jana Paleologa, który zaklinał króla, aby się Turkom nie dał omamić, a szedł ich zawojować teraz, gdy godzina ich zguby naznaczoną była, gdy on mógł im zadać cios śmiertelny.

Kardynał triumfował, lice jego promieniało. Krzątał się gorącej, niż kiedy, nie poczynając od króla, ale potajemnie nalegając na znaczniejszych panów węgierskich. Dowodził on im, pojedyńczo każdego z nich biorąc do siebie, że zawarty pokój był zdradą, hańbą, a zobowiązania dawniejsze przysięgę tę czyniły nieważną.

Powaga Cesariniego, wymowa jego, listy z Rzymu i Konstantynopola, wszystko to zwolna zaczynało działać na słabe umysły i zachwiało niemi.

Rycerstwo, chciwe sławy, zagrzane tem, że papież, rzeczypospolite włoskie, książę Burgundji, krzyżowcy angielscy i francuscy pomoc obiecywali, zaczęło głośno utyskiwać.

Grzegorz z Sanoka, sam jeden niemal, pozostał ze swem niezłomnem przekonaniem, że słowa i pokoju należało dotrzymać.

Kardynał umiał sobie pozyskać młodzież, z królem Władysławem najpoufalej obcującą, dwóch z Tarnowa i Zawiszów. Młodość ich czyniła łatwymi do przekonania. Cesarini w kilka dni wmówić im potrafił, że powinni byli króla nawracać i starać się przygotować go do wojny... mimo przysięgi.

O tej przysiędze wszędzie i ciągle odzywał się z taką pogardą, ponawiając to, że brał jej złamanie na swoje sumienie, że rozgrzeszyć był gotów publicznie, iż

wkońcu wielka większość dworu już ją lekceważyć zaczęła.

Stracona owa wyprawa przeciwko Turkom wydawała się tak niezawodnem zwycięstwem, że żal po niej obłąkiwał umysły rycerstwa.

Pozostawał kardynałowi do zwalczenia mąż, od którego najwięcej zależało, wódz najdzielniejszy, — człek prawy, nieskalany niczem, rycerskiego ducha, Huniady. Pokój, zawarty z Turkami, zapewniał mu Bułgarję. On sam z despotą przyczynił się do jego zawarcia, a bez Huniada wojna była niemożliwą. Kardynał wezwał go dla widzenia się z sobą nie do Budy, lecz do małej, odosobnionej mieściny, w której zjechać się mieli.

Wojewoda siedmiogrodzki, powołany listem, w którym nie było mowy o celu narad, przybyć obiecał. Kardynał, nie wydając się z tem, dokąd jechał i poco, zniknął z Budy.

Jakim sposobem potrafił przekonać i nawrócić wojewodę i skłonić go do zgody na złamanie traktatu zawartego, pozostało tajemnicą. Kardynał powrócił z tej wycieczki wesół, z rozjaśnionem czołem, i nazajutrz, stawiąc się przed królem, począł powitanie od tych słów.

— Mógłbym miłości waszej powinszować, gdybym wiedział, że wiadomość, którą przywożę, sumienia królewskiego, zbyt surowo trzymającego się litery zobowiązań, nie oswobodzi od skrupułów. Turcy się zobowiązali w osiem dni zdać zamki. Upłynęło już dużo więcej czasu... słowo złamali, my też od dotrzymania go jesteśmy wolni!

— Turcy oddali trzy zamki — odparł król — zawiadamiając, że resztę niezwłocznie uwolnią... i załogi wyprowadzą.

— Nie rozumiem, dlaczegobyście, miłość wasza, mieli im okazywać powolność, którejby oni, zaprawdę, waszej miłości nie uczynili. Nie dotrzymali traktatów... są więc zerwane.

Król spojrzał niespokojnie dokoła, badając, jakie to

na innych przytomnych uczyni wrażenie, i nie odpowiedział nic. Czuł w duszy swej przy tych naleganiach ucisk wielki. Co wieczór bolał i skarżył się przed Grzegorzem z Sanoka, który z uporem niezachwianego przekonania starał się go krzepić i umacniać, aby trwał przy swej przysiędze.

Na twarzach przytomnych nie mógł król nic wyczytać, oprócz zafrasowania. Nikt nie przeczył temu, że Turcy, ściśle biorąc, traktatu nie dotrzymali.

Kardynał nie nalegał. Chciał wszystko tak przygotować, aby na ostatku mieć tylko do przełamania skrupuł króla.

Rachował na jego młodość, na swą wymowę i natarczywość.

W największej tajemnicy rozkazał przygotować Lasockiemu i spisać akt, stwierdzony najuroczystszą przysięgą i pieczęciami, którym zobowiązali się ci, co do niego przystępowali, nie zważając na żadne inne śluby i przyrzeczenia, iść walczyć z pogany i w walce tej trwać do końca.

Król jeszcze o niczem nie wiedział, gdy już na wspomnianym dokumencie stały imiona i pieczęcie kanclerza państwa, Szymona Rozgona, biskupów kilku, wojewody siedmiogrodzkiego, wszystkich niemal urzędników węgierskich.

Kardynał po jednemu naprzód ich pozyskiwał, potem kilku zebrawszy, ich imionami resztę pociągnął.

Czas upływał, należało naostatek uderzyć na samego króla. Cesarini przygotował się do tego i do walki z Grzegorzem, o którym wiedział, iż go złamać nie potrafi. Wpływ skromnego spowiednika musiał ustąpić przed powagą ojca Kościoła.

Młodzież, będąca przy Władysławie, zwolna go oswajała z myślą tą, iż wojna mogła jeszcze przyjść do skutku. Ale król dotąd zamykał im usta przysięgą.

Starszyzna polska, rycerze dzielni, jak Jan z Rzeszowa, Paweł z Grabowa, Jan Wątróbka, Jędrzej z Sienna, Piotr z Latoszyna i inni mnodzy, już ze względu na Polskę, do której króla odciągnąć chcieli, już z posza-

nowaniem przysięgi, której świętość im Grzegorz z Sanoka codzień wpajał, stali na uboczu i przy każdej zręczności starali się hamować zapał wojenny Władysława.

Ale, jak z jednej strony to trudnem było, bo król bolał okrutnie, że uczynił zawód papieżowi i książętom, którzy mu zaufali, tak z drugiej niemniej trudnem było złamać w nim poszanowanie ślubu, uroczyście przed ołtarzem złożonego.

W młodem sercu jego i umyśle wrzała walka straszna, która się na licu, w mowie, w życiu całem odbijała. Nic mu nie smakowało, chodził niespokojny, modlił się prawie ze łzami... szukał pociechy i nigdzie znaleźć jej nie mógł.

Grzegorz z Sanoka z żelaznym, niezłomnym uporem, powtarzał codzień:

— Królu, słowa i przysięgi każdy powinien dotrzymać, a kto stoi na świeczniku, ten stokroć winniejszy, gdy da zły przykład.

Z jednej strony słysząc ciągle, że przysięga nie była ważna, z drugiej, że nic jej naruszyć nie mogło, Władysław w sobie nie znajdował rozwiązania tej wątpliwości.

Tak stały sprawy królewskiego sumienia, gdy kardynał, mając już za sobą biskupów, Huniada i panów węgierskich, zjawił się u króla z licznym pocztem duchowieństwa i panów, aby ostateczny szturm przypuścić.

Dziekan Lasocki, o którym mówić nie potrzebowaliśmy, na kilka dni wprzódy przysposabiał Władysława... Sam on czuł, że się coś gotowało. Duchowieństwo i panowie, nie zdradzając się, milczeli znacząco, gdy była mowa o pokoju...

Chwila obraną została tak, że mistrz Grzegorz, który się do klasztoru franciszkanów rano udał, nie mógł przeszkodzić rozmowie.

Z kardynałem przybywali Szymon Rozgon, kanclerz państwa, Piotr, biskup czanadzki i Wawrzyniec, palatyn... nie licząc dziekana...

Już zebranie tych osób zapowiadało, że Cesarini niósł z sobą ważną sprawę, która się rozstrzygnąć miała. Odgadnąć było łatwo po udziale kardynała, o co chodziło...

Król, wychodząc, zadrżał i pobladł. Przeczuwał, iż Cesarini zechce go skłonić do zapomnienia przysięgi, ale nie domyślał się, że towarzyszący mu już się zobowiązali nie poszanować jej...

Z wielką uroczystością i majestatem wysłańca głowy Kościoła, kardynał rozpoczął mowę. Dowodził w niej, że nie król i nie korona węgierska łamała traktat, lecz sami Turcy go naruszyli i nie dotrzymali. Dodał, że on powagą ojca św. rozgrzesza i rozwiązuje sumienie, że wojna stała się nieuchronną, świat cały patrzy i czeka na nią.

Naostatek zachował argument najsilniejszy i wskazując kanclerza, palatyna, biskupów, rozwinął akt przygotowany, przy którym wisiała też pieczęć Huniada...

Pozostawał jeden król, jeden Władysław, i losy chrześcijaństwa od niego zawisły... W jego ręku była cała przyszłość, jego słowo miało ją rozstrzygnąć!

Gdy to mówił kardynał, wszystkich oczy zwrócone były na króla, który stał, patrząc na kartę rozwiniętą przed sobą, na biskupów, na kardynała i wargi mu drżały, a głos nie mógł się dobyć z piersi. Zamiast słowa, dwie wielkie łzy stoczyły się na pergamin...

Milczenie długie panowało w sali. Władysław stał; rękę położył na piersi uciśnionej, zadumał się i wkońcu rzekł głosem drżącym:

— Przysięgi złamać nie dopuszcza mi sumienie; ale koronę złożyć, abym nie stał na zawadzie wielkiemu dziełu, gotów jestem...

— A któż nam takiego, jak wy, bohatera zastąpi? — odezwał się kardynał. — Nie, bez ciebie na czele niema wyprawy...

— Huniady! — przebąknął król.

— Wódz wielki, lecz wojewoda siedmiogrodzki nie zastąpi króla Polski i Węgier! — począł gorąco Cesa-

rini i skłonił się tak, iż niemal kolano ugiął przed królem.

Władysław schylił się szybko ku niemu... Wtem Cesarini obejrzał się na Rozgona i innych biskupów i kanclerz począł głosem trochę niepewnym powtarzać to, co wprzód kardynał tak wymownie wykładał...

W milczeniu słuchał król, nie dając znaku przeciwieństwa, ni zgody. Kardynał, który badał młodą tę twarz zmienioną, cierpiącą, zbolałą, czekał, ażali na niej promyk nie zabłyśnie... Widział tylko coraz potęgujący się niepokój.

Po biskupach, którzy wszyscy wtórowali Cesariniemu, odezwał się Lasocki z żywością i poufałością starego sługi, domownika, doradcy...

Ze wszystkich może mowa dziekana, który najlepiej wiedział, jak do młodego pana przemawiać należy, najsilniejsze na nim uczyniła wrażenie. Otwarły mu się usta, Władysław bronić się zaczął słowy i argumenty Grzegorza z Sanoka... Lasocki odpierał je, zasłaniając się legatem papieża, powagą ojca św.

Obronić się temu naciskowi król nie mógł. Widocznie czuł się już złamanym, oglądając się, czy mu kto na pomoc nie przyjdzie. Ale wszyscy byli przeciwko niemu...

Zachwiany, znużony, Władysław padł na krzesło, oparł się na ręku i, nie odpowiadając już nic, pozostał nieruchomym.

Ktoś inny możeby się ulitował nad stanem jego, lecz nie kardynał Cesarini, który właśnie z tego rozbrojenia i chwilowej bezsilności musiał korzystać. Nastał więc na króla, aby w niepewności ich nie zostawiał...

Władysław spojrzał błagająco i nie odpowiedział nic. Cesarini milczenie wytłumaczył jako przyzwolenie.

Lasocki miał już pod datą dnia tego przygotowane pismo królewskie (d. 4 sierpnia 1444 r.) i natychmiast na głos czytać je zaczął.

Cesarini zwyciężył.

Gdy w kilka godzin potem Grzegorz z Sanoka, wró-

ciwszy z klasztoru, wszedł na podwórce, uderzyła go zmieniona ich fizjognomja. Młodzież z okrzykami i weselem dawno tu niewidzianem biegała, jakby już się przysposabiając do jakiejś wyprawy...

Amor z Tarnowa zastąpił mu drogę, podnosząc rękę do góry.

— Mistrzu! — zawołał, — dobra nowina! Idziemy na Turka! Wojna ogłoszona.

— Śni ci się? — odparł mistrz.

Wtem przybiegł Gratus.

— Nie wiecie więc? Król i wszyscy panowie przyłożyli pieczęcie do aktu, ogłaszającego wojnę. Idziemy na pogan

Nie wierząc uszom swym, mistrz pobiegł wprost do króla.

Była to chwila właśnie, gdy Władysław po kilkogodzinnej walce, powróciwszy do sypialni, jakby chciał Boga o przebaczenie prosić za to, że uległ wywartemu nad sobą gwałtowi, padł przy klęczniku przed krucyfiksem na modlitwę i złożone ręce trzymał ponad głową...

Zastał go tak Grzegorz z Sanoka... i litość wielka serce mu przejęła. Uczuł, że jeżeli była wina czyja, nie spadała ona na króla. Nie rzekł więc ani słowa, nie uczynił wymówki; ukląkł z nim na modlitwę, a z wezbranej piersi wyrwało mu się łkanie i oczy zalały łzami...

IX.

Dnia dziewiątego listopada, w wigilję św. Marcina, wszystkie siły, towarzyszące królowi Władysławowi w wyprawie przeciw Turkom, stały już na równinie pod Warną...

Pochód aż dotąd nazwać było można szczęśliwym i zwycięskim, równie jak zuchwałym; jednakże wpatrzywszy się w zgromadzonych około namiotu młodych Zawiszów, polskich rycerzy, którzy tu, oddzieliw-

szy się od tłumu, osobną gromadką stali, gwarząc pocichu, trudno było dojrzeć na twarzach ich zapału tego, ochoty i ożywienia, które za sobą przynosi zwycięstwo.

Wieczór nadchodził powoli; chwilami od morza zrywał się wicher gwałtowny, rozdąsany, przelatywał nagle po równinie nader błotnistej i biegł gdzieś skryć się w wąwozach gór.

Następowała potem cisza grobowa, przerywana tylko jakimś szumem i mruczeniem jednostajnem, przychodzącem od morza.

W prawo na niebiosach jaśniejszych czerniały baszty i nieforemne wieże zamku w Warnie. Horyzont dalej jeszcze opasywał sine góry, na których tle gorzały łuny, rozproszone od tureckich obozowisk, które się rozkładały tuż blisko. Wszystkim oczy zwracały się niespokojnie ku tym światłom czerwonym.

Bliżej, jak dojrzeć, widać było porozkładane ognie polskich, węgierskich i posiłkowych rót, wśród taborów, które je zasłaniały w części.

Wieczór był chłodny, na niebiosach rozbite chmury czarne pędziły, to się skupiając, to się rozpraszając ku górom.

Ztyłu poza obozem królewskim i w prawo błyszczały, odbijając płowe niebios jasności, limany i błota nadmorskie. Gdzie niegdzie z poza niskich namiotów gromadami podnosiły się głosy wielbłądów, które od koni oddzielać musiano. Słychać było gwar żołnierstwa to głośniejszy, to cichszy, głuszony rżeniem koni.

W głosie zwierząt w tej chwili było coś jakby rozpaczliwe wołanie o ratunek, niepokój i trwoga. Słuchając, żołnierzy przechodziły mimowolnie dreszcze; żegnali się nieznacznie.

Stojąca przy namiocie gromadka gwarzyła, ale głosy i twarze były smutne, mowa nieraźna. Wzrok biegł ku tureckim ogniskom. Wszyscy mówili zwolna, zadumani, cicho, jakby nie chcieli, by ich podsłuchano.

Nieopodal przy namiocie królewskim wielka na-

dworna chorągiew to szeleściła wiatrem rozdymana, to opadała na drzewce.

Oprócz dwóch młodych Zawiszów, synów Czarnego, którzy szli na poganach pomścić bohaterską śmierć ojca, stali w skupionej gromadce: Wątróbka, Jędrzej z Sienna, Piotr z Latoszyna, a tuż przy wozie, wyprzężonym i zatoczonym pod opiekę namiotu, który go od wiatru osłaniał, obok rannego w jednej z dawnych potyczek Jana z Rzeszowa, stał ze smutnie zwieszoną głową Grzegorz z Sanoka.

Starszy z Zawiszów, piękny nad podziw, rycerskiej postawy mężczyzna, ze wszystkich zgromadzonych miał najweselsze oblicze i drugim ducha a buty dodawał. Wszyscy wydawali się znużeni.

W jednej chwili, gdy wiatr ustał i cisza zaległa nad obozem, na szarych niebiosach ukazało się czarne stado jakiegoś ptactwa i powoli ciągnąć poczęło nad obozem.

Grzegorz z Sanoka podniósł głowę i po krakaniu, które dochodziło uszu, poznał złowrogie stado kruków. Dostrzegł je i ranny leżący na wozie, Jan z Rzeszowa.

— Ho! ho! — odezwał się — przemyślne ptactwo wcześnie na jutrzejsze pośpiesza pobojowisko. Zła wróżba!

— Niewiadomo dla kogo — przerwał zdala Zawisza wesoło.

Zamilkli.

— Rzymianie — szepnął Grzegorz z Sanoka — z prawej strony lecących kruków nie lubili, ale ktoby w to wierzył.

— To pewna — przerwał Wątróbka, — że jutro, w dzień rycerskiego św. Marcina, przyjdzie się z ichmością Turkami rozprawić stanowczo. Z języka pochwytanego wiedzieliśmy, że dążą za nami krok w krok, a oto ich mamy na karku.

— Im prędzej, tem lepiej — dodał Jędrzej z Sienna. — Co ma być, niech się dokona. Wojsko niezgorzej położone u twierdzy i moczarów, a równina do boju dogodna. Byleby Bóg pobłogosławił!

Znowu jakiś czas milczano.

— Gdybyśmy zawodu nie doznali od tych wszystkich, w piękne słówka zamożnych panów chrześcijańskich, którzy tyle obiecywali, a nie dotrzymali nic, gdyby nadciągnęły posiłki, gdyby...

— Tak, gdyby — przerwał gwałtownie Grzegorz z Sanoka — na tem „gdyby" wszystko się opiera. Gdyby owa flota Genueńczyków i Wenetów, co to na straży stać miała, aby Turków nie puszczać, sama ich po sztuce złota od głowy nie przewoziła!

— Nie może to być! — zaprzeczył Zawisza.

— Jak nie może! — odparł Grzegorz. — Wszakże szpiegi nasze, co na to patrzali, pod przysięgą zeznali.

— Od Orszowej nam dobrze szło — dodał z wozu, podnosząc się i na łokciu opierając, Jan z Rzeszowa. — Mieliśmy iść wprost na Adrjanopol i tam z flotą i posiłkami się połączyć, a no, mało nas było, aby się tak ważyć. A dlaczego za mało, niech odpowie...

— Kardynał Cesarini! — namiętnie dorzucił Grzegorz.

— Co tu na kardynała zrzucać winę — sprzeciwił się Zawisza. — Nie on winien, ale ci, co go wysłali, a którym zawierzył. Idzie sam z nami, nie jak kapłan, ale jak żołnierz, i losy nasze dzieli...

— A nie obrachował, na jakie nas naraził — niechętnie mruknął mistrz.

— Wy bo go nie lubicie! — rzekł Zawisza.

— Ani się z tem taję, że mu za złe mam, iż króla pchnął, gdzie być nie powinien. Tego mu przebaczyć nie mogę — rzekł Grzegorz.

— Zamku żadnego bez dział po drodze zdobywać nie mogliśmy — odezwał się Wątróbka — a i to złe, bo w nich załogi tureckie się gnieżdżą i poza nami zostają.

— Działek mamy ino dwoje i to małych, kule do nich garścią sypią, murów niemi nie mogą złamać!

— Działami się na prędki pochód trudno było obciążać — dodał Zawisza.

Grzegorz z Sanoka stał zadumany.

— Najrozumniej było — odezwał się — gdyśmy widzieli, że siła za mała a posiłki niepewne, do Nikopolis zawrócić.

Byłem przy królu, gdy Drakuła przyjechał. Popatrzał tylko na nasz obóz, a potem na młodego pana i do nóg mu przypadł, prosząc, aby powracał i nie ważył się dalej. Zna on siły Turków dobrze.

— Z czem wy ciągniecie? — mówił. — Sułtan, jadąc na łowy, więcej z sobą ludzi bierze.

Łzy miał prawie na oczach, gdy to mówił, syna królowi chciał dać, ludzi, konie, aby na wszelki wypadek ratować się mógł. Król i kardynał podziękowali, ale rady nie posłuchali! Daj Boże, byśmy nie żałowali tego...

Wszystkiego razem mamy z piętnaście tysięcy ludzi z Wołoszą, a dwa tysiące wozów, dla których się wlec potrzeba, bo rycerstwo wygodę i przepych lubi!

— Mistrzu! — gwałtownie zakrzyknął Zawisza — już i na nas poczynacie sarkać? A godzi się to? Niesiemy życie ochotnie.

— To też mi żal, aby ofiara marną nie była! — dokończył Grzegorz i zamilkł.

Czas jakiś podumawszy, Wątróbka wtrącił:

— Przecież niedarmośmy już szli, gdy Szumen i Petrecz zdobyliśmy po drodze.

— No, i Warna się poddała — wtrącił Piotr z Latoszyna — ale to wszystko na nic, jeśli ich jutro nie pokonamy.

— Król jest pełen najlepszych nadziei — począł Zawisza. — Bieda tylko, że mu od siodła wrzód na nodze nabrał, i na koń ciężko wsiąść będzie; przy Bożej pomocy jednak zważać na to nie myśli.

Rozmowa wlokła się tak przerywana, a noc nadchodziła. Wśród ciemności widać było tylko ognie oddalone i bliższe, rozsypane na czarnej przestrzeni. Niebo się wypogadzało, wiatr ustawał.

Kupka z pod namiotu powoli się rozchodzić zaczęła. Pozostał tylko przy rannym, jak przykuty tęsknicą, Grzegorz z Sanoka.

— Niewypowiedziany ból czuję w sercu — rzekł cicho, — gdy na naszego młodego pana patrzę, niewinnego baranka, wydanego na ofiarę tej dziczy, za dobroć swą i wielkie serce. Nie mogę się złym przeczuciom obronić!

— Ale! Zasię! — żywo odparł ranny. — Ja znowu tak wielkiego niebezpieczeństwa nie widzę. Jest nas niewielu może na te tłumy niesforne pogańskiej hałastry, ale z naszych każdy zbrojny dobrze i stanie za kilku. Byleśmy ich w pierwszem starciu złamali!

— Tak, i nie zapędzili się za uciekającymi umyślnie, bo to ich sztuka — rzekł mistrz; — u nas serce gorące, ochota wielka i w boju człek pamięć traci.

— Ale czas do namiotu — zawarł Grzegorz, podając rękę rannemu. — Okryjcie się ciepło i śpijcie, jeśli możecie.

W namiocie królewskim świeciło się jeszcze. Mistrz wszedł do niego. Król z wyciągniętą nogą bolącą siedział, ale twarz miał wesołą. Kardynał odpoczywał obok niego; czoło miał zasępione.

— Nie cierpię — mówił — tych puhaczów, co wszędzie ze złą wróżbą przelatują i psują najmężniejsze serca. Cóż z tego, że Turcy się okazali już przed nami? Śledzą ruchy nasze, ale pierwsi na nas napaść się nie ważą.

— A my jutro, mając ich tak blisko, moglibyśmy wycierpieć? — począł król. — Czas się bić w polu... żołnierz pochodem więcej się nuży, niż w boju.

— Z ogniów miarkując — wmieszał się przybyły Grzegorz — siłę mieć muszą znaczną.

— Luźnie idą i obozują, zawsze szeroko się rozkładając — dodał Cesarini i wstał z siedzenia. — Zobaczymy, co jutro pokaże.

Dzień następny wstał piękny i pogodny. O brzasku kardynał odprawił mszę świętą. Powietrze było uspokojone, słońce wschodziło jasne.

W obozie jakby się do potyczki nie przygotowywano, ruch się zwykły rozpoczął. Dowódcy jednak objeżdżali tabor i oddziały. Kazano przywdziewać

zbroje i konie gotować, gdy na skraju obozu od gór krzyki słyszeć się dały.

Czeladź nadbiegła, wołając.

— Turcy idą... już, już następują!

Król natychmiast wyskoczył z namiotu, o nodze nabrzmiałej zapomniawszy, i dosiadł konia.

Huniady już na przedzie w lewo swoich szykował. Ze wszech stron wołano:

— Na koń! na koń!

Wtem przypadł Wątróbka, pytając króla, czy taborem wozów każe wojsko otoczyć.

— Tabor nas uwięzi i zamknie! — począł król, już jadąc naprzód — niech wozy ztyłu zostaną! Ludzie, za wozami się nie kryjąc, lepiej walczyć będą. Naprzód, naprzód.

Zachwiał się, mówiąc to Władysław, taki ból uczuł w nodze, i Gratus z Tarnowa za rękę go pochwycił, aby nie padł. Ale natychmiast dźwignął się, chwilowe przemógłszy cierpienie, i chciał jechać, gdy go drudzy powstrzymali.

Huniady dopadł na koniu i, zobaczywszy Władysława, mocującego się z bólem, począł wołać, że sam uszykuje wojsko, a król z oddziałem swych nieodstępnych pięciuset miał stanąć w pośrodku, między szykami a taborem.

W tej chwili ziemia tętnić zaczęła i pułki na skinienie Huniady ustawiły się w półksiężyc.

W lewo ponad Dziewińskiem jeziorem zabrało miejsce pięć chorągwi węgierskiego rycerstwa, którym sam Huniady miał dowodzić. W pośrodku zostawiono miejsce dla króla z jego orszakiem, który właśnie się zbierał, wdziawszy swe najpiękniejsze zbroje i najwspanialsze szaty, bo dla wojska bój to święto uroczyste i musi się do niego przybrać, jak na ślub, lub do trumny.

W prawo za chorągwią króla uszykowały się posiłki wołoskie, za niemi czarna węgierska chorągiew, pułk Szymona z Rozgonu, biskupa Jagierskiego, ban Slawonji ze swymi, rota kościelna Cesariniego, a na pra-

wo w step chorągiew św. Władysława z biskupem Waradynu.

Ztyłu ustawiły się tabory, które zaprzęgano, aby za wojskiem mogły podążać.

Czasu do uszykowania się było dość, bo ów zapowiedziany nieprzyjaciel ukazał się dopiero, gdy słońce się już ku zachodowi miało.

Dotąd cisza była w powietrzu wielka i niebo pogodne a czyste. Król już stał w miejscu swem, otoczony młodzieżą, gdy nagle z zachodu wicher, jak piorun silny, uderzył na szyki i wszystkie chorągwie, które ponad niemi stały podniesione wysoko, poszarpał i przygniótł do ziemi. Żaden z tych, co je trzymali, nie zdołał się oprzeć sile tego huraganu.

Jedna tylko chorągiew św. Jerzego przy królu, około której Zawiszowie stali, wytrwała, choć poszarpana.

W dolinie suchego krzewia i karłowatych drzewin dosyć było. Z poza nich naprzód Turcy skryci ukazywać się zaczęli, a na ich czele, z ogromnemi tarczami i kuszami, najdzielniejszy hufiec pieszych janczarów.

Na prawem skrzydle przy chorągwi św. Władysława rozpoczął się pierwszy bój z wrzaskiem i piskiem dziczy, która nim sobie ducha dodawać zwykła. Były to właśnie najsłabsze pułki biskupie i przy nich papieski żołnierz kardynała, który nie wytrzymał gwałtownego natarcia.

Wszystka ta gromada, gdy raz popłoch między nią popadł, rzuciła się, biegnąc w stronę Galaty, między cieśniną morską, jeziorem i górami ku Rumelji.

Napróżno dowodzący powstrzymać ich usiłowali. Część Turków, rzucających za zbiegłymi dziryty i oszczepy, puściła się w pogoń na zarośla i góry. Wołosza też, wpobliżu pozostawiona, samą się ujrzawszy, uszła z placu i rozbiegła się na wsze strony bezładnie.

Cudem prawie chorągiew św. Władysława utrzymała się z garścią mężniejszych, ku której w paręset koni pobiegli na pomoc kardynał Juljan i ban. Bitwa się tu cała skupiła. Część Turków ścigała uchodzących, inni gwałtownie na chorągiew napadli, ale tu znaleźli

rozpaczliwy opór. Gdy się to działo, król stał jeszcze chwilę w pośrodku, w tej nadziei, że po pierwszem starciu bój może się odmiennem szczęściem obrócić, lecz niecierpliwość jego i zapał zaledwie otaczający pohamować mogli. Starszyzna zaklinała, aby się zachował na chwilę stanowczą.

Nie było jednak sposobu wstrzymać go już; gdy zobaczył chorągiew św. Władysława osaczoną, spiął konia i naoślep rzucił się w tę gąszcz walczących, a z nim i wierni jego towarzysze.

Grzegorz z Sanoka, który wraz z innymi duchownymi i dworem stał przy taborze na przedzie, ujrzał złocisty hełm jego poruszający się zdala i jak grom spadający na pohańców.

Hufiec królewski z taką gwałtownością padł na karki Turkom i taką w nich rzeź sprawił, że zastępy ich zachwiały się, ugięły i pierzchać poczęły.

Króla widać było ścigającego ich daleko, wśród tej błyszczącej kohorty młodzieży, która z podniesionemi mieczami leciała za nim. Ztyłu pozostała chorągiew św. Władysława, której król w pomoc chciał śpieszyć, zawsze jeszcze przez gromadę Turków oblężona.

Zwrócił się więc na jej obronę i tu jeszcze mistrz widział go zwycięzcą. Ale z gór i krzaków płynęły coraz nowe tłumy pohańców, pole już nimi było usłane, nawała nowa cisnęła się na pobojowisko.

Swoi i nieprzyjaciele zmieszali się w gąszcz wściekłą, wśród której stada wielbłądów, konie dzikie, ludzie i trupy zbijali się w kupy walczące, bo i ci, co leżeli obaleni na ziemię, koniom podrzynali nogi, jeźdźców chwytali za strzemiona.

Wśród wrzasku, ryku, wrzenia, chrzęstu broni, świstu strzał już ani głosu dowódców, ani nawoływania swoich nikt nie mógł dosłyszeć.

Król, który zwycięsko dotąd walcząc, płoszył przed sobą co żyło i kładł trupem, znalazł się nagle wśród zastępów pieszych janczarów, wielkiemi tarczami, jak murem, osłonionych, wśród gradu strzał i bełtów, które nawet zbroje żelazne przebijały.

Sypano niemi z pobliskich wzgórzów, z za krzaków nieustannie.

Grzegorz z Sanoka, który dla lepszego widzenia wdrapał się na wóz, wysoko naładowany, ujrzał króla jeszcze przerzynającego się przez te gąszcze i tłumy, ale z rycerstwa jego coraz ktoś słaniał się i ubywał.

Złocone hełmy padały i znikały. Przez jedną krótką chwilę zdawało się, iż spodziewać się było można zwycięstwa. Grzegorz obie ręce podniósł do góry. Wtem pułki, które króla popierać były powinny, zachwiały się w miejscu i rozsypały jak bicz paciorków, gdy nić trzymająca go pęknie.

Huniady szedł jeszcze za królem.

Mistrz przerażony zamknął oczy, ale gdy je otworzył, wdali nie zobaczył już nic oprócz gęstego tłumu janczarów i Turków, rozbiegających się w pogoń na wszystkie strony.

W taborze zadrżało wszystko, ludzie stracili przytomność. Niektórzy chwytali konie i dosiadłszy je, jak szaleni puszczali się, nie patrząc gdzie, biegli naoślep wrogowi pod miecze.

Grzegorz z Sanoka stracił też przytomność; nogi ugięły się pod nim, w oczach zaćmiło; w piersi zabrakło oddechu.

Orzeźwiła go na twarz rzucona woda i wołanie pachołka królewskiego, który mu do konia służył; lecz Grzegorz ani go zrozumieć, ani posłuchać nie mógł. Jak dziecko dał się pochwycić, na koń rzucić i pociągnąć, sam już nie wiedział dokąd.

Słyszał tylko wrzask bojowy poza sobą, dokoła w powietrzu świst strzał, jęki konających... potem głuche wrzenie i szum, potem wiatr szeleszczący w gałęziach drzew.

Gdy do przytomności przyszedł, leżał na ziemi wśród zarośli, a nad nim wierny Petrek okrwawiony klęczał i w dłoniach przyniesioną poił go wodą.

Noc nadeszła a z nią po wrzawie bitwy, po szalonej ucieczce, którą Petrek, trzymając osłabłego na koniu,

kierował, ciemności i cisza, zdająca się spoczynkiem grobu; Grzegorz usnął, sądząc, że z boleści dusznej na zawsze zamknie powieki.

Obudził go chłód poranka i Petrek, stojący nad nim z końmi, a naglący do dalszej ku Dunajowi ucieczki. Posłuszny mu mistrz wstał i poddał się jego wodzy. Stracił rachubę czasu, osłabł i życia już nie pragnął.

. . . . . .

— Nad Dunajem jesteśmy! Bóg nas ocalił! — zawołał Petrek, który do leżącego na ziemi Grzegorza przybiegł, przynosząc mu kawał chleba gdzieś wyżebrany czy wydarty.

Po długim głodzie chleb ten suchy wydał się najrozkoszniejszem jadłem. Grzegorz odzyskał powoli zmysły. Leżeli wśród mokrych zarośli, nieopodal słychać było szum rzeki.

Mistrz także usiłował się podnieść.

— To głos ludzki! — zawołał — w pomoc iść trzeba.

Przerażony pachołek napróżno starał się go wstrzymać, aby na niebezpieczeństwo się nie narażał i nie zdradził. Coraz wyraźniej dochodzące jęki nie dały wytrwać Grzegorzowi, który, odepchnąwszy Petrka, puścił się chwiejnym krokiem w zarośla ku rzece.

Ciągle powtarzające się coraz słabnącym głosem jęki doprowadziły go ku sobie. Rozpostarłszy gęste gałęzie, Grzegorz spojrzał i stanął osłupiały.

W krwawej kałuży leżał człowiek w poszarpanej i podartej odzieży, napół obnażony, ranny, drgając ostatniemi życia wysiłkami.

Twarz w części zaschłą krwią okryta nie dozwalała rozpoznać rysów.

Grzegorz zbliżył się ostrożnie, pokląkł i, schyliwszy się nad nieszczęśliwym, krzyknął z podziwu i przerażenia. Poznał w konającym kardynała Cesariniego.

Umierający otworzył oczy, spojrzał i dłoń wyciągnął ku niemu, ale ta bezsilna opadła *).

— Tyżeś to? — zawołał, ręce załamując, Grzegorz.

Słabym, ledwie dosłyszalnym głosem Cesarini zamruczał:

— Jam jest, ratuj mnie... Z Huniadym zjechaliśmy się po bitwie... Siedziałem w łódce, aby się przeprawić przez Dunaj. Przewoźnik... złoto moje... wiosłem mnie ubił i wrzócił do wody...

Nie miał już siły mówić.

Grzegorz począł w głos modlitwę nad konającymi, którą Cesarini, poruszając ustami, zdawał się powtarzać.

— Niech ci Bóg przebaczy, boś ty był sprawcą wszystkich nieszczęść naszych, a jeżeli król nasz, bohater ten, padł ofiarą... a! niema dla ciebie przebaczenia... Tyś go zabił.

Z piersi kardynała wyrwał się słaby okrzyk, jęk raczej i z nim razem ostatnie wyszło tchnienie.

* *
*

Straszne to były dni, gdy jedni po drugich do Budy przybywać zaczęli z placu boju, niedobitki nieszczęśliwe, którym życie prawie miłem nie było, z taką boleścią nieśli z sobą wspomnienie okropnej klęski...

Każdy przynosił jakąś wieść, baśń, pogłoskę, nikt nie umiał powiedzieć, ani co się stało z królem, ani z tymi rycerzami, którzy razem z nim znikli.

Grzegorz z Sanoka leżał, chorobą powalony, zniechęcony do życia, nie śmiejąc pomyśleć o powrocie do Polski, bo cóż tam miał odpowiedzieć biednej matce, którąby go spytała:

---

*) Scena ta w życiu Grzegorza z Sanoka przez Kallimacha. P. A.

— Coś uczynił z synem moim?

Przez długi czas i na Węgrzech i w Polsce łudzono się jakąś dziwną nadzieją, że królowi udało się ujść i życie ocalić, że powróci.

Znajdowali się ludzie, którzy mówili, że go tam, lub ówdzie widziano. Nierychło potem przyszła wiadomość od Turków, że głowę męczennika za wiarę, ściętą na placu boju, w triumfie rzucono pod nogi Amuratowi.

Ze świetnego tego pocztu młodzieży polskiej, która go nie odstępowała, nikt nie pozostał. Zginęli Amor i Gratus z Tarnowa, Marcin i Stanisław z Rożnowa, dwóch synów Zawiszy Czarnego i wielu a wielu innych.

Z wziętych do niewoli rannych Polaków dwunastu najpiękniejszych, najurodziwszych, najdzielniejszych sułtan kazał wybrać, aby zmusić ich groźbą śmierci do zaparcia się Chrystusa.

Mężni młodzieńcy wiedzieli, jaki ich los czekał. Sprzysięgli się więc napaść na Amurata i śmierć mu zadać, a w popłochu starać się zbiec z Adrjanopola.

Razem z nimi zamkniętemu w więzieniu młodemu Bułgarowi zwierzyli tę tajemnicę, a ten, siebie ocalając, zdradził ich.

Czekała ich śmierć.

Zaparli się wszyscy w więzieniu i mężnie samobójstwem bohaterskiem żywot rycerski zamknęli. Taką naówczas młodzież miała Polska!

Grzegorz z Sanoka nierychło zebrał się na odwagę powrócenia do kraju. Naostatek tęsknota za nim, dawni towarzysze i przyjaciele skłonili go, aby opuścił Węgry i przybył znowu do Krakowa.

Pierwsza część żywota jego była dokonaną; czekała go tu wkrótce archikatedra lwowska, której resztę dni miał poświęcić.

Mąż wielkiego umysłu, nauki rzadkiej na owe czasy, samoistności sądu nadzwyczajnej, pozostawił po sobie pamięć jednego z najznakomitszych ludzi tej epoki.

Pamięć Warneńczyka, bohatera, który nie doszedłszy lat dwudziestu, zjednał sobie imię nieśmiertelne rycerskiem poświęceniem za wiarę, uczcił pierwszy i największy z poetów polskich wierszem, którym my to wspomnienie starych dziejów zakończymy:

We krwi nieprzyjacielskiej upadł zmordowany
Wpośród ziemi tureckiej; jego poświęcone
Kości nie są w ojczystym grobie położone...
Grób jego jest Europa, Słup — śnieżne Bałkany,
Napis: wieczna pamiątka między chrześcijany!

KONIEC

$+\frac{\Delta d_0}{d}$